Szanownej Bibliotece
Jagiellońskiej w Krakowie
Konstanty Trepka

Warszawa
7/12 1900

SZWOLEŻER STACH

Warszawa. — Druk St. Niemiry Synów, Plac Warecki 4.

SZWOLEŻER STACH

POWIEŚĆ

z początków naszego wieku

przez

Walerego Przyborowskiego

z 17 ilustracyami.

WARSZAWA
Nakład i własność Księgarni Konstantego Treptego

Дозволено Цензурою

Варшава 10 Іюля 1900 года.

ROZDZIAŁ I.

W którym Stach Kamieński opowiada historyę swego życia.

— Tak, mój chłopcze, jutro o świcie opuszczam ten kraj, by udać się do mej ojczyzny, do mej pięknej Francyi.

— Jakto, panie Morsang, już jutro pan jedziesz?

— Nie jadę, ale idę, mój chłopcze, piechotą idę. Jakkolwiek moje rzemiosło niewątpliwie jest szlachetne, przecież nie przynosi mi tyle pieniędzy, bym mógł dyliżansem jeździć. A przytym gdzieżbym podział mych towarzyszy, Samsona i Dalilę? Żaden pocztmistrz nie zgodziłby się wziąć ich do dyliżansu.

To rzekłszy, pan Morsang, wysoki, chudy jak szczapa staruszek, spojrzał rozrzewnionym

okiem na dwa wielkie psy, rasy duńskiej, odpoczywające obok na murawie.

— Panie Morsang — rzekł chłopiec — panie Morsang, zabierz mnie pan z sobą!



W prostych tych słowach brzmiała tak rozpaczliwa prośba, że jegomość, zwany Morsangiem, spojrzał spłowiałemi i zmęczonemi oczami na swego towarzysza. Był to chłopiec, liczący siedemnaście, może osiemnaście lat wieku, ale tak szczupły i chudy, że zdawało się, iż za każdym poruszeniem wszystkie kości w nim trzeszczą. Ubrany w obcisłe spodnie, w krót-

ki spencerek granatowy i suto złotym szychem naszywany, wytarty już mocno, wyglądał w tym pajacowskim stroju jeszcze chudziej i szczuplej. Wiatr, powiewający od gór Arragonii, bo działo się to w Hiszpanii w 1807 r., wzburzył jego długie, jasne, konopiaste włosy, i jego drobnej, mizernej, zawiędłej twarzy nadał przez to jeszcze bardziej smutny wyraz.

— Jakto?—zapytał po chwili pan Morsang—chcesz bym cię zabrał z sobą?

— Tak! błagam cię oto, panie Morsang.

— Ależ to być nie może, mój chłopcze.—Cóżby na to powiedział pan Müller? On nigdy się na to nie zgodzi.

— Rozumie się, że się nie zgodzi. Cóżby on bezemnie robił? cyrk jego poprostu istniećby nie mógł, wiem ja to dobrze.

— A więc, mój chłopcze?

— Mimo to, panie Morsang, zabierz mnie z sobą. Pan Müller nie potrzebuje o tem wiedzieć.

— Jakto, chcesz uciec potajemnie?

— Tak, chcę uciec. Czyż pan nie wiesz, jakie ja znoszę cierpienia, jak jestem zmęczony? Mam tego już dosyć. Chcę uwolnić się od tego wszystkiego, bo już nie jestem wstanie dłużej tu wytrzymać.

— Mój chłopcze—rzekł poważnie Morsang—źle to jest z twej strony, że chcesz opuścić swego ojca. Tak, kochany Stanisławie, wszak ci Stanisław na imię?

— Tak, ale...

— Poczekaj, niech wszystko powiem. Już Pismo święte, a za nim wszystkie prawa Boskie i ludzkie nakazują czcić i kochać swych rodziców. Nie, chłopcze, to byłoby rzeczą niegodną, gdybyś potajemnie opuścił twego ojca.

— Mojego ojca? ależ Müller nie jest moim ojcem!

— Jakto, nie jest twoim ojcem?

— A tak, tak, nie jest moim ojcem.

To rzekłszy, obejrzał się dokoła. Siedzieli obaj za miastem Saragossą, nad piękną rzeką Ebrem, pod cieniem wielkiego dębu, nieopodal bielejącej drogi. Widok stąd był prześliczny na wspaniałą rzekę, na groźne mury i baszty starożytnej Saragossy, na siniejące w dali góry Arragonii. Chłopiec nazwany Stanisławem poruszył się niecierpliwie, powstał i rzekł:

— Muszę panu wszystko powiedzieć, panie Morsang, żeby pana przekonać, że zamiar ucieczki nie jest z mej strony krokiem niegodnym.

Usiadł, odgarnął bujne włosy z ponad czoła i zapytał:

— Pan może myślisz, że ja jestem Francuzem, albo Niemcem?

— Francuzem nie jesteś, mój chłopcze, bo twój akcent mowy o tym przekonywa, ale Niemcem, a co najwyżej Alzatczykiem zapewne jesteś. Nazywasz się nawet Stanisław, a wszyscy Niemcy, zwłaszcza Lotaryńczycy,

na pamiątkę swego dobrego króla Stanisława, imię to chętnie dzieciom swoim dają.

— O tym nic nie wiem, panie Morsang, bo mnie niczego nie nauczono prócz chodzenia po lince i wyprawiania na niej łamańców, ale nie zdaje mi się, żeby Niemcy dawali imię Stanisław swym synom. To tylko w Polsce robią, bo św. Stanisław był Polakiem. Wiedzże o tym, panie Morsang, że i ja jestem Polakiem.

Staruszek spojrzał na chłopca zdziwiony i zawołał:

— Jakto! ty jesteś Polakiem i nie jesteś synem tego gburowatego Niemca Mullera?

— Nie! nie jestem jego synem. Gdy byłem małym chłopcem, liczącym może jakie sześć do siedmiu lat, a może i mniej, zostałem porwany z domu rodzicielskiego przez bandę pajaców i skoczków, przejeżdżającą przez naszą wieś pod naczelnictwem Mullera. Zwabiono mię łakociami, wsadzono do budy i szybko uwieziono. Zrazu obchodzono się ze mną łagodnie, ale potym bito nielitościwie...

Umilkł i oczami załzawionemi, przejęty grozą strasznych wspomnień, patrzał na ciche fale błękitnego Ebru.

— Opowiadasz mi tu dziwne historye, mój chłopcze—rzekł po chwili Marsang—a czy nie pamiętasz, jak się ta wieś nazywała, z której cię porwano?

— Nie! tego nie pamiętam, wiem tylko, że leżała nad dużą rzeką, która się nazywała Pilica. Chodziłem tam często z ojcem do niej do kąpieli. Samą wieś przypominam sobie jak przez sen, rozrzuconą na wzgórzu, pełną drzew i zieloności. Nasz dom leżał niedaleko kościoła z wysoką białą wieżą. Był duży przy nim ogród, w którym rosło mnóstwo wybornych śliwek. Ileż to razy rwałem te śliwki! co to były za słodkie, miłe czasy, mój Boże!

— Ojca przypominam sobie, jego wielkie wąsy i długą suknię, w której chodził. Matka moja była zawsze dla mnie bardzo dobra, pieściła mię nieraz i miała śliczne, jak złoto jasne włosy. Czy żyje jeszcze? czy ją kiedy zobaczę!

Zakrył twarz obu rękami i płakał cicho, a przez palce łzy mu ciekły. Staruszek Morsang wzruszony tym, miał także łzy w oczach, i kładąc swą suchą, kościstą rękę na ramieniu Stanisława, rzekł:

— No! no! nie płacz mój chłopcze. Wierzę temu wszystkiemu, co mi opowiadasz. Wszak przez cały czas mego pobytu w trupie Müllera żyliśmy w przyjaźni, a gdy w nocy było nam zimno, tośmy się kładli przy sobie, mając po obu stronach Samsona i Dalilę, które nas swym ciepłem ogrzewały. Poczciwe psy, najwierniejsi moi przyjaciele!

I głaskał ogromne łby obu psów, które jakby pojmowały, że to o nich mowa, wlepiły

swe rozumne oczy w swego pana i wesoło machały ogonami.

— Nie płacz więc, mój chłopcze. Bóg jest opiekunem sierot i nieszczęśliwych i kto wie, może jeszcze kiedy ujrzysz twoją wieś rodzinną, tam... daleko... nad rzeką Pilicą i twoją matkę jasnowłosą. Wszystko to jest możliwe, bo wszystko jest w ręku Boga. Ale nicże więcej nie pamiętasz z czasów twego dzieciństwa?

— Owszem, pamiętam swoje nazwisko. Nazywam się Kamieński, Stanisław Kamieński.

— Hm! hm! dziwne nazwisko... ale to tam u was ludzie zawsze tak się nazywają, że trzeba sobie dobrze język nałamać, żeby to wymówić. Lecz mniejsza z tym. Powiedzże mi, więc chcesz od Müllera uciec?

— Tak, panie Morsang, chcę uciec. Już nie mogę dłużej wytrzymać. Pan wiesz dobrze jaki to straszny człowiek ten Müller i jak on się ze mną obchodzi, choć jestem jedyną ozdobą jego trupy. Czyż nie widziałeś mnie pan wiecznie głodnym, zziębniętym, obdartym, bitym nielitościwie? Nie! nie mogę już dłużej wytrzymać. Tak jestem zrozpaczony, że jeżeli mię pan nie zabierzesz ze sobą, to gotów jestem skoczyć ot tu, do rzeki i raz już skończyć to utrapione życie!

— No! no! powoli, powoli, mój chłopcze. Starożytni, którzy we wszystkim byli naszy-

mi mistrzami, mawiali: *festina lente,* co znaczy: rób powoli, z zastanowieniem. Łatwo to powiedzieć: zabierz mnie z sobą, uciekajmy, ale trudniej wykonać. Ja ci nie odmawiam mej pomocy, bo wiem, że masz najpoczciwsze serce, a teraz skoro nabyłem przeświadczenia, że nie jesteś synem Müllera, że on cię wykradł rodzicom i niegodnie się z tobą obchodził, z najczystszym sumieniem pomoc ci moją ofiaruję...

— A więc, o cóż idzie?

— O to, mój chłopcze. że trzeba się dobrze zastanowić, w jaki sposób dokonać owej ucieczki. Rzecz to nie tak łatwa, jak ci się wydaje.

— Dla czego?

— Dla tego, że... ale posłuchaj mnie pilnie. Czy nie jesteś ozdobą trupy Müllera? Chwalić się sam nie chcesz, co stanowi twoją zaletę, ale ja wiem dobrze, bom cię widział, że jesteś jedyną chwałą, tak! chwałą, nie cofam tego słowa, cyrku Müllera. Gdyby ciebie zabrakło, czy myślisz, żeby kto chodził na te widowiska? Zapewniam cię, że nikt.

— Wszystko to może być, ojcze Morsang, ale cóż to ma za związek z naszą ucieczką?

— Ma związek taki, że Müller za nic w świecie nie będzie chciał utracić ciebie. Gdy spostrzeże jutro. żeś umknął, poruszy nie-

bo i ziemię, żeby cię odszukać i złapać. Czyż nie jest on w przyjaźni z alkadem Don Sebastianem? czyż nie zna wszystkich dygnitarzy w mieście, a nawet czy nie ściska się za ręce z komendantem Saragossy, jenerałem Palafoxem? czy nie bywa w domu wielkiego inkwizytora Don Quichady?

— To prawda—odrzekł mrocznie Stanisław.

— A więc, gdy spostrzeże, żeś uciekł, uda się do tych panów, wyślą za nami pogoń i złapią nas, jeżeli mądrze całej rzeczy nie obmyślimy.

Chłopiec przerażony temi słusznemi uwagami, spuścił głowę i, łamiąc ręce rozpaczliwie, szepnął ponuro:

— Ha! skoro tak, nic mi nie pozostaje, jak odebrać sobie życie, bo... bo... ja więcej tych znęcań się nademną nie wytrzymam.

To powiedziawszy podniósł się z takim wyrazem twarzy, że Morsang się przestraszył. Chwycił Stanisława za rękę i zawołał:

— Powoli, powoli! Wszak nie powiedziałem, że ci dopomódz nie chcę. Pragnę tylko rzecz z zastanowieniem wykonać. Ucieczka będzie trudną, ale ma pewne szanse powodzenia. Słyszałem, że się na wojnę zanosi. Cesarz Napoleon podobno wysyła tu swą waleczną armię... Byleśmy się dostali do Burgos, albo lepiej do Pampeluny, będziemy pod osłoną niezwyciężonych sztandarów mojej ojczyzny.

A przytym znam ja tu w Arragonii wszystkie drogi, wszystkie góry i przesmyki; wszak je własnemi nogami zbrodziłem. Jeżeli nam się uda dostać do pewnej groty w górach, jesteśmy ocaleni. No! zobaczymy. Kto nie ryzykuje, nic nie ma. Dalej chłopcze, bądź dobrej myśli. Ja w nocy, w samotności rzecz tę rozpatrzę i plan ułożę. Jutro świtaniem bądź za bramą Carmen i czekaj na mnie w lasku oliwnym gotów do drogi.

Chłopiec na te słowa skoczył z wyrazem niewypowiedzianej radości, rzucił się na szyję poczciwego starca, wołając: dziękuję, dziękuję ci, ojcze Morsang! Ten ze łzami w oczach nawzajem uściskał swego młodego towarzysza.

— Nie masz mi za co dziękować, bom ci jeszcze nic nie zrobił. Obietnica nie stanowi rzeczy, a szczęśliwe jej wykonanie zależy od tysiąca nieprzewidzianych okoliczności. Ale nie traćmy nadziei. Bóg opiekuje się sierotami i nieszczęśliwemi. Przygotuj się więc, mój chłopcze, do ciężkich może przepraw i niebezpieczeństw. Mam ufność, że je pokonamy. Jesteś młody, zdrów i pragniesz swobody, a Polacy, o ile słyszałem, ma to być dzielny naród. Radzę ci się wystarać o kapelusz z szerokiemi skrzydłami i płaszcz hiszpański.

— Nic łatwiejszego! obie te rzeczy są w garderobie.

— A więc bądź gotów. Jutro, jak świt w lasku oliwnym za bramą Carmen. A teraz uściśnij mię jeszcze raz i rozejdźmy się, żeby nie zwrócono na nas uwagi. Trzeba się strzedz wszystkiego i być ostrożnym.

Uściskali się więc gorąco i szepcząc: do jutra! rozeszli w różne strony, Stanisław pełen otuchy, a Morsang powlókł się z głową spuszczoną, . amyślony głęboko, a za nim leniwie stąpały oba psy, Samson i Dalila.

ROZDZIAŁ II.

W którym Stach, marząc o kawałku chleba, dostaje kurę i pieczeń baranią.

Nazajutrz jeszcze szary świt pokrywał półcieniami i półmrokiem ziemię, a na wschodzie niebo lekko rumienić się poczynało, gdy w lasku oliwnym, tuż przy bramie Carmen rosnącym, ukazał się Stach Kamieński. Otulony był w szeroki płaszcz hiszpański, którym szczelnie osłaniał się przeciw podmuchom przenikliwie zimnego wiatru, wiejącego od gór Arragońskich; na głowie miał czarny, z dużemi skrzydłami kapelusz, który mu zakrywł twarz prawie zupełnie.

Pod pachą dźwigał niewielkie zawiniątko, cały swój majątek, z bielizną. Chodził tam i z powrotem niecierpliwie po rzadkim i przej-

rzystym lasku, z niepokojem spoglądając na gościniec idący od miasta, którego szare, ponure mury, baszty i wielkie zabudowania klasztoru St. Engracia, tuż obok bramy Carmen się wznoszące, posępną rysowały się sylwetką na tle różowiejącego na niebie świtu. Ale na gościńcu tym nie było widać Morsanga; tylko wlokło się kilka mułów, obarczonych dużemi kobiałkami z mlekiem i jarzynami, które mieszkańcy wiosek sąsiednich, wieźli na targ do miasta. Wiatr przyniósł poważny odgłos jakiegoś zegaru miejskiego, który wydzwonił powoli, jęcząc żałośliwie, godzinę piątą rano. Niebo okrywało się purpurą i złotem i dzień się robił widny, słoneczny.

Stach był coraz niespokojniejszy i począł już najrozmaitsze robić przypuszczenia, a nawet, zrzekając się na ten raz ucieczki, zamierzał powracać do miasta, gdy nagle z boku, tuż przy chłopcu, ukazał się pan Morsang.

— Dzień dobry, mój chłopcze, jesteś gotów do drogi?

— Jestem; ale skąd się pan tu wziąłeś? wyglądałem pana z tej strony, na gościncu...

— Na gościńcu! jeszcze czego! żeby mię wszyscy widzieli. Nie, stary Morsang tak nieostrożny nie jest. Wyszedłem boczną furtą po za Ebrem i musiałem okrążać miasto, dla tego się nieco spóźniłem. Ale nie traćmy drogiego czasu, w drogę, marsz!

To mówiąc, skręcił w bok i naprzełaj przez lasek ruszył krokiem żwawym naprzód, a oba psy, Samson i Dalila, wesoło koło niego biegły z zadartemi do góry kitami, naszczekując radośnie.

— Cicho, pieski moje, cicho!—wołał pieszczotliwym głosem Morsang—nie trzeba na siebie zwracać uwagi. Musimy się przez ten kraj przesuwać jak cienie; tak, dobrze powiedziałem, jak cienie.

Poprawił na sobie tłomoczek, który dźwigał na plecach i, zwracając się do Stacha, rzekł:

— Wiesz, chłopcze, po długim namyśle, po rozpatrzeniu wszelkich okoliczności, zmieniłem plan pierwotny. Nie pójdziemy na Pampelunę...

— Jak uważasz. panie Morsang, ty lepiej znasz ten kraj, jak ja...

— Rozumie się, że go znam dobrze. Od gór Pirenejskich, aż po cieśninę Gibraltarską zdeptałem go mojemi własnemi nogami, a i pieski moje ze mną. Dzielni towarzysze, najlepsi przyjaciele...

I patrzał miłosnym okiem na psy, które wesoło skakały, ale pomne zakazu swego pana, nie szczekały wcale.

—Otóż, mój chłopcze—mówił dalej Morsang—nie pójdziemy na Mirandę i Pampelunę. Dowiedziałem się wczoraj, że wojsko francuskie wkroczyło już do Hiszpanii. Nie ulega wą-

tpliwości, że Müller będzie przypuszczał, iż poszliśmy naprzeciw moich współrodaków i tam skieruje pogoń. Ale niech sobie wszystkich Saragosskich algazilów puszcza po drodze do Mirandy, drwię sobie z tego. Tak, dobrze powiedziałem, drwię sobie z tego. A wiesz, panie Stanisławie, dla czego sobie drwię? Oto dlatego, że my idziemy prosto na północ w wielkie przepaściste góry, na ścieżki, gdzie jeno wiatry i dzikie kozy chodzą i tam nas nikt ścigać nie będzie i nikt nie znajdzie, chyba Bóg jeden!

Zatrzymał się, podniósł wzrok ku niebu i wyszeptał kilka słów cichej modlitwy, jakby w podziękę za ten wspaniały widok, jaki przed okiem jego wschód wiosennego słońca roztoczył. W dali siniały piętrzące się wysoko góry Arragońskie, otulone mgłami błękitnemi, zaróżowionemi od różowego słońca.

Poranek był chłodny, ale powietrze rzeźwe, świeże, niesione lekkim podmuchem wiatru od gór, niebo na wschodzie gorzało purpurą i złotem, a ptactwo obudzone tym cichym świtem dnia, napełniało lasek oliwny wrzawą i świergotem. Szli raźno, wydobyli się z lasku i dążyli naprzełaj przez pola ku czarnym i ciemnym wąwozom górskim. Morsang, zatopiony w modlitwie, a może we wspomnieniach swego burzliwego życia, milczał przez długi czas, aż nakoniec odezwał się, rozglądając się dokoła:

— Nim dzień się zupełny zrobi i nim się tam Müller ze swą zgrają obudzi, my będziemy już w górach bezpieczni zupełnie. Bo góry, mój chłopcze, są zawsze najlepszym schronieniem dla nieszczęśliwych i obarczonych; są one tarczą i kolebką, że tak powiem, wolności.

— Szczęśliwy jestem, panie Morsang, że nam się ucieczka tak udała.

— No, panie Stanisławie, nie sprzedawaj skóry niedźwiedzia, dopóki niedźwiedź jest w lesie. Jeszcze nic nie wiemy, czy nam się ucieczka udała. Nikt nie odgadnie, jakie nas koleje i jakie wypadki spotkać mogą, a droga jest długa, nim dotrzemy do moich rodaków. Mówię to nie dlatego, mój chłopcze, żeby ci odbierać odwagę i otuchę, wcale nie dla tego, chciałbym tylko, żebyś był na wszystko przygotowany.

— O! panie Morsang na wszystko, nawet na śmierć jestem gotowy, byle nie wracać do cyrku Müllera.

— Kto tu mówi o śmierci? Gdy się ma lat szesnaście, czy siedemnaście, jak ty, mój chłopcze, to o śmierci się nie myśli. Życie i młodość są to piękne dary Boże i cenić je trzeba, bo gdy raz miną, więcej nie wracają niestety! Śmierć jest udziałem takich starców jak ja, a przecież ja wcale jej się nie boję. Żyłem uczciwie i pracowicie; nic nigdy od nikogo nie potrzebowałem i nic nikomu winien

nie jestem, a choć... może... Bóg to raczy wiedzieć... nie tak użyłem darów Opatrzności, jak ich użyć należało, to, zaiste, nie moją jest winą, ale losu, który mię stale prześladował.

Mówił to smutno i umilkł, pogrążywszy się we wspomnieniach swego długiego i smutnego zapewne życia, ale otrząsł się z tej melancholii zaraz i zawołał:

— Ale precz smutki! Nie roztkliwiaj się, duszo moja, bo oto poranek jest prześliczny, słońce wspaniałe, a natura pełna uroków. Czyż nie lepiej, zamiast myśleć o posępnej przeszłości, powitać to słońce, tę gwiazdę Bożą, najwspanialszą pieśnią mistrza? Co powiesz, na to, mój chłopcze, gdy ci zagram cudowną melancholijną pieśń Mozarta, mego ubóstwianego mistrza? Czy wiesz, że ja go znałem, ot tak, jak tu ciebie, i rozmawiałem z nim nieraz i wsłuchiwałem się w jego muzykę, która mi przypomina tę cudowną harmonję wszechświatową, o jakiej marzył jeden z filozofów starożytnych. Tak, mój chłopcze, znałem Mozarta i zagram ci tu, wśród tych pól pachnących ziemią, wśród tego poranku, lejącego balsam do piersi, jedną z jego pieśni nieśmiertelnych.

To rzekłszy zatrzymał się pod rozłożystym dębem, rosnącym przy drożynie, którą się posuwali, zrzucił z siebie tłomoczek, szybko, drżącemi nerwowo rękami rozwiązał go,

wydobył stare, hebanowe pudełko grające, i nakręcił je delikatnie i ostrożnie. Zaraz też w tę ciszę budzącego się ze snu dnia, w ten świergot ptactwa i szmer nieuchwytny strumienia, wpadła cicha, jękliwa, jedwabista melodya pieśni Mozartowskiej. Szkatułka widać była stara, więc co chwila tony się w niej urywały, nawiązywały znowu, a miały w sobie rzewliwą melancholję. Morsang odsunął się nieco, umieściwszy szkatułkę na tłomoku i stał tak, cały zasłuchany, nieruchomy jak posąg i głosem drżącym, łzawym, nucił w takt pieśni Mozartowskiej:

„*La ci darem la manu*“

A łzy mu jak groch z biednych, wypłowiałych oczów, toczyły się po suchej, zawiędłej twarzy.

A gdy szkatułka nagle cichnąc, ucichła zupełnie, kończąc prześliczną pieśń kilku urwanemi, niesfornemi i zgrzytliwemi tony, Morsang przetarł oczy i czoło, i w milczeniu owinął w stary. wyszarzany futerał swe narzędzie muzyczne, schował je do tłomoczka starannie i rzucając go na plecy, zawołał wesoło:

— A teraz w drogę, marsz! Stary mistrz napoił mą duszę najcudowniejszą harmonią, rozlał w niej pogodę słodką i niczem nie zamąconą, więc idźmy wesoło naprzód!

Jakoż szli ciągle drożynami bocznemi, często przez pola naprzełaj, unikając dróg i go-

ścińców, a że szli raźno, więc wkrótce groźne mury Saragossy stracili z oczów. Słońce wspaniale weszło i dzień był jasny, wesoły acz chłodny. Stachowi w jego spencerku pajacowskim, w płaszczu wiatrem podszytym, nie było zbyt ciepło, ale nie zważał na to, szedł szybko wesoły, szczęśliwy, że się wydobył z pod jarzma Müllera, wdychając w siebie świeże, jędrne powietrze szerokich przestrzeni. którego już dawno nie zaznał, zamknięty w ciasnej budzie hecarskiej, w najciaśniejszym zaułku Saragossy umieszczonej, obok koni psów i małp ćwiczonych. Nie spotykali nikogo; czasem tylko na drodze, ujrzeli leniwie wlokący się wózek wieśniaczy w muły zaprzężony. Otaczała ich wielka cisza.drzemiącej pod słońcem natury.

Tak szli przez trzy do czterech godzin, nie zatrzymując się nigdzie, aż wkroczyli w wielkie lasy dębowe, już na skłonach gór rosnące. Stachowi jeść się ogromnie chciało. Wyszedł z miasta naczczo, a wytężony pochód, świeże powietrze, ogarniające go coraz bardziej poczucie swobody, zaostrzyło mu apetyt. Ale mimo to, nie mówił nic o głodzie, bo pragnął jaknajbardziej oddalić się od Saragossy, ani też o spoczynku, choć zauważył, że nogi go bolą i słabnie coraz bardziej.

Skoro jednak weszli w owe wielkie lasy dębowe, które od godziny czerniały przed nimi w oddali, Morsang nagle skręcił w bok od drożyny którą dotąd postępowali, i zatrzymaw-

szy się pod wspaniałym rozłożystym dębem, odetchnął ciężko i rzucając kij i tłomoczek, rzekł:

— No, mój chłopcze, musimy się tu zatrzymać i odpocząć sobie nieco. Moje stare nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Ba! żebym ja miał twoje lata, tobym szedł dzień i noc bez wytchnięcia, ale dziś... sześćdziesiąt wiosen, jak mię widzisz, dźwigam na sobie, kawał czasu! A przytym uważam, że byłoby dobrze posilić się czym.

— I ja to uważam, że byłoby dobrze, ale ja nie mam nawet okruszyny chleba, a w tym lesie chyba nic nie znajdziemy—odrzekł Stach żałośliwie.

— Hm! hm! — mruknął Morsang, usiadł na murawie, oparł się plecami o pień dębu i odetchnął głęboko.—Cóż, żeby tak zjeść kuropatwę pieczoną, albo bażanta, pasztetu kawałek i popić mocnym winem hiszpańskim? Zrobiłoby to nam bardzo dobrze.

Uśmiechnął się dobrotliwie i patrzał z ukosa na Stacha, któremu na wspomnienie tych przysmaków ślinka szła do ust, ale uważając, że Morsang żartuje sobie z niego, odrzekł z niechęcią:

— Co tu o kuropatwach, bażantach, pasztetach i winie mówić, panie Morsang! Byłbym bardzo zadowolony, gdybym miał kawałek czarnego chleba...

— Zapewne, zapewne — mówił Morsang — ale ja bym wolał pasztet. Zresztą mniejsza o pasztet. Zadowolnił bym się dobrym zrazem pieczeni baraniej z czosnkiem, przyrządzonej tak, jak tu umieją przyrządzać w Hiszpanii. Cóż ty na to, chłopcze, zgodziłbyś się na pieczeń baranią z czosnkiem?

Stach ruszył ramionami i nic nie odrzekł, a Morsang, uśmiechając się, mówił:

— No, mój chłopcze, kuropatwy ani bażanta dać ci nie mogę, ale dam ci wybornie upieczoną kurę i pieczeń baranią i wina trochę, ale tylko trochę, bo gorące napoje młodzieży szkodzą.

To rzekłszy, roztworzył swój tłomoczek, z którego jak ze spiżarni jakiej, wydobył najprzód bochenek chleba białego, potym całą kurę i potężny kawał pieczeni baraniej, której rozkoszna woń łechtała podniebienie.

— Dalej, panie Stanisławie!—zawołał Morsang – zabieraj się do jedzenia, pałaszuj co możesz, nabierz sił, bo drogę mamy przed sobą daleką.

Stachowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Rzucił się z chciwością na te przysmaki, pochłaniał chleb i pieczeń, w czym mu dzielnie dopomagał stary Morsang. Gdy się już posilili dobrze i zamyślali trochę się przedrzemać pod dębem, zaszedł nagle wypadek, który był początkiem najdziwniejszych kolei.

ROZDZIAŁ III.

Jako Morsang niespodziewanie odszukuje w głębi Hiszpanii swego siostrzeńca.

Ledwie bowiem Stach położył się na trawie, i nakrywszy głowę, zamyślał się oddać słodkiej drzemce, a Morsang zajęty był pakowaniem pozostałych zapasów żywności do swej torby podróżnej, gdy nagle z krzaków, otaczających polanę, ozwał się gruby i donośny głos:

— A wy co tu robicie? coście wy za jedni?

Stach w jednej chwili zerwał się na równe nogi, a Morsang podniósł głowę i wystraszonemi oczami spojrzał w stronę, z której głos dał się słyszeć. Za krzakami, na pół niemi zakryty stał mężczyzna ogromnego wzrostu, z wielkiemi czarnemi wąsami i takąż brodą, w kapeluszu z piórami na głowie, otulony w aksa-

mitny, ciemno-wiśniowy płaszcz, suto złotem szyty, ze strzelbą zarzuconą przez ramię i z pistoletami za bogatym pasem, który otaczał jego zgrabną i giętką figurę. Stał on, patrząc groźnie swemi wielkiemi, czarnemi oczami, o wyrazie nieco okrutnym i dzikim. Za nim kręciło się kilku ludzi, w zielonych kapeluszach i takichże płaszczach, uzbrojonych w strzelby, noże i pistolety.

— Coście za jedni? powtórzył mężczyzna, który widocznie był naczelnikiem całej tej zbrojnej gromady.

Wyszedł on śmiało z poza krzaków i szedł w swym malowniczym stroju, pięknie wyglądając, ku przerażonym podróżnym. Ci stali przerażeni, skamieniali ze strachu i milczeli, tylko oba psy poczęły warczeć groźnie. Pierwszy Morsang przyszedł do siebie i, kładąc obie ręce na łbach Samsona i Dalili, rzekł:

— Cicho pieski, cicho! Uspokójcie się, żadne niebezpieczeństwo nie grozi waszemu panu. Leżeć, Samson!

Tymczasem nieznajomy mężczyzna podszedłszy blisko zawołał:

— Per Bacco! ależ ja was znam dobrze. Ty jesteś skoczek z cyrku Müllera w Saragossie. Widziałem cię nieraz, jakeś wyprawiał łamańce na lince. Wszak prawda?

Słowa te zwrócone były do Stacha, który stał oniemiały i na zapytanie nieznajomego odrzekł:

— Prawda panie!

— A widzisz, zaraz cię poznałem. A i ty jesteś z cyrku — tu obrócił się do Morsanga — poznaję cię po twoich psach. Dzielne bestye, pysznie skaczą, ale, do licha, uspokój je, bo im w łby postrzelam!

To rzekłszy położył rękę na kolbie pistoletu. Gdy Morsang począł znów uspakajać swe warczące psy, nieznajomy mówił dalej:

— Co wy tu u licha robicie w tym lesie? hę? gadajcie mi zaraz.

Morsang, uspokoiwszy swe psy i trzymając je oburącz za obrożę, rzekł:

— Sennor, my wracamy do swej ojczyzny.

— Do swej ojczyzny! do jakiej ojczyzny?... ale... przecież do licha, tak... tak... przypominam to sobie... mówiono mi o tym nieraz, że ten zręczny skoczek (tu wskazał na Stacha), jest synem hecarza Müllera. Czyżby i Müller opuszczał Saragossę? W takim razie gdzież on jest? Dla czego tu, w tym lesie, na bezdrożu, sami się znajdujecie?

Morsang pobladł, ale nadrabiając miną, rzekł głosem spokojnym, choć drżał mu lekko:

— W rzeczy samej, sennor, Müller opuszcza Saragossę. Czasy są niespokojne, wojenne, a wiesz sennor, że muzy i sztuka wśród szczęku oręża milknąć muszą...

— To wszystko dobrze, ale gdzież jest ten Müller? Dlaczego tutaj w tych dzikich górach

sami się znajdujecie? dlaczego nie idziecie gościńcem?

— Bo... uważa sennor... myśmy chcieli prędzej dostać się do naszej ojczyzny... a Müller ze swemi wozami, przyrządami i pakunkami



powoli się wlecze. A przytem, sennor, ja i mój młody towarzysz jesteśmy wielbicielami pięknej natury, więc woleliśmy iść pieszo, przez te lasy i góry, by napawać się wspaniałemi widokami przyrodzenia...

Wszystko to Morsang mówił jąkając się, głosem dygoczącym i niepewnym, widocznie kłamstwo ciężko mu przychodziło.

— Ta! ta! ta! zawołał nieznajomy, wspaniałe widoki przyrodzenia, wielbiciele pięknej natury. Coś mi to pachnie, mój stary, kłamstwem... A przytym uważam z twej mowy, żeś ty cudzoziemiec. Prawda! — zawołał uderzając się w czoło—wszak mi mówiono, gdym się przypatrywał w cyrku sztukom twoich psów, żeś ty Francuz. Wszak tak? Francuz jesteś? należysz do tego przeklętego narodu?

— W gruncie rzeczy, sennor... nie jestem Francuzem, ale Biskajczykiem.

— Dowiemy się, czem ty jesteś, mój stary. Widzę ja dobrze, że kłamiesz, że to wasze włóczenie się po tych górach i lasach jest bardzo podejrzane. Może szpiegi jesteście Bonapartego rozbójnika? Hej tam!

Tu obrócił się do swych ludzi.

— Związać ręce tym włóczęgom i popędzić ich do zamku. Pójdźcie z nami, dodał do obu podróżnych, a już tam w zamku dowiemy się, co wy tu robicie. Od czegóż jest, wielki Boże, święta inkwizycya. Padre Domenico nie takie tajemnice wykrywał. Dalej w drogę!

Otoczono natychmiast Stacha i Morsanga, którym związano mocno z tyłu ręce. Oba psy poczęły się rzucać w obronie swego pana, ale na

groźbę naczelnika gromady, że zostaną zastrzelone, Morsang uspokoił je i blady, zmieszany mocno, z głową spuszczoną ruszył w milczeniu naprzód. Stacha ogarnęła głucha rozpacz; stracił wszelką nadzieję i najstraszniejszą widział przed sobą przyszłość. Przekonany był, że zostanie wydany Mullerowi, który okropnie się na nim pomści, za zamiar ucieczki. Szedł więc pogrążony w uajsmutniejszych myślach, nie zwracając wcale uwagi na to, cō się koło niego działo.

A tymczasem cała ta gromada, zawsze ze swym panem na czele, posuwała się głuchym borem, wąwozami i przepaścistemi ścieżkami, i po godzinie takiej drogi uciążliwej, tym uciążliwszej dla Stacha i Morsanga, że mieli ręce skrępowane, wydostano się na niewielką nagą płaszczyznę, przez którą wił się, jak biała wstęga, gościniec. Dolina ta dokoła otoczona była błękitniejącemi w oddali górami i czarną smugą lasów. Na jej przeciwnym krańcu, w odległości jakiej dobrej mili, błyszczały pod słońce czerwone wieże i baszty jakiegoś zamczyska, zawieszonego, niby orle gniazdo, na samotnie sterczącej skale.

Tuż pod lasem czekało kilka osiodłanych koni i kilku strzegących je ludzi. Naczelnik zaraz dosiadł przepysznego karego dzianeta, w bogaty rzęd i czaprak przybranego; inni to samo zrobili tak, że przy Stachu i Morsangu zostało tylko czterech pachołków.

— Zaprowadzicie mi tych włóczęgów do zamku i oddacie burgrabiemu don Diego... odpowiadacie głową za nich. Gdyby który z nich chciał uciekać, palić mu w łeb jak psu. Rozumiecie?

— Rozumiemy, sennor!—odrzekli pachołcy.

A sennor tymczasem spiął konia i na czele swych jeźdźców pognał pędem przez gościniec. Przez długi czas widać ich było, migoczących bronią i piórami pod słońce, wreszcie zniknęli w tumanach kurzu.

Wśród tego Stach i Morsang, otoczeni przez swych stróży, ruszyli wolno tymże samym gościńcem. Było już koło południa i w dolinie, niczem nie osłonionej, słońce dopiekało mocno. Przytym z pod stóp idących, wzbijały się całe chmury delikatnego pyłu, który dławił oddech i zasypywał oczy. Stach pogrążony w swych ponurych myślach, nie zważał na to i szedł, mając po bokach dwóch pachołków, raźno naprzód, ale Morsang sterany życiem, ustawał powoli, tak że oddalony był od Stacha o jakie kilkadziesiąt kroków i przy nim został tylko jeden strażnik, bo drugi znudzony takim leniwym krokiem, wysunął się znacznie naprzód. Strażnik ten, który szedł z Morsangiem, był to młody może dwudziestoletni chłopiec, jasny blondyn, o łagodnych, poczciwych, nieco smutnych niebieskich oczach, któremi z współczuciem patrzał na zmęczonego i ustającego ze

znużenia Morsanga. Gdy drugi strażnik natyle się oddalił, że nie mógł nic słyszeć, ów jasny blondyn przysunął się do Morsanga i rzekł w narzeczu biskajskim.

— Czy to prawda, że ty jesteś biskajczyk?

Morsang, którego matka rzeczywiście była Biskajką, znał doskonale to górskie i zgoła odrębne narzecze hiszpańskie. Spojrzawszy na swego towarzysza, na jego poczciwą fizyognomię, oraz sądząc po jego pytaniu, nabył przekonania, że jeżeli uda jego współrodaka, to może mieć w nim przyjaciela, obrońcę i wybawiciela.

Nie wahając się ani chwili, rzekł w tymże narzeczu:

— Tak, mój chłopcze, jestem Biskajczykiem, a wzięto mię tu za Francuza zupełnie niesłusznie.

— Bo widzisz — mówił dalej strażnik — i ja jestem Biskajczyk. A ty z których jesteś stron?

Morsang jak żyje nie był w Biskai, ale pamiętał dobrze, jak mu matka nieraz mówiła, że pochodzi z miasteczka Orosco.

Nie był jednak pewnym, czy dobrze pamięta to nazwisko, mimo to rzekł bez wahania:

— Ja jestem rodem z Orosco, tylko...

— Z Orosco! — zawołał strażnik — a toś ty mój rodak. Wielki Boże, rodaka spotkałem!

Uderzał rękami po kolanach z radości, śmiał się i widocznie był nadzwyczajnie zachwycony

tym, że spotkał rodaka. Morsang patrzał na niego, zdziwiony temi objawami radości, ale nie chcąc się zdradzić, także się śmiał i pytał nawzajem:

— To i ty jesteś z Orosco?

— No! nie z samego Orosco, ale ze wsi, niedaleko tego miasta leżącej, Amaxio. Znasz Amaxio?

— Nie, nie znam.

— Jakże to może być, żebyś ty nie znał Amaxio! Do nas senory i senority z Orosco przyjeżdżają na winobranie, wszyscy Amaxio znają. To niepodobna, żebyś ty nie znał Amaxio!

— Ale bo widzisz... to jest taka rzecz, że ja...

Lecz strażnik nie dał mu dokończyć. W uniesieniu radości, nie wiele uważał na odpowiedź Morsanga i jego wahanie się, i pytał:

— Jak się ty nazywasz?

Pytanie to wprawiło Morsanga w niemały kłopot. Wszelako pamiętał, że jego matka z domu nazywała się Valmaseda, rzekł więc:

— Ja nazywam się Don Pedro Valmaseda!

— Valmaseda! Valmaseda!—zawołał z wybuchem uniesienia strażnik—a toś ty mój krewniak. Wszak ja mam wuja, Don Sebastyana Valmasedę, który jest najlepszym szewcem w Orosco. Bój się Boga, skądeś się ty tu wziął? Jakto być może, że ja o tobie nie słyszałem? Ale... już wiem... ty zamłodu popłynąłeś na

morze. Wuj Sebastyan mi to opowiadał... ty jesteś bratem Don Sebastyana... już wiem... tylko, brat wuja Sebastyana, zdaje mi się, nosił imię Don Karlosa, a ty jesteś Don Pedro... jakże to?

— Tak, mój chłopcze — odrzekł na to z powagą Morsang—ja jestem bratem Sebastyana i mam dwa imiona, dane mi na chrzcie świętym: Pedra i Karlosa. A że mnie na okręcie zwali Don Pedro, więc tak to i zostało.

— Więc ty jesteś moim wujem!

— Tak, widzę ze wszystkiego, że jestem twoim wujem. Jakże się ma twoja poczciwa matka, a moja siostra?

— Niestety! dwa lata temu umarła — zawołał strażnik i łzy zaświeciły w jego poczciwych oczach.

— No, nie płacz chłopcze!—rzekł Morsang, wzruszony temi łzami głębokiego uczucia synowskiego—nie płacz! wszyscy jesteśmy śmiertelni i wszyscy umrzeć musimy. Chodź, niech cię uściskam.

Ale uściskom przeszkodziły więzy, któremi miał skrępowane ręce.

— To nic, rzekł Filip, (bo tak się nazywał mniemany krewniak Morsanga), ja ci ulżę trochę, mój wuju, bo rozwiązać cię zupełnie nie mogę. Tamten zbój, Fernando, gdyby to zobaczył, zarazby doniósł hrabiemu Castaniosowi.

— A któż to jest hrabia Castanios?

— A mój pan... ten co was kazał powiązać... on tam mieszka w tym zamku, co go widać. Zamek zowie się Monegrillo...

To mówiąc, nieznacznie i zręcznie zwolnił więzy Morsanga, tak, że ten uczuł ulgę i szedł już weselej i swobodniej, zamyślając w jaki sposób skorzystać ze znajomości i mniemanego pokrewieństwa z Filipem, by się uwolnić z rąk hrabiego Castaniosa. A Filip tymczasem mówił:

— Mój wuju, gdyby Fernando zbliżył się do nas, udaj że jesteś mocno skrępowany, bo gdyby się hrabia dowiedział o tym, com dla ciebie zrobił... no!... u niego powiesić człowieka, to jakby oliwkę przełknąć. On kazał cię zaprowadzić do Monegrillo. Co on tam chce z tobą zrobić, ja nie wiem, ale z pewnością nic dobrego. Słyszałem, że cię, wuju, nazwał szpiegiem francuskim, a teraz jest wojna z Francuzami i mój hrabia jest generałem... no, może być źle! Ale przecie ja nie mogę pozwolić na to, żeby brata mej dobrej matki zabijano.. nie mogę...

— Słusznie mówisz, mój chłopcze, i byłoby to z twej strony ciężkim grzechem, gdybyś mi nie chciał dopomódz.

— Tak, ja to wiem... ale jakże ja ci, mój wuju, dopomódz mogę?

— Jak? urządź tak wszystko, żebyśmy mogli uciec.

— Jakto, wuju, i tamten ma uciekać? Któż to jest?

— To jest mój przyjaciel i ja bez niego się nie ruszę.

— Hm! zapewne... skoro to jest twój przyjaciel... to co innego. Ale ja nie wiem, jak to zrobić. Tu przecież nie możesz uciekać, mój wuju, bo Fernando, który lata jak zając, zarazby cię dogonił, albo zastrzelił. Słyszałeś przecie, że hrabia mówił, żeby do was strzelać, gdybyście chcieli uciekać.

— To też nikt tu nie mówi, żeby stąd uciekać. Ale z zamku możeby się udało... uważasz chłopcze...

— Z zamku? o! to będzie trudno, bo widzisz, wuju... ale sza, Fernando idzie ku nam. Udawaj, wuju, mocno skrępowanego.

Rozmowa się przerwała, bo drugi strażnik, zwany Fernandem, podszedł do nich i odtąd ani na chwilę ich nie opuszczał. Wkrótce też po uciążliwym nadzwyczajnie pochodzie, zmęczeni, zakurzeni, spragnieni, ujrzeli przed sobą ponure baszty i mury starego zamczyska Monegrillo.

ROZDZIAŁ IV.

W którym jest opowiedziane, jako Fernando o mało nie dostał się do kozy.

Morsang, zbliżając się do zamku Monegrillo, pilnie mu się przypatrywał i oglądał go ze wszystkich stron, o ile je z gościńca mógł dojrzeć. Zamczysko zbudowane było na wysokiej stromej skale, sterczącej samotnie wśród doliny, przerzniętej bystrą i głęboką rzeczką, która opłókiwała stopy owej skały. Na rzece był most zwodzony, a za nim baszta murowana, nizka, pękata, ale budowana mocno. Przez nią wiodła droga do zamku, którą z gościńca było widać, jak spinała się po skale i ginęła w potężnej bramie u samego szczytu. Zamek najeżony był wieżami i wieżyczkami, o oknach wązkich i licznych strzelnicach i wyglądał po-

nuro, wśród tej posępnej, milczącej i dokoła lasami i wielkiemi górami otoczonej doliny.

Most był spuszczony i gdy go przebyto, zaraz go ze zgrzytem przeraźliwym zwiedziono. U rozwartych wierzei baszty stało kilku żołnierzy, żółto i czerwono ubranych, uzbrojonych w karabiny, którzy, jak tylko jeńcy i strażnicy weszli pod sklepienie baszty, zaraz z trzaskiem i hukiem bramę zamknęli. Pod potężnym, ciężkim sklepieniem baszty panował półmrok i chłód bardzo miły po upalnej i pełnej kurzu podróży.



— Hej! Jakóbie, zawołał Fernando głosem donośnym, który posępnym echem odbił się o stare i wilgotne mury baszty—hej! Jakóbie! czy są jakie rozkazy Jego Ekscelencyi co do tych przeklętych włóczęgów?

To rzekłszy, rzucił dzikie i groźne spojrzenie z podełba na Stacha i Morsanga. Fernando był to wysoki, barczysty mężczyzna, z fizyognomią dziką, czarno zarośnięty i zły.

Na jego pytanie z głębi sieni odrzekł jakiś głos:

— Cożeście za ptaszków nam przywiedli?

— A kat ich tam wie!—odparł Fernando—niech ich piekło pochłonie! Pędzić dla tego tałałajstwa dwie opętane mile po skwarze i kurzu, niemając nawet czym gardła odwilżyć... żeby ich szubienica nie minęła! No, cóż? są jakie rozkazy? co ja mam z temi szpiegami robić?

— Szpiedzy są? szpiedzy francuscy? — spytał Jakób, człowiek młody, ze szlifami oficerskiemi na żółtym jak cytryna mundurze, i zbliżył się do Stacha i Morsanga, ciekawie ich oglądając.

— A cóżby innego! i zapewne jutro Ekscelencya każe ich obwiesić na najwyższej baszcie zamkowej — odparł z szyderstwem w głosie Fernando—ale tymczasem, co ja mam z niemi zrobić?

— Masz ich zaprowadzić do zamku i oddać w ręce burgrabiego Don Diego Quixady—takie są rozkazy.

— A więc marsz naprzód, hultaje!

I mrucząc coś pod nosem, Fernando pchnął Stacha tak mocno, że ten się aż potoczył i ruszono z baszty. Zaraz za nią poczynała się stroma ścieżka pod skałą, wązka, kamienista, po obu stronach mająca przepaście czarne. Z wielkim trudem posuwano się pod górę tą

drogą niebezpieczną, tym niebezpieczniejszą dla Stacha i Morsanga, że nie mogli sobie pomagać rękami, związanemi w tyle. Przytym zmęczeni byli mocno, zziajani i pragnienie ich paliło. Stach—jak Stach, młody był, zręczny, wygimnastykowany. ale stary Morsang chwiał się na każdym kroku i gdyby nie jego mniemany siostrzeniec, który mu pomagał w niebezpieczniejszych miejscach, byłby się z pewnością stoczył ze skały. Samson i Dalila wlekli się za nim ze spuszczonemi łbami i wywieszonemi językami. Na końcu samym szedł Fernando, wymyślając i przeklinając wszystkich szpiegów i Francuzów.

W ten sposób dobito się nakoniec na szczyt skały, pod główną bramę zamczyska, mieszczącą się na wysokiej wieży, najeżonej blankami i strzelnicami, z których wyglądały spiżowe paszcze dział. Wielka, ciężka, żelazna, nabijana gwoździami brama była zamknięta na potężne sztaby żelazne, tylko w uchylonej małej furtce stał nizki, zasuszony jak szczapa, siwiuteńki jak gołąb' staruszek, w hiszpańskim płaszczu i kapeluszu, z pękiem kluczy w ręku. Gdy się cały orszak z jeńcami dostał na mały placyk przed bramą, staruszek kiwnął niedbale głową na pełny uszanowania ukłon Fernanda i głosem dygoczącym rzekł:

— Jak się masz, Fernando?

— Zdrów, do usług waszej wielmożności.

— Niech cię Najswiętsza Panna del Pilar ma w swej opiece, ale czekam na ciebie od godziny. Zapewne łotrze jakiś musiałeś wstępować do karczmy tego wydrwigrosza, Juana? no! no! już nic nie mów. Czerwony jesteś, jak piwonia, hultaju, i przez twój przeklęty gardziel całe garnce wina przepłynęły...

— Wasza wielmożności, żebym tu natychmiast skonał, jeżelim choć kapkę wina...

— Milcz, nie zaklinaj się. Niech cię Najświętsza Panna del Pilar ma w swej opiece. A gdzie są więźniowie?

— Oto są ci dwaj hultaje, wasza wielmożności—rzekł Fernando, usuwając się i wskazując ręką na stojących w milczeniu Stacha i Morsanga.

Staruszek postąpił naprzód parę kroków i maleńkiemi, przenikliwemi ale złemi oczami obrzucił bacznie Stacha i Morsanga, poczym usuwając się nieco na bok, rzekł tonem rozkazującym:

— Wprowadzić ich!—i wskazał ręką na rozwartą furtę, i stał czekając, aż cała ta gromada przeszła koło niego, poczym sam się wsunął i z trzaskiem, a zgrzytem zamknął na klucz furtę. Ten zgrzyt złowrogi, rozlegający się głuchym echem po ponurym, na pół ciemnym, sklepionym nizko przejściu, widać mocno oddziałał na Morsanga, bo szepnął dość głośno, tak, że Stach go usłyszał:

— Mój Boże, miej nas w swej opiece!

Stach spojrzał na swego towarzysza zdziwionemi oczami i spytał po francusku:

— Czy pan się boisz, panie Morsang? bo ja, to nie...

Ale słowa jego przerwane zostały głosem staruszka, który groźnie zawołał:

— Milczeć tam! Fernando, hultaju ostatni, niech cię Najświętsza Panna del Pilar ma w swej



opiece, ale pójdziesz na dwa dni na chleb i wodę do ciemnicy, że pozwalasz rozmawiać ze sobą więźniom...

— Racz wybaczyć, wasza wielmożności, ale ja im przecie gęby nie pozatykam.

To rzekłszy, obrócił się do jeńców i pogroził im pięścią. Ale tymczasem staruszek wyszedł już na dziedziniec zamkowy, a za nim strażnicy i więźniowie, nielitościwie szturchani przez Fernanda. Stach zżymał się na to i gdyby miał ręce wolne, byłby z pewnością dał poczuć zuchwałemu żołdakowi swą pięść elastyczną. Był już teraz zupełnie spokojny i zdecydowany na wszystko. Chłód tych ponurych sklepień orzeźwił go, ożywił, natchnął jakąś ufnością w przyszłość. Wyszedłszy na mały dziedziniec, począł bacznie rozglądać się dokoła, przypatrywać się wysokim murom zamkowym, licznym wązkim, gotyckim oknom, piramidom kul, ułożonym pod ścianami i kręcącym się po dziedzińcu żołnierzom. Na środku podwórza biła niewysoka fontanna, która orzeźwiającą świeżość roznosiła dokoła. Zresztą czuć tu było wilgoć w tym zamkniętym na wszystkie strony dziedzińcu, do którego zapewne nigdy promienie słońca się nie przedostawały.

Gdy tu wprowadzono jeńców, zaraz zbiegło się mnóstwo żołnierzy, najdziwaczniej i najrozmaiciej ubranych, i poczęto przypatrywać się Stachowi i Morsangowi, śmiać się, szydzić z nich i obrzucać obelgami. Ale staruszek zaraz temu położył koniec.

— Na Najświętszą Pannę del Pilar, precz mi stąd próżniaki. Czy nie macie nic do roboty? czy broń wyczyszczona, ładunki poro-

bione? Precz mi stąd, bo przysięgam na Najświętszą Pannę, że wezmę się do kija!

Żołnierze na te słowa rozpierzchli się w milczeniu, a staruszek rozkazywał.

— Fernando, zaprowadź ich do ciemnicy numer szósty. Rzucisz im dwie wiązki słomy, dwa bochenki chleba i dwa dzbanki z wodą. Straż przed drzwiami postawić i niech was Najświętsza Panna del Pilar ma w swej opiece.

To rzekłszy, nacisnął swój wielki kapelusz na głowę i zgarbiony podążył żwawym krokiem, dzwoniąc kluczami, na wielkie schody, które widać było przez rozwarte drzwi we frontowej ścianie zamczyska.

Fernando patrzał za odchodzącym, a gdy ten nakoniec zniknął, zwrócił się do obu stojących w milczeniu jeńców i syknął zgrzytając zębami:

— Marsz, łotry, do ciemnicy! Nie wiele brakowało, żeby mię przez was jego wielmożność, pan burgrabia zamkowy, ta stara małpa (dodał cicho) nie skazał na chleb i wodę. Czego stoicie, jak dwa bałwany? Na świętego Jakóba z Compostelli, żebym ja był jego Ekscelencyą, kazałbym was zaraz na tej oto wieży powiesić. Ale co się odwlecze to nie uciecze! Nie minie was to, jakiem Fernando Sancha, sierżant gcryllasów! I czego na mnie wybałuszasz twoje głupie ślepie? (zwrócił się do Stacha); zapewniam cię, gagatku, że twoje gibkie ciało kruki pożrą przez jedną noc. No! marsz do ciemnicy!

Filipie! będziesz straż trzymał do nocy, a potym zobaczymy! Odprowadzić ich! ciemnica numer szósty! pamiętajcie!—Wydawszy takie rozkazy, splunął, ziewnął, przeciągnął się i krokiem leniwym powlókł się w głąb' dziedzińca, a tymczasem Filip, mniemany siostrzeniec Morsanga, mrugnął na niego oczami i począł krzyczeć w niebogłosy:

— Marsz do ciemnicy, przeklęci Francuzi! prędko, marsz, bo jakiem Biskajczyk, poczęstuję was tak kolbą mego karabina, że mię długo popamiętacie! Że to jego Ekscellencya nie każe takich włóczęgów zaraz obwiesić. Darmozjady, będą tylko chleb zamkowy pożerali! No, ruszać się prędko!

Tak krzycząc a współcześnie mrugając oczami na Morsanga, Filip wprowadził obu jeńców w boczne drzwi jednego ze skrzydeł zamkowych, wiódł przez długi i na pół ciemny korytarz, wreszcie po licznych zakrętach, stanął z niemi przy żelaznych drzwiach, które kluczem otworzył. Tu obejrzał się bacznie dokoła, uśmiechnął i szepnął po biskajsku do Morsanga:

— Nie gniewaj się na mnie, wuju, ale musiałem tak krzyczeć, żeby zapobiedz wszelkim podejrzeniom. A teraz rozwiążę wam ręce.

To powiedziawszy, szybko rozerwał sznury i rzekł:

— Chodźmy na dół.

Zamknął za sobą drzwi i począł zstępować po kamiennych i ślizkich schodach, wydepta-

nych mocno, widać, przez liczne stopy nieszczęśliwych więźniów. Zszedłszy z tych schodów, których było kilkanaście, znaleźli się w długim, na pół ciemnym, bo tylko w głębi przez małe, mocno okratowane okienko oświeconym korytarzu, chłodnym i wilgotnym. Korytarzem tym posuwali się jakiś czas w milczeniu, bo Filip położył palec na ustach na znak, żeby się nie odzywali, wreszcie doprowadził ich do drzwi żelaznych, na których białą farbą był wymalowany numer szósty.

Tu z pęku kluczy, który niósł, wyszukał jeden, do którego przywiązana była kartka z takimże numerem i ze zgrzytem i piskiem zawias, dawno niesmarowanych, drzwi te otworzył. Znajdowano się w niewielkiej celi, raczej podłużnej jak szerokiej, słabo oświeconej przez maleńkie okienko u góry, pod samym sklepieniem umieszczone i w potężne kraty podwójne, bo z wewnątrz i z zewnątrz uzbrojone. Ściany były nagie i brudne, a wilgoć po nich strumieniami spływała; posadzka składała się z wielkich płyt marmurowych.

Filip przymknął drzwi i rzekł:

— Oto twoje mieszkanie, wuju. To szczęście, że cię tu razem z twoim przyjacielem umieszczono. Bałem się, żeby ten łotr, Fernando, nie kazał was osobno zamknąć. Nie bardzo tu przyjemnie, ale cóż robić. Zaraz pójdę i powiem, żeby wam tu przysłano słomy. Na słomie nie-

źle się sypia, zwłaszcza po takiej uciążliwej podróży, jaką dzisiaj odbyliście. Sam przyniosę wody, chleba... no.. postaram się też o wino i pieczeń baranią z czosnkiem— dodał ciszej i z dobrotliwym uśmiechem na swej poczciwej twarzy.

— Dziękuję ci, mój siostrzeńcze — odrzekł na to z powagą Morsang — ale mam nadzieję, że nie pozwolisz, by twój krewniak, brat rodzony twej biednej matki, długo w tej niezdrowej ciemnicy się męczył.

— Tss!—syknął Filip i dodał szeptem—mój wuju, bądź ostrożny. Tu ściany mają uszy. W nocy, po drugiej zmianie warty, gdy się wszyscy pośpią w zamku, przyjdę tutaj i pogadamy. Ale teraz milczenie!

Wyrzekłszy to szeptem, począł głośno krzyczeć:

— Siedźcie tu przeklęte Francuzy! Życzę wam, żeby was stąd wyprowadzono jaknajprędzej, ale na szubienicę!—z temi słowami wyszedł, zamykając z trzaskiem drzwi za sobą. Zgrzytnął zamek, potym słychać było oddalające się kroki Filipa, aż i te ucichły.

Stach i Morsang zostali sami.

ROZDZIAŁ V.

Jako Filip, przyniósłszy pieczeni baraniej, dowiaduje się czegoś innego.

— No, mój chłopcze — rzekł Morsang do Stacha, który rozglądał się po celi i niespokojnie ją przebiegał we wszystkich kierunkach — no, mój chłopcze, weszliśmy tu dość szczęśliwie, idzie teraz o to, żeby się również szczęśliwie stąd wydostać.

— To będzie trochę trudniejszym, panie Morsang — odpowiedział Stach — mury są grube, okienko wysoko i kraty ma potężne, sam zamek stoi na wysokiej i odosobnionej skale. Wątpię ja bardzo, czy my się stąd wydostaniemy.

— Wszystko jest w ręku Boga, mój chłopcze! I powiem ci, dodał, siadając na posadzce po

turecku, że gdym obaczył ten zamek na skale, z jego wieżami i basztami, ogarnęło mnie zwątpienie, którego się teraz wstydzę. Tak, mój chłopcze, wstydzę się. Owszem, mam wszelką nadzieję, że stąd się wydobędziemy. Jak? jeszcze nie wiem, ale widzę, że Bóg, Bóg biednych i nieszczęśliwych czuwa nad nami.

Stach pokiwał powątpiewająco głową i rzekł:

— Wszystko mi jedno, co z nami zrobią, byleby mię nie wydali w ręce Müllera. Tego tylko się boję.

— Nic nam nie zrobią i nie wydadzą nas w ręce Müllera, bo my stąd uciekniemy.

— Żartujesz chyba, panie Morsang. Czyż możliwa jest ucieczka z takiego zamku? Twoja wiara w tego żołnierza Filipa może być srodze zawiedziona.

— Nie, mój chłopcze! znam ja ludzi dobrze. Nie darmo tyle lat żyję na świecie i widziałem tylu ludzi i tyle narodów. Filip jest poczciwym chłopcem, a choć okłamałem go, Bóg mi to wybaczy, boć to uczyniłem dla twego i swego ocalenia. A przytym, czyż ja go okłamałem? W rzeczy samej jest to mój krewniak. Moja matka pochodziła z Biskai i nazywała się Valmaseda, a jego matka nosiła to samo nazwisko. Jakie to tam jest pokrewieństwo, nie wiem, ale że jest, to nie ulega wątpliwości. Dzięki też temu, nie wątpię, że Filip nas ocali i dla tego jestem spokojny i wdzięczny Opatrzności,

że w nieszczęściu, jakie nas spotkało, rzuciła nam deskę zbawienia.

— Obyś nie zawiódł się, panie Morsang!

— Nie! nie zawiodę się. Ale cicho... słyszę czyjeś kroki, ktoś idzie ku naszej ciemnicy.

W rzeczy samej, po kamiennej posadzce korytarza rozlegały się ciężkie kroki, jakby kilku osób, zbliżały się, wreszcie zatrzymały się przed drzwiami więzienia. Zaraz też potym ktoś włożył klucz w zamek, zasuwy zgrzytnęły przeraźliwie, drzwi się rozwarły i jasne światło oblało ciemną celę, bo słońce już zachodziło i zmrok ponury tu panował.

We drzwiach stał jakiś starzec, dźwigając w ręku latarnię, a za nim dwóch żołnierzy niosło słomę, chleby i dzbanki z wodą.

— Połóżcie to tam w głębi! rozkazywał starzec.

Żołnierze wnieśli słomę i żywność, położyli to wszystko na ziemi w milczeniu i wynieśli się. Starzec, nie rzekłszy ani słowa, rzucił okiem badawczym na obu więźniów, na ściany i okienko i, nie rzekłszy ani słowa więcej, cofnął się i drzwi zamknął za sobą... Słychać było, jak kroki ich, coraz bardziej oddalając się, dudniały po korytarzu, wreszcie ucichły i posępne, niczym niezakłócone milczenie zaległo ciemnicę.

Morsang podniósł się i, zbliżywszy się do snopka ze słomą, począł go rozwiązywać i słać sobie legowisko, przyczym mówił:

—Bogu należy podziękować, że nas nie rozdzielono i nie zabrano mi mego tłomoczka. Dali nam chleba i wody, ale ja w tłomoczku mam jeszcze nieco sera, trochę pieczeni baraniej i trochę wina. Sprawimy sobie wspaniałą kolacją, prawda chłopcze? A gdy posilimy ciało, to i duch nasz orzeźwieje, zwłaszcza, że mam moją szkatułkę grającą i boski mój mistrz, Mozart, napełni tę posępną ciemnicę jasnym blaskiem swego gieniuszu, ukoi nasze serca i ukołysze do słodkiego spoczynku, który nam po tak ciężkich przeprawach słusznie się należy.

Stachowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Był głodny, jak wilk i gdy poczuł rozchodzący się po ciemnicy, rozkoszny zapach pieczeni, rzucił się na nią i pochłaniał z chciwością. W celi zapanowało milczenie, słychać było tylko głuchy odgłos pracujących zawzięcie szczęk ludzkich i dalekie nawoływania straży. Ciemno było zupełnie, tylko w okienku przeglądał blady blask nieba wieczornego. Stach jeszcze ogryzał kość baranią, gdy Morsang począł się kręcić po omacku, a zaraz potym w ciszy tego ponurego więzienia rozległ się słodki, jedwabisty, melancholijny dźwięk pieśni Mozartowskiej. To szkatułka grała, wypełniała swemi tonami ciszę więzienia, snuła w tej nocy świetlistą wstęgę melodji. Nagle, przez okienko wdarł się promień blady i srebrzysty księżyca, padł na posadzkę i na Morsanga, który

siedział skulony na słomie, twarz ukrył w dłoniach i płakał.

W jakiś czas potym szkatułka grać przestała, zabłąkany promień księżyca zniknął, nieprzejrzana ciemność i cisza zaległa więzienie i słychać było tylko głębokie oddechy dwóch śpiących jeńców.

Jak długo spali, nie wiedzieli. Obudziło ich silne szarpnięcie. Pierwszy Morsang się zerwał i zawołał trochę przestraszony:

— Kto tu? co tu?

— Cicho wuju, cicho! to ja.. Filip. Nie trzeba głośno rozmawiać, bo, powtarzam, w tym zamku ściany mają uszy. -

— Ach to ty, mój chłopcze! rzekł Morsang całkiem roztrzeźwiony—cóż nam przynosisz?

— Najprzód przynoszę wina i trochę pieczeni. Mam tu mojego rodaka, kucharza, pochodzi on z Bilbao, trochę od nas daleko, ale zawsze jest to Biskajczyk. Nazywa się Quincha, dobry człowiek. Dał mi duży kawał pieczeni ze stołu samego hrabiego Castaniosa, przyrządzony tak, że aż ślinka idzie... A tu jest wino. Trochę cierpkie, ale innego nam nie dają.

-- Dziękuję ci za to wszystko, mój chłopcze, ale jeść nam się nie chce. Miałem w tłomoczku trochę zapasów i tym się posililiśmy. Zjedz sam, bo zapewne żywią was tu nieosobliwie.

— Tak sobie... jużcić w domu było lepiej. Ha! skoro, wuju, nie chcesz, to ja sam zjem.

A tymczasem będę opowiadał nowiny, o których się dowiedziałem.

— Czy są jakie nowiny? czy one nas dotyczą?

Wśród tego Stach się obudził także i począł ciekawie przysłuchiwać się rozmowie.

— Oczywiście, wuju, że się was dotyczą — odrzekł Filip zajadając głośno pieczeń — inne rzeczy mnie nie obchodzą.

— Cóż więc dowiedziałeś się? opowiadaj, mój chłopcze.

— A najprzód, mój wuju, przed godziną, z rozkazu hrabiego Castaniosa wysłano umyślnego gońca do Saragossy, żeby stamtąd wielki inkwizytor przysłał paru mnichów do wybadania was, oraz żeby sprowadzono jakiegoś Niemca... nazwiska zapomniałem, który podobno tam w Saragossie jakieś sztuki pokazuje. Po co tego Niemca wzywają, dowiedzieć się nie mogłem...

— O mój Boże! mój Boże!—jęknął Stach—otóż to, czego się najwięcej obawiałem, stać się musi. O! ja nieszczęśliwy, ja sobie chyba życie odbiorę.

— Nie bluźniłbyś przeciw Bogu i religii, mój chłopcze — odezwał się na to poważnie Morsang—wszyscy jesteśmy w ręku Opatrzności i bez Jej woli włos nam z głowy nie spadnie. Ów goniec do Saragossy przed godziną dopiero wyjechał, Müllera tu jeszcze niema i nie będzie, jak jutro lub pojutrze, a do tego czasu, Bóg

wie, co się jeszcze stać może. Ale co to za szum?

— To deszcz, mój wuju — odrzekł Filip — od godziny chmury się zbierają i zapewne będzie długa i potężna burza. Słyszysz, wuju, jak grzmi? W tych górach tutaj, burze są tak straszne, jakich nigdy nie bywa w naszej dobrej Biskajskiej ojczyźnie.

Westchnął głośno i począł pić wino.

— Słuchajno mię, mój siostrzeńcze, odezwał się Morsang po chwilowym milczeniu, trzeba koniecznie, żebyś nam dopomógł. Wsząk dobrze to rozumiesz, że grozi nam długie więzienie, a może co gorszego. Jak myślisz, czy możnaby uciec z tego zamku przeklętego?

— Hm! mój wuju, Bóg mi świadkiem, że chciałbym wam dopomódz. Jesteś bratem mojej matki nieboszczki... jesteś Biskajczykiem... Hm! hm! wiem ja dobrze, co to znaczy sprowadzenie inkwizytorów z Saragossy. Widziałem ja ich. Tu, w zamku, już raz brali oni na tortury jakiegoś Francuza, a potym go zamordowali sztyletami... Straszne rzeczy, powiadam ci, wuju!

— A więc, mój siostrzeńcze, czyż pozwolisz na to, aby brata rodzonego twej biednej matki brano na tortury? by jego stare, wyschłe ciało męczono i sztyletowano?

— Ha! mój wuju... nie powinienem na to pozwolić, nie powinienem i wiem, że jeżeli po-

zwolę, to przepadło moje zbawienie i mój spokój. Ale powiedz, wuju, co ja mam robić, bo przysięgam na wszystko, ja nic wymyślić nie mogę.

— Dopomóż nam do ucieczki.

— Do ucieczki! ale jak? Wszystko zrobię, wuju, tylko powiedz mi jak..

— Bój się Boga! chłopcze, cóż ja ci powiem? Ja nie znam zamku, pierwszy raz w życiu jestem tutaj. Cóż ja ci powiem? Wszak znasz dobrze ten zamek?

— Znam, wuju, oprócz pokoi na pierwszym piętrze, gdzie mieszka pan hrabia, bo tam nas nie puszczają. Ale mają być podobno bardzo piękne te pokoje, pełne złota i aksamitów. Słyszałem o tym od Franciszka...

— Ale co nas tam pokoje hrabiowskie obchodzą — przerwał Morsang.

— Tak, masz rację, wuju, pokoje hrabiowskie nic nas nie obchodzą — powtórzył płaczliwym głosem Filip.

— Więc słuchaj mię, mój siostrzeńcze!

— Słucham cię, mój wuju.

— Czy te kraty w okienku są mocne?

— Czy ja wiem, mój wuju, nie próbowałem ich nigdy.

— Kraty te są bardzo mocne—odezwał się milczący dotąd Stach—przypatrzyłem się im dobrze za dnia. Prócz tego, gdybyśmy je nawet wyłamali, to spotkamy drugie zewnątrz

okna. Ucieczka przez okno jest stanowczo niemożliwa.

— A więc trzeba uciekać przez drzwi—zakonkludował Morsang i zwrócił się do Filipa:

— Czy na tym korytarzu stoi jaka straż?— spytał.

— Nie, tylko ja jeden.

— A kiedy cię zmienią?

— Dopiero rano. Przyjdzie na moje miejsce mój kompan Ignacy, on jest z Walladolidy... dobry chłopiec.

— Mniejsza o niego. A teraz która godzina?

— Gdym tu szedł, biła na wieży północ.

— Hm! — rzekł do siebie Morsang — o tej porze i w tych górach słońce wschodzi zaledwie o godzinie szóstej, mamy więc przed sobą co najmniej pięć godzin czasu...

— Przytym burza się wzmaga z każdą chwilą—dodał Stach—jedyna sposobność do ucieczki, byle ten gamoń chciał nam dopomódz.

Słowa te wymówił po francusku, tak, że ich Filip nie zrozumiał.

Morsang pytał dalej swego mniemanego siostrzeńca:

— Powiedz mi, czy za pierwszemi drzwiami na schodach stoi kto na warcie?

— Nikt nie stoi.

— A masz klucz od tych drzwi?

— Mam, jakżebym się tu dostał? Przytym z tej strony dość odciągnąć zasuwę, a drzwi się same otworzą.

— Doskonale! A na dziedzińcu zamkowym i przy bramie jest warta?

— Rozumie się, wuju, że jest. Choć na taki psi czas zapewne pochowali się gdzie po kątach. Ale jeżeli, mój wuju, chcesz uciekać przez dziedziniec, to lepiej tego nie rób, bo się to na nic nie zda. Przez bramę się nie wydostaniesz, bo jest zamknięta, a klucze na noc odnosi sam pan burgrabia panu hrabiemu.

— A więc którędyż możemy uciec? gadaj, mój chłopcze, bo czas upływa i burza ustanie.

— O! nie ustanie ona, aż rano. Znam ja tutejsze burze, jak zacznie lać, to...

— Tym lepiej, jeno powiedz, którędy uciekać?

— Hm! — zamyślił się Filip — czy ja wiem? Możnaby tędy, przez mury. Jest tam parę kamieni w murze, które się wysuwają. To Fernando odkrył. Nieraz kazał mi ze sobą nocą wymykać się tamtędy z zamku i biegliśmy do karczmy o pół milki stąd. Przez ten otwór można uciec. Warta stoi zdaleka i w czasie takiej burzy, zapewne śpi w budzie pod murem. Tylko, że. .

— Tylko, co! mówże prędko, mój chłopcze.

— Tylko, że tam zejście ze skały jest strome, a jeszcze teraz, przy deszczu, gdy głazy oślizgły, można kark skręcić po ciemku.

— Ba, mój siostrzeńcze, mają mi kark skręcić w tej ciemnicy twoi inkwizytorowie, to wolę go pod otwartem niebem sam skręcić...

Zerwał się i zawołał:

— Prowadź nas, mój siostrzeńcze!

— Jakto! zaraz?

— Oczywiście, że zaraz—nie mamy chwili czasu do stracenia.

— Hm! wahał się Filip — ty wuju uciekniesz, a co ze mną się stanie. Powieszą mię tutaj na wieży, jak tego biednego Sanchę...

— To też uciekaj z nami.

— Wiesz, wuju, że to dobra rada. Na świętego Jakóba z Compostelli, dobra rada! Dokuczyła mi już psia służba w tym zamku. Dobrze, wuju, uciekam z tobą. Zabieram ze sobą broń... ach, jak to dobrze! Jutro Fernando wściekać się będzie, ale ja drwię sobie z niego. Chodźmy wuju!

— Mój chłopcze, idź wprzód, wyjrzyj, czy niema nikogo na korytarzu, na schodach i w tym miejscu, którędy mamy uciec. Zobacz to dobrze i wracaj zaraz.

Filip uznał słuszność tej rady i wyszedł.

ROZDZIAŁ VI.

W którym jest opowiedziane, że i ciemności nocne na coś przydać się mogą.

Z łatwo wytłomaczonym niepokojem i biciem serca oczekiwano na powrót Filipa. Stach zarzucił na siebie płaszcz, małe zawiniątko swoje wziął pod pachę i czekał, natężywszy słuch, chwytając najlżejszy odgłos z zewnątrz. Wreszcie nie mógł wytrzymać na miejscu, a ponieważ Filip zostawił drzwi na pół uchylone, wyszedł na korytarz. Morsang tymczasem, o ile mógł najspieszniej, pakował swój tłomoczek poomacku. Burza wrzała w całej swej sile i szum spadającej ulewy, huk powtarzających się ciągle piorunów, zagłuszył nerwowy szelest, jaki sprawiał Morsang. Wreszcie i on ukończył swe przygotowania i wyszedł także na korytarz.

— Cóż?—spytał—czy wraca?

— Nic nie słychać.

— Ale też burza! Bóg widocznie nam sprzyja.

Stach nic nie odrzekł, bo niepokój, nim targający, wzrastał z każdą chwilą.

— Boże mój! — szepnął nagle Morsang— a moje psy, moi najlepsi przyjaciele, Samson i Dalila?

Nim na ten okrzyk, przejęty niekłamaną boleścią, mógł Stach odpowiedzieć, dały się słyszeć kroki w korytarzu i wkrótce Filip stanął przy więźniach. Był mocno zdyszany z pośpiechu może, a może z trwogi.

— Cóż?—spytał Stach.

— Niema nikogo, droga wolna — odrzekł Filip.

— Ale moje psy, moje drogie pieski, mój Samson i Dalila. Ja bez nich nie pójdę, ja ich nie opuszczę—szeptał Morsang, łamiąc rozpaczliwie ręce.

I nagle powziąwszy postanowienie, rzekł do Stacha:

— Mój młody przyjacielu, uciekaj ty sam, ja się zostanę. Niech się dzieje co chce, ja moich najwierniejszych towarzyszy nie opuszczę.

— Ale, mój wuju, o co chodzi? — zawołał Filip—ja wiem, gdzie te psy zamknął stary Sebastyan. To zaledwie o parę kroków od miejsca, którędy będziemy przechodzili. Tylko, ja się boję, by psy nas nie zdradziły.

— A! niech ci Bóg da zdrowie, mój chłopcze! — zawołał Moršang — skoro tak, ruszajmy w drogę. Boisz się, by Samson i Dalila nas nie zdradziły?

— Któż to jest Samson i Dalila?

— Moje pieski, moi najwierniejsi przyjaciele!

— A tak, mój wuju, boję się, żeby nas nie zdradziły. Jak cię zobaczą, zaczną szczekać z radości, a choć warty się pochowały i śpią po kątach, mogą się jednak obudzić.

— Nie lękaj się, mój siostrzeńcze, nie zdradzą nas. Tylko im słówko szepnę do uszów, a będą cicho jak trusie.

— To dobrze, wuju, a teraz nie rozmawiajmy. W kilku celach, koło których przechodzić musimy, siedzą więźniowie. Mogliby nas usłyszeć.

Mówiąc tak, przebieżono już znaczną większość korytarza, i odtąd zachowywano jak największą cichość, choć wzmagająca się burza, szum wichru i ulewy, głuszył wszelkie szmery. Filip postępował przodem, a za nim Morsang i Stach. Tak dostano się do schodów, przesunięto się przez uchylone drzwi żelazne, szybko przebieżono drugi korytarz i wszyscy trzej znaleźli się na dziedzińcu. Ulewa z głuchym trzaskiem spadała na ziemię, grzmoty nieustannie huczały a noc była tak ciemna, że jeden drugiego nie widział. W zamku nigdzie światła nie było widać, tylko z głębi bramy

głównej padał na dziedziniec, słaby, migotliwy, chwiejny blask, zapewne od latarni pod sklepieniem zawieszonej.

— Czy koniecznie, wuju, chcesz zabrać psy?— spytał szeptem Filip.

— Koniecznie, mój chłopcze.

— A więc chodźmy po nie, ale jeżeli zaszczekają, nie ręczę za następstwa.

— Bądź spokojny.

Ruszono naprzód, zawsze pod przewodnictwem Filipa, którego Morsang chwycił za połę od płaszcza, żeby nie zbłądzić w tych ciemnościach nieprzejrzanych. Stach, mający lepsze, bo młode oczy, dostrzegał przed sobą niepewne cienie swych towarzyszy i szedł za nimi. Filip skręcił na prawo i przemykał się pod ścianą zamkową, nie zważając na to, że z dachu spadały na nich całe strumienie wody. Nagle zatrzymał się i szepnął:

— Wyciągnij rękę wuju, napotkasz skobel od drzwi w budzie. Tam są twoje psy. Staraj się je uspokoić... masz tobie! poczuły nas, wyją! A niech to siarczyste...

W rzeczy samej, psy widocznie poczuły obecność swego pana, bo zaczęły skomleć, szczekać i gwałtownie drapać do drzwi. Szczęściem ryk piorunu, spadłego ze straszliwym trzaskiem gdzieś w pobliżu, zagłuszył te niewczesne oznaki psiej radości. Zaraz też Morsang znalazł się przy drzwiach od budy i, wyjmując skobel, szeptał:

— Cicho, moje pieski, cicho, bo inaczej zginiemy wszyscy. Dobrze, dobrze Samsonie, popieścimy się kiedyindziej, gdy niebezpieczeństwo minie. Cicho Dalilo, cicho!

Psy, w rzeczy samej, jak gdyby zrozumiały te słowa swego pana, umilkły i odtąd w największej cichości postępowały obok, ocierając się niekiedy o jego nogi dla okazania niemej swojej uciechy. Posuwano się jakiemiś dość krętemi drogami, wśród ulewnego deszczu, potykając się co chwila, aż wreszcie Filip stanął i szepnął:

— Jesteśmy przy murze. Nadstaw uszów, wuju, czy nie słyszysz nic?

— Nic! prócz wycia wichru, plusku deszczu i grzmotów, ucho moje innego głosu nie chwyta.

— To dobrze. Powiedz swemu towarzyszowi, żeby mi pomógł do wydobycia głazu z muru.

Stach na to żądanie, wypowiedziane szeptem przez Morsanga, posunął się naprzód i ze zręcznością i siłą, wyrobioną przez ćwiczenia gimnastyczne, chwycił wskazany mu głaz i w jednej chwili sam go odwalił. Ukazał się ciemny, dość szeroki otwór, na którego drugim końcu widać było niebo nieustannie prute zygzakami błyskawic.

— Za mną! — szepnął Filip — niech wuj za mną idzie, a ty na końcu! — szepnął do Stacha i wsunął się w otwór.

Za chwilę był już na drugiej stronie; niemniej łatwo przesunął się wyschły jak szczapa Morsang, wołający na swe psy:

— Tu, tu, Samsonie! tu, Dalilo! — za mną, moje pieski!

Psy, wyćwiczone we wszelkich sztukach, wykonały ten rozkaz sprawnie i zręcznie; za niemi podążył Stach. Wkrótce wszyscy znaleźli się poza murem zamkowym, na wolnym powietrzu.

Morsang padł na kolana i szepnął:

— Dziękuję Ci, wielki Boże, niech będzie imię Twoje chwalone!

— Mój wuju — szepnął Filip — uciekajmy! nie mamy ani chwili czasu do stracenia. Teraz grozi nam największe niebezpieczeństwo. Ścieżka, w skale wyżłobiona, jest wązka, jedno błędne stąpniecie, a stoczymy się w przepaść Przytym uważajcie... skała jest naga, jeżeli straż jest na murze, a powinna być na nim, to gdy błyskawica rozświeci niebo, może nas spostrzedz, a wtedy przepadliśmy.

— Boże!—szepnął Morsang—zgaś Twe błyskawice!

— Trzymajcie się mnie i ruszajmy w Imię Pańskie! — rzekł Filip, przeżegnał się i śmiało puścił się naprzód.

Urządzono się tak, że Morsang schwycił Filipa, który szedł naprzód, za połę od płaszcza, a Stach, postępujący na końcu, zrobił to samo.

z płaszczem Morsanga. Tym sposobem ostatni, jako najsłabszy i któremu największe groziło niebezpieczeństwo w ciężkiej przeprawie po przepaścistej drożynie skalnej, znajdował się we środku i w razie potrzeby, mógł znaleźć pomoc w obu zręcznych i wygimnastykowanych chłopcach. Psy biegły przodem w radosnych podskokach, ale wyćwiczone przez swego pana i karne, skoro im kazał milczeć, milczały jak zaklęte.

Zejście było nadzwyczaj trudne. Pominąwszy już spadzistość drogi. noc ciemną i burzliwą, kamienie oślizgłe, ale jeszcze silny wiatr dął z boku, niekiedy z taką gwałtownością, że nawet Stach musiał osadzać się na swoich mocnych nogach, by nie być pogrążonym w przepaść. Deszcz przytym smagał nielitościwie. Filip szedł wolno i ostrożnie; wprzód nim zrobił krok, zbadał grunt kolbą karabina, a potym dopiero nogę stawiał. Co chwila zatrzymywał się, by odetchnąć nieco i przy blasku błyskawic zbadać położenie. Te błyskawice nabawiały go śmiertelnej trwogi, bo choć straże z pewnością przed nawałnicą pochowały się do budek strażniczych, a nawet drzemały, wszelako zdarzyć się mogło, że który z czujniejszych wartowników mógł wychylić głowę lub wyjść na chwilę na mury dla zobaczenia, co się dzieje na świecie. Na szczęście burza zdawała się cichnąć i oddalać; od

chwili, gdy uciekająca trójka zbiegów poczęła się spuszczać ze skały, ani jedna większa i jaśniejsza błyskawica nie oblała swym światłem okolicy; błyskało się tylko gdzieś daleko i grzmoty cichły.

— Bóg wysłuchał modlitwy mojej--szeptał Morsang — i zgasił błyskawice. Niech będzie Imię Pańskie błogosławione!

Właśnie, gdy to mówił, Filip zatrzymał się na chwilę, badał grunt kolbą i nogą, i rozglądał się daleko, choć wśród tych czarnych ciemności, nic zobaczyć nie mógł.

— Mój siostrzeńcze—szeptał Morsang—dlaczego się zatrzymujesz?

— Nie jestem pewny... tak ciemno, że nic nie widać... lękam się, czyśmy nie zeszli ze ścieżki, mój wuju.

— Sądzę — odparł Morsang—że to nic nie znaczy. Czuję dobry grunt pod nogami. Czyż to więc nie wszystko jedno którędy idziemy, byleśmy tylko z tej skały zeszli?

— Nie, wuju, nie wszystko jedno. Jeżeliśmy zeszli ze ścieżki, to możemy dojść do tak spadzistej, gładkiej jak ściana skały, że z niej zejście będzie niepodobne. Cóż za przeklęte ciemności!

— Mój siostrzeńcze, nie przeklinaj tego, co jest dziełem Bożym. Tak światło jak i ciemności są jego tworem. A zresztą, czyż ta ciemność nie sprzyja naszej ucieczce? czyż

Pan Wszechmocny nie osłonił nią nas, niby płaszczem?...

— Tak... ale jabym wolał trochę światła, bo dalibóg, obawiam się, nie jestem pewny... może...



Nie skończył, bo w tej chwili ze straszliwym trzaskiem uderzył grom gdzieś tak blizko, że ich na chwilę ogłuszył i oślepił, a blask od niego był tak silny, że cała okolica, ponure mury zamczyska, oświecone były niby w dzień jasny i widny.

Stach, który w czasie rozmowy Filipa z Morsangiem odwrócił się był, dla osłonięcia się przed zimnym i przenikliwym wichrem i stał twarzą ku zamkowi w chwili, gdy piorun rozświecił całą oko-

licę, spojrzał na mury i ujrzał na nich wyraźnie ciemną sylwetkę żołnierza. W bagnecie jego karabina światło pioruna zapaliło oślepiające blaski i widać go było, jak stał pochylony nieco naprzód, jakby się wpatrywał w jakiś przedmiot na dole.

— Przepadliśmy! — szepnął Stach — warta nas zobaczyła.

— Tss! — syknął Filip — na szczęście wiem teraz, gdzie jesteśmy, ruszajmy!

Ale w tej chwili od strony murów zamkowych wiatr przyniósł donośny okrzyk:

— Hej tam! kto idzie?

— Boże!—szepnął Morsang—zobaczył nas. Co robić?

— Milczeć!—odrzekł Filip—gdyby nas zobaczył, a raczej gdyby był pewny, że tu są ludzie, toby strzelał. Taki jest rozkaz. Skoro więc nie strzela, nie jest pewny...

Poraz drugi to samo pytanie rozległo się wśród ponurego wycia wichru i wreszcie ucichło zupełnie.

— A więc nie jest pewny i boi się alarmu narobić, bo zato jest surowa kara. Dalej w drogę, jeszcze kilkanaście kroków, a znajdziemy się w takim miejscu, że nas nawet w biały dzień nikt nie mógłby zobaczyć z murów.

Ruszono więc znowu z zachowaniem wszelkich ostrożności. Stach, choć był zręczny

i gibki, aż się spocił mimo zimnego wiatru, zwłaszcza, że Morsang kilka razy się potknął i pośliznął, tak że z trudnością obaj z Filipem zdołali go utrzymać.

— Nie, moi przyjaciele—rzekł Morsang po jednym takim potknięciu się — ja nie pójdę dalej. Zostawcie mnie tu a sami się ratujcie. Jam stary i czas mi już umrzeć.

— Co też pan mówisz, panie Morsang — szepnął Stach—nie zostawimy tu pana za nic na świecie. Dalej, naprzód śmiało, bo czasu szkoda. Świt za godzinę będzie.

Nakoniec Filip zatrzymał się, odetchnął ciężko i rzekł wesoło:

— No! tu już nas nikt nie zobaczy, choćby wszystkie błyskawice naraz rozjaśniły niebo. Odpocznijmy sobie nieco, bo jeszcze mamy przed sobą kawałek ciężkiej drogi.

Odpoczęli i po kilku minutach, poczęli znów schodzić z góry. Niebawem znaleźli się na samym dole i przy świetle błyskawicy, ujrzeli przed sobą równinę, zarośniętą trawą i krzakami.

ROZDZIAŁ VII.

W którym Filip nabiera przekonania, że człowiek milczący nie koniecznie jest złym człowiekiem.

Radość wszystkich trzech była wielka, gdy się nakoniec znaleźli na owej bagnistej łące, otaczającej dokoła skałę zamkową. Morsang przedewszystkim padł na kolana i w cichej rzewnej modlitwie dziękował Bogu za ocalenie. Stach stał, patrzał na zamek, którego szczyty baszt od czasu do czasu ukazywały się na chwilę w świetle błyskawic i milczał. A Filip z wyraźną radością w głosie mówił:

— No! tośmy im umknęli gracko. Dopiero to tam będzie się Fernando jutro wściekał i wszystkim wartownikom wymyślał, a Don Diego z pewnością wsadzi ich na jakiś tydzień

do ciemnicy na chleb i wodę. Ale oni się tem nie zmartwią, wyśpią się przynajmniej do syta.

— Żal mi ich—rzekł na to Morsang—ale Bóg świadkiem, że to nie nasza wina.

— Żal ci ich wuju, a dla czego?

— Najprzód dla tego, że będą uwięzieni w ciemnicy, a potym głodni.

— Wolne żarty, wuju! Najprzód co do więzienia, to oni mu będą radzi, bo powtarzam wyśpią się i wypoczną sobie. Ja sam nieraz siedziałem, starałem sie nawet o to, bo w tym zamku dla żołnierza psia jest służba. Co do głodu... ha! ha! ha! wiesz, wuju, że my w ciemnicy lepiej żyliśmy, jak na wolności. Córka i żona strażnika więzień wszystkiego nam dostarczały, oczywiście za pieniądze, a nawet czasem na kredyt. Święte życie jest w kozie! Ale ja tu gadam, a czas ucieka. Ruszajmy w drogę, bo przed świtem musimy być w górach, a do gór mamy dobrą godzinę pochodu.

Był wesół, śmiał się, zacierał ręce i nie zważał na to, że rzęsisty deszcz, padający nieustannie, przemoczył go do nitki, a piękny kapelusz wojskowy tak zniszczył, że skrzydło z obu stron zwisło, jak u postrzelonego ptaka.

Ruszono więc naprzód w jaknajlepszym usposobieniu po mokrej i błotnistej łące. Oba psy biegły przodem, naszczekując niekiedy radośnie, czego im Morsang nie bronił z tego

względu, że głos ich nie mógł już dojść do zamku, zwłaszcza, że wiatr był z przeciwnej strony. Droga niekoniecznie była dobra; zapadano niekiedy w grzązkie bagna, a deszcz lał nieustannie, co jednak nie psuło dobrego humoru zbiegom.

Filip przytym nieustannie mówił, ani na chwilę usta mu się nie zamykały.

— Nie uwierzysz, wuju, prawił, jaki ja jestem szczęśliwy, żem się wydobył z tego przeklętego zamku. Psia służba, powiadam tobie. Od rana do nocy i od nocy do rana to warty, to mustry, to rozmaite wycieczki w okolicę, nigdy spoczynku. Fernando, nasz sierżant, jest łotrem ostatnim; okradał nas ze wszystkim i jeszcze kazał sobie nieraz nocą towarzyszyć do karczmy przez ów otwór w murze. I myślisz, wuju, że poczęstował człowieka choć kapką wina? Gdzie tam, sam wchodził do izby i jadł i pił, a mnie przed sienią kazał wartować. I gdybym był pisnął o tym choć słówko burgrabiemu, toby mię zabił. O! do licha, wpadłem w błoto! Na nic pójdą moje kamasze piękne!

Wygramoliwszy się z błota pocieszał się zaraz słowami:

— Co mi tam kamasze, kiedy jestem wolny jak ptak. Uf! jak to dobrze nie czuć nad sobą ręki Fernanda!

Wciągał w płuca chłodne, świeże powietrze i przyśpiewywał sobie wesoło.

— Wrócę do Amaxio, do mojej roli, moich owiec! Wyrzekam się na zawsze służby wojskowej. Nie chcę znać żadnych sierżantów i burgrabiów i hrabiów! A przytym, mówią, że ma być wojna.

— Czy to prawda, wuju, że będzie wojna?

— Tak mówią.

— Tak i ja to słyszałem, podobno z Francuzami. Powiedz mi wuju, co mnie to może obchodzić i za co ja się mam bić i krew przelewać?

— W rzeczy samej, mój chłopcze, nie powinno cię to nic obchodzić.

— Ja sobie też tak samo myślałem i cieszę się, wuju, iż jesteś tego zdania. Głupi ludzie wymyślili wojnę. Czy nie lepiej rolę uprawiać, owce hodować i żyć spokojnie? Czy nie prawda, wuju?

— Prawda, mój chłopcze.

— A wojna to co? zniszczenie, morderstwa, głód i choroby. Ja nie rozumiem, co ludzie za przyjemność znajdują we wzajemnym zabijaniu się. Mówią, że cesarz Francuzów, Napoleon, jest ludożercą. Nie wiem, czy to prawda, ale jeżeli jest tak, to po co go zaczepiać? Czy przez to, że on jest ludożercą, nasza rola da mniej zboża, nasze owce mniej wełny, a nasze winnice wina? Prawda, wuju, że nie dadzą one mniej niż zwykle?

— Masz zupełną słuszność, mój chłopcze!

— Powiadali wszyscy tam, w tym przeklętym zamku Monegrillo, że Filip, to jest niby ja, jest głupi. Niechże sobie będę głupi, ale ja wiem, że wojna jest nieszczęściem, a ja do tego nieszczęścia ręki przykładać nie myślę. Dla tego wracam do Amaxio.

Umilkł i po chwili zapytał:

— A ty, wuju, czy wracasz ze mną do Amaxio?

— Ja... mój siostrzeńcze... nie wiem jeszcze... muszę pójść do Francyi, mam tam różne sprawy i interesa do załatwienia.

— Głupstwo, wuju, co cię tam jakieś interesa i sprawy obchodzą. A potym Francuzi to podobno straszny naród, a ich cesarz jest ludożercą. Po co tam chodzić, mój wuju? jeszcze cię zarzną, jak barana, na rożen wsadzą, upieką i zjedzą.

— No! nie wielką by to mieli ze mnie obradę -- zaśmiał się Morsang — chudy jestem, jak szczapa, skóra tylko i kości.

— Co prawda, to prawda, nie bardzoby się najedli tobą, mój wuju, ale zawsze... Ot wiesz co, wuju, porzuć tę myśl podróżowania do Francyi. Chodź ze mną do Amaxio. Jesteś bratem rodzonym mej biednej matki i przyjmę cię z radością pod dach mej chaty. Będziesz pilnował winnicy. To wcale nie ciężka robota. No cóż, dobrze?

— Nie odmawiam ci, nie odmawiam, mój siostrzeńcze. Zobaczymy, jak się stąd szczę-

śliwie wydostaniemy. Przedewszystkim powinniśmy o tym myśleć, żeby jaknajbardziej oddalić się od zamku Monegrillo.

— Masz słuszność, wuju, ale teraz już ja ich się nie boję, ani Fernanda, ani pana burgrabiego, ani pana hrabiego. Góry już muszą być niedaleko, a tam nie łatwo nas znajdą.

— A czy znasz drogę wśród gór?

— No... szczerze mówiąc, mój wuju, nie bardzo... ale zawsze sobie sam radzę, od czegóż głowa i język?

— Zapewne, zapewne, ale lepiej nie pytać, żeby śladu za sobą nie zostawiać — zauważył Morsang.

— Ha! to prawda... i widzę, mój wuju, że ty jesteś mądrzejszy odemnie. Zawsze mi też moja nieboszczka matka mówiła: Filipie, mój synu, słuchaj starszych, bo oni sa mądrzejsi od ciebie. To też, wuju, będę cię słuchał.

— Cieszy mię to, mój chłopcze, i mam nadzieję, że Bóg nas nie opuści.

Przez cały czas tej rozmowy, Stach nie odezwał się ani słówkiem. Szedł na końcu, pogrążony w myślach, otulając się w płaszcz przed deszczem i wichrem. Burza wprawdzie ucichła i chmury poszły gdzieś na północ, zdala tylko dając znać posępnym, głuchym grzmotem, że złość swoją wywierają na inne okolice. Niebo poczynało się wyjaśniać, tu i owdzie na

wet pokazywały się gwiazdy, deszcz ustawał i na wschodzie bielał już świt poranku.

To milczenie Stacha zwróciło w końcu uwagę gadatliwego Filipa. Obejrzał się raz i drugi i, zbliżywszy się do Morsanga, zapytał szeptem:

— Mój wuju, czy ten twój towarzysz jest niemową?

— Dla czego?

— Bo nic się nie odzywa, a wiesz, wuju, że w naszym kraju ludzi milczących uważają za złych i niebezpiecznych.

— Nie wierz temu, mój siostrzeńcze, mój towarzysz jest najlepszym i najpoczciwszym chłopcem.

— A dlaczego on nic nie mówi?

— Czy ja wiem, może jest zmęczony, może mu zimno.

Filip, wysłuchawszy tego, szedł jakiś czas w milczeniu, wreszcie zapytał:

— A jak on się nazywa ten twój towarzysz i dokąd on idzie?

— Wraca do swego kraju.

— To dobrze, to bardzo dobrze, mój wuju, bo jabym nie chciał, żeby on szedł z nami do Amaxio. Bo chociaż mówisz, mój wuju, że jest on poczciwym chłopcem, ja jednakże nie lubię i boję się mruków. Moja nieboszczka matka zawsze mi mówiła: Filipie, mój synu, strzeż się mruków.

Mówił to szeptem i co chwila oglądał się na pogrążonego w swych myślach Stacha. Morsang zaniepokoił się trochę tą podejrzliwą niechęcią Filipa, którego pomoc w dalszej ucieczce była konieczną i niechęć tę postanowił wyrugować z ciasnej głowy Biskajczyka.

— Muszę ci zrobić uwagę, mój siostrzeńcze— rzekł z powagą — że prawisz niedorzeczności. Raz ci już powiedziałem, że mój towarzysz jest zacnym i dzielnym chłopcem i twoja niechęć i obawy są zupełnie nieuzasadnione. Twoja nieboszczka matka, a moja siostra, była dobrą kobietą, ale mało świata i ludzi widziała...

— Co też mówisz, mój wuju!—zawołał Filip — alboż to w Amaxio mało jest ludzi? A w Orosco? czyż moja nieboszczka matka nie bywała w Orosco?

— Bywała, ja to wiem, ale sam przyznasz, że Amaxio i Orosco nie jest jeszcze całym światem.

— No... rozumie się... rozumie. Ho! ho! świat jest wielki. Z Orosco do zamku Monegrillo szliśmy pięć dni i przez jakie góry i rzeki. Ho! ho! a za Monegrillo, ile jest jeszcze świata! Tak, tak! masz słuszność, mój wuju, że świat jest wielki.

— Otóż trzeba ci wiedzieć, mój siostrzeńcze, że nie wszędzie ludzi milczących uważają za złych i niebezpiecznych. Owszem, sam Bóg pochwala milczenie, a są narody, które powia-

dają, że mowa jest srebrem, a milczenie złotem. I więcej ci jeszcze powiem, o! mój siostrzeńcze! Są na ziemi klasztory, zamieszkałe przez mnichów, którym niewolno mówić, którzy muszą zachować nieustanne milczenie i takie poświęcenie, taka ofiara miłą jest Bogu.

Filip słuchał tego z głębokim skupieniem i zdawał się rozmyślać nad słowami swego mniemanego wuja. A tymczasem deszcz ustał zupełnie, szary świt zapanował i widno się na tyle zrobiło, że można było dostrzedz najbliższe przedmioty. Łąka widocznie się kończyła i poczynały się nagle wysokie skały, dzikie i porosłe lasami.

— Dzień już się robi—rzekł Morsang—i góry mamy przed sobą. Chwała niech będzie Najwyższemu, że nas jak Daniela biblijnego, wydobył cało i zdrowo z tej lwiej jaskini. Jak tylko wejdziemy między te góry, odpoczniemy sobie trochę, bo moje stare nogi wymawiają mi już posłuszeństwo. Musimy się też trochę oporządzić i oczyścić w jakim źródle, bo wyglądamy okropnie. Jesteśmy zabłoceni, zawalani, przemoknięci i brudni.

Spojrzeli po sobie i mimowolnie się roześmieli, ze swych kapeluszy obwisłych, ze swych twarzy i rąk obryzganych błotem, ze swych płaszczy tu i owdzie poszarpanych i przemokłych.

— No! no! — mówił Morsang — nie smiejmy się. Na wojnie jak na wojnie. Wyglądamy co prawda bardzo smutno, powiem nawet, podejrzanie, ale jesteśmy wolni, za co trzeba gorąco podziękować Bogu. Jak tylko znajdziemy dobrze ukryte i bezpieczne schronienie w tych zbawczych górach, które piętrzą się przed nami, przedewszystkim nieśmiertelnym hymnem mego boskiego mistrza powitamy jasną gwiazdę dzienną, słońce, które już różowi i złoci niebiosa ot... tam... na wschodzie. Ale spieszmy się, bo nie trzeba, by nas dzień zastał na tej płaszczyźnie.

Wyruszono więc dalej i wkrótce zapuszczono się wązką ścieżką na olbrzymie, nagie skały pokryte mchem wilgotnym i karłowatemi krzakami sośniny. Z gór spadały z wartkim szumem całe potoki wody, nagromadzonej na szczytach przez deszcz całonocny. Dzień szybko się robił i choć tu w dole, między skałami panował jeszcze mrok posępny, na szczytach błyszczał już jasny, słoneczny dzień. Góry brzmiały chórem zbudzonego ptactwa.

Ścieżka pięła się ciągle pod górę i gdy trzej zbiegowie zmęczeni mocno, znaleźli się na jednym z nagich szczytów, Morsang się zatrzymał i rzekł:

— Moi chłopcy, stańcie i spójrzcie na okolicę i na zamek... Macie lepsze od moich, bo młodsze oczy. Czy widać stąd zamek?

— O! widać go doskonale, choć mgła go pokrywa—odrzekł Filip.

— Czy nic szczególnego nie dostrzegacie tam?

— Za daleko jest, odezwał się Stach, by można co zobaczyć, przytym biała mgła pokrywa całą okolicę i wiele szczegółów zasłania. Sądzę jednak, panie Morsang, że możemy tu, na tej skale, zatrzymać się na słońcu, odpocząć i wysuszyć. Słońce rozpędzi wkrótce mgłę i wtedy nic nie ujdzie przed naszym wzrokiem. Gdyby wysłano pogoń, dość wcześnie ją spostrzeżemy, by się ukryć.

— Dobrze mówisz, chłopcze, a więc spoczywajmy i niech stary mój mistrz powita wspaniałym hymnem rodzący się dzień jasny.

Zrzucił z pleców tłomoczek, wydobył swą szkatułkę grającą i, ku wielkiemu zdziwieniu Filipa, nakręcił ją i wśród tej dzikiej przyrody górskiej, pod jasnym niebem Hiszpanii, na tle świergotu ptactwa, szumu sosen, rozperliły się jedwabiste, ciche, rzewne tony pieśni Mozartowskiej.

ROZDZIAŁ VIII.

Jako Stach usłyszał w Tolozie polskiego mazurka i co z tego wynikło.

W parę tygodni potym, w pewien cichy wieczór listopadowy, trzej zbiegowie wchodzili do miasta Tolozy. Znacznie się zmienili. Przedewszystkim Filip zrzucił swój mundur żołnierski, a natomiast przebrał się w suknie wieśniaka hiszpańskiego, co oczywiście było koniecznym dla zatarcia za sobą wszelkich śladów i zmylenia pogoni. Stary Morsang przez czas tej podróży, pełnej niebezpieczeństw, wychudł jeszcze bardziej i tak był zmęczony, że ledwie nogi za sobą powłóczył. Płaszcz na nim wypełzł i podarł się w wielu miejscach, a buty gwałtownie domagały się odpoczynku. Dwaj jego wierni towarzysze, psy, Samson i Dalila

także opłakanie wyglądały. Wychudły tak, że kości przez skórę przeglądały, a sierść na nich zżółkła i najeżyła się w sposób budzący litość.

Jeden tylko Stach, mimo, że miał ubranie poszarpane i zniszczone mocno, wyglądał zdrowo i rzeźko. Poczucie swobody, wydobycie się z ciężkiej niewoli Mullera, ożywiło go, przywróciło mu dobry humor i wesołość. Kiedy dwaj jego towarzysze upadali ze znużenia i tracili wszelką otuchę, on jeden śmiał się,, dodawał im odwagi i zachęcał do wytrwania. Co prawda, wyglądali wszyscy trzej na żebraków lub podejrzanych włóczęgów, ale pocieszało ich to, że dla Morsanga i Stacha granica francuska a dla Filipa jego rodzinna Biskaja, była zaledwie o parę dni drogi oddalona. Choć byli zmęczeni mocno, choć wyglądali niezbyt zachęcająco, wchodzili jednak do Tolozy z uczuciem bezpieczeństwa zupełnego i nadzieją wygodniejszego spoczynku.

— Moi chłopcy—rzekł Morsang, zatrzymując się tuż przed miastem — trzeba przedewszystkim policzyć się z naszemi pieniędzmi. Idzie bowiem o to, czy możemy sobie pozwolić na zbytek przenocowania w oberży i zjedzenia zupy gorącej, bo o pieczeni niema co mówić.

Stach na myśl o pieczeni, której dawno już nie widział, westchnął żałośliwie i wydobył z kieszeni skórzany woreczek, mocno wyszarzany, objętości bardzo skromnej i rzekł po-

trząsając nim, dla wywołania dźwięku zawartych w środku pieniędzy:

— Mam jeszcze trzy talary srebrne!

— Co prawda — odpowiedział Morsang z uśmiechem — nie masz się czym tak bardzo, mój chłopcze, chwalić. Trzy talary! bodaj czy ci wystarczą do Francyi.

— Muszą!

— No! no! obaczymy. A ty, Filipie, ileż tam posiadasz?

Filip usiadł na przydrożnym kamieniu, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej długi płócienny worek, na dnie którego znajdowało się kilka srebrnych pieniążków. Wysypał je na dłoń i rzekł głosem płaczliwym:

— To cały mój majątek, wuju.

— Bardzo skromny, przyznać trzeba, że bardzo skromny!—odezwał się Morsang. — Pokazuje się, że ja jestem z was wszystkich najbogatszy, bo posiadam jeszcze całych dziesięć talarów i trochę drobnych. No! moi chłopcy, dziękujmy Bogu i za to. A ponieważ Francya jest niedaleko i ponieważ zasłużyliśmy na dobrą kolacyą i wygodny spoczynek, a więc... niech co chce będzie... pójdziemy do oberży, zjemy pieczeni i wyśpiemy się na łóżkach. Ja płacę!

— Niech żyje pan Morsang!—krzyknął Stach, podrzucając swój mocno zdezelowany kapelusz.

— Dziękuję ci za twe życzenie, mój chłopcze, — rzekł Morsang, poprawiajac na sobie

tobołek — ale radzę ci nie rzucać kapelusza w górę poraz drugi, bo mogą spaść z niego tylko szczątki, a innego nie masz.

— Przyznaję słuszność słowom twoim, panie Morsang. W istocie, mój kapelusz dyabelnie jest zmarnowany. Ale to nic... co mi tam kapelusz, skoro jestem wolny, skoro...

Nie dokończył, bo nagle wśród ciszy wieczornej rozległy się dźwięki muzyki wojskowej. Przy lekkim wietrze odgłos trąbek, w zgodny takt grających, rozlegał się daleko. Stach zatrzymał się, umilkł i cały w słuch się zamienił. On te skoczne i melancholijne zarazem tony skądciś zna, one brzmią mu w duszy dawnemi wspomnieniami, nuta jakaś zasłyszana bardzo dawno, tam w dzieciństwie, nad brzegiem Pilicy...

— Boże! szepnął w zachwyceniu i chwytał uchem każdy ton, każdy dźwięk przypominający mu dzieciństwo.

A muzyka brzmiała jeszcze głośniej, odbijała się o stare mury Tolozy, rozpływała się po dolinach, odgrzmiewała echem od gór Pirenejskich, od odwiecznej Iberów dziedziny, poraz pierwszy słyszącej te tony załosne a rzeźkie.

— Co tobie Stachu? spytał Morsang.

Stach ocknął się, przetarł oczy łez pełne i rzekł:

— A! panie Morsang, ja tę pieśń znam, to jest moja pieśń ojczysta... ja ją tam słyszałem... daleko... daleko, nad Pilicą.

— Hm! odparł na to Morsang — to dziwne. Nie jest to pieśń francuska, choć to pewno moi rodacy tak grają, bo przecie wszędzie nam po drodze mówiono, że Francuzi już są w Hiszpanii. Ha! chwała Bogu, że już ich spotkamy. Ale zamiast tu stać i wsłuchiwać się w tę skoczną muzykę, lepiej chodźmy do miasta, to zobaczymy, kto tam tak gra.

Ruszył żwawo przodem, a za nim Stach, cały zasłuchany w rzeźkie dźwięki trąbek, ciągle wygrywających tę samą pieśń, na pół nieprzytomny, z jakimś żalem wzbierającym mu w piersi, płacząc jak dziecko—a wreszcie Filip, który całej tej sceny nie mógł zrozumieć i patrzał się szeroko rozwartemi oczami to na Stacha, to na Morsanga.

Na ulicach Tolozy były pustki, miasto jakby wymarło.

Rzadcy przechodnie z pośpiechem wbiegali do domów, zamykali za sobą bramy i okna z trzaskiem, tylko tu i owdzie jakaś głowa wychylała się z przerażeniem z poza murów.

Morsang schwytał jakiegoś biegnącego szybko Hiszpana i spytał:

— Kto tak gra? czemu pan tak uciekasz?

— Polacy! zawołał Hiszpan i w przerażeniu widocznym pobiegł dalej.

— Co on powiedział, panie Morsang?—spytał Stach gwałtownie — zdaje mi się, że mówił: Polacy!

— Tak, ale nie rozumiem, czego oni tak uciekają...

— Polacy! tu są Polacy! — wołał Stach — chodźmy, chodźmy prędko. Nie omyliłem się, to polska pieśń, moja matka ją śpiewała. Boże, Boże! co się ze mną dzieje!

Ale właśnie w tej chwili nawinęła im się kobieta jakaś, biegnąca szybko z dzieckiem na ręku i wpadła do poblizkiej bramy.

— Pani—zatrzymał ją Morsang—co się tu dzieje? Przybyliśmy świeżo do Tolozy i nie wiemy co to znaczy, że tak wszyscy się chowają?

Kobieta stała już w bramie i, mogąc ją każdej chwili zatrzasnąć za sobą, uczuła się widocznie bezpieczniejszą, bo powiedziała:

— Uciekajcie, bo tam idą Polacy!

— A więc cóż z tego? przecie nas nie zjedzą.

— Właśnie, że zjedzą. To są ludożercy. Uciekajcie, chrońcie się, bo przepadniecie!

To rzekłszy, z trzaskiem zamknęła bramę i słychać było, jak ze zgrzytem zasuwała potężne wrzeciądze.

— Ta kobieta oszalała — rzekł Morsang — wszyscy tu widać poszaleli. Czy słyszał kto, żeby Polaków, naród ucywilizowany i katolicki nazywać ludożercami? Nie! nic tego nie rozumiem... Hej! Stachu, gdzie tak lecisz? poczekajże na nas!

W rzeczy samej Stach nie zatrzymał się wcale, gdy Morsang rozmawiał z ową kobietą, ale biegł naprzód, kierując się za głosem muzyki. Jego nic nie obchodziło, nic nie zajmowało, pragnął tylko zobaczyć tych rodaków swoich, którzy tak cudowną pieśń grają, pieśń, którą mu niegdyś nad brzegiem Pilicy matka jego śpiewała.

Przebiegł parę ulic, pustych jak wszystkie, w których tylko brzmiała coraz głośniej owa upajająca go muzyka i rozlegał się trzask zamykanych bram i sklepów i, wyszedłszy na jakiś plac niewielki, skamieniał niejako i całą duszę w oczy przelał.

Przed nim, środkiem placu maszerowała wolno czwórkami jazda. Na przodzie na siwych koniach jechała grupa trębaczy, która ową pieśń cudowną grała. Za nimi, na pysznym kasztanku sadził w szczupakach oficer tej jazdy, a potym długie jej szeregi wydobywały się wolno z ciasnej jakiejś uliczki na plac, na którym stał młodzieniec. Słońce już zachodziło i ostatnie jego promienie kładły się purpurowo—złocistym blaskiem na ułankach, na kitkach, na szablach i rabatach. Jechali, jechali, a szable brzęczały u ich boku, konie raźno parskały, a jeźdźcy błękitnemi oczami ciekawie przypatrywali się starożytnemu miastu hiszpańskiemu, gwarzyli między sobą, a dźwięk ich słów, dobiegając do uszów Stacha, budził w nim dawno zapomniane



....Oficer skręcił na bok i podniósłszy nagą szablę do góry, głosem donośnym zakomenderował: (str. 89).

wyrazy, zdania, myśli, wspomnienia... Nakoniec oficer, podniósłszy nagą szablę do góry, głosem donośnym zakomenderował:

— Szwadron stój!

Na komendę tę wszystkie konie, szarpnięte cuglami, stanęły jak wryte i muzyka grać przestała. Wtedy oficer znów podniósł szablę, w której zachodzące słońce błysk oślepiający zapaliło, i rozkazywał:

— Formuj front na lewo, dyrekcya na prawo, kłusem, marsz!

W jednej chwili zerwały się konie i z brzękiem a chrzęstem utworzyła się długa linia jeźdźców na placu, kitki się chwiały, rabaty błyszczały, konie rżeć nie przestawały ciągle. Jeszcze raz oficer zawołał:

— Do zsiadania z koni, marsz!

Co drugi jeździec wysunął się naprzód i zaraz też rozległa się komenda:

— Z koni!

Wszyscy jeźdźcy w jednej chwili znaleźli się na ziemi, a zaraz też zjawił się alkad miejscowy i w postawie pełnej uszanowania, coś mówił do oficera.

Stach patrzał na to wszystko, patrzał, a łzy mu ciurkiem po rozognionej twarzy spływały. Nie zważał na to, że stary Morsang z Filipem zbliżył się do niego i coś mówił; nie widział nic prócz ułanek i kitek, prócz rabatów i błę-

kitnookich jeźdźców. Rwała mu się dusza i serce do tego wszystkiego, wreszcie nie mógł wytrzymać i zbliżył się do jednego z jeźdźców. Zdjął kapelusz i rzekł dziwacznym nieco akcentem, ale głośno i zrozumiale:

— Panie! ja jestem Polak.

Jeździec, starszy już człowiek, z wielkiemi jak wiechcie wąsiskami, małemi ale groźnie patrzącemi oczami, z nosem nieco czerwonym i szawronami na rękawie granatowego munduru, spojrzał na Stacha, zmierzył go od stóp do głów i mruknął:

— Ki dyabli! ta małpa hiszpańska gada po polsku!

I widocznie, zainteresowany tym wypadkiem, jeszcze raz bacznie przypatrzył się Stachowi i zawołał:

— A ty skąd?

— Z nad Pilicy, panie!

— Ale łotrze jakiś, po jakiemu ty gadasz?

— Po polsku.

— Hm! niby to po polsku, ale nie po polsku. Skąd się tu wziąłeś? coś ty za jeden?

— Jestem Polak, panie.

— To ja już raz słyszałem, ale coś ty tam za Polak! Gadasz jak, z przeproszeniem, Niemiec. Jak się nazywasz?

— Stanisław Kamieński.

— Hm! jużcić po ludzku się nazywasz, ale wyglądasz mi na szpiega albo gerylasa. Dyabli

wiedzą, coś ty za ptaszek. Ale my tu się zaraz dowiemy. Hej! Matusiak!

Jeden z żołnierzy nadbiegł i wyprostowawszy się jak struna, przyłożył rękę do czapki i rzekł:

— Wedle rozkazu, panie wachmistrzu!

— Weź-no mi tego skurczybutę i zaprowadź do rotmistrza. Niech go tam wybada. Licho wie! skąd się to wzięło! Uważasz, Matusiak...

— Wedle rozkazu!

— Ten oberwaniec gada niby po naszemu, ale kat go tam wie, czy on nasz. Może to jaki Niemiec, albo farmazon, albo szpieg. Zaprowadź go do rotmistrza i powiedz mu to, co ja powiedziałem.

— Wedle rozkazu, panie wachmistrzu!

— No, ruszajcie, a pilnuj, żeby ci nie uciekł.

— Nie ucieknie!

To rzekłszy, wziął pod rękę Stacha i trzymając go mocno, odezwał się:

— Chodź jeno, smyku!

Stach nic nie mówił, może nawet nie słyszał ani rozkazów ani słów wachmistrza i Matusiaka. On się upajał, jak starym miodem, dźwiękiem i melodyą słów polskich, których może połowy już nie rozumiał. Schwycony przez Matusiaka silnie, dał się prowadzić ku wielkiej murowanej kamienicy na placu, gdzie

stanął kwaterą rotmistrz i wszyscy oficerowie szwadronu.

Ruch tu był wielki i upłynęło sporo czasu, nim Matusiak ze swym jeńcem, zdołał się dostać do rotmistrza.

ROZDZIAŁ IX.

Jako Stach został szwoleżerem gwardyi Napoleońskiej.

Rotmistrz zwał się Kozietulski i miał wkrótce potym zasłynąć wielkim rozgłosem bohaterstwa.

Gdy po długim oczekiwaniu wprowadzono Stacha do pokoju, zajmowanego przez rotmistrza i gdy ten wysłuchał raportu adjutanta szwadronowego, któremu wszystko o jeńcu Matusiak opowiedział, rotmistrz wpatrzył się w chłopca bardzo bacznie. Stach oszołomiony był tym wszystkim, upojony dźwiękami mowy ojczystej, mundurem rotmistrza, brzękiem szabel. Przed nim, w dość pustej i posępnej izbie, której ciemności nie mógł rozproszyć suty ogień,

gorejący na kominku, ani parę świec łojowych dość dawno nie objaśnianych, stał mężczyzna młody, gibki, ubrany w opięty mundur granatowy z amarantowemi rabatami, w szlifach srebrnych i gęstym szamerunku srebrzystym, z głową pokrytą jasnemi i kędzierzawemi włosami, z twarzą otwartą, rumianą, wesołą, ocienioną słabym zarostem młodzieńczym.

— Coś ty za jeden? — spytał Kozietulski Stacha.

Tedy Stach począł opowiadać swe dzieje po polsku, co mu dość trudno przyszło, bo nieraz nie mógł znaleźć odpowiedniego wyrazu i dopomagał sobie francuzczyzną. Kozietulski słuchał tego, przechadzając się po izbie, zatrzymując się od czasu do czasu i wpijając swe łagodne, a jednak przenikliwe oczy w Stacha. Niekiedy zadawał pytania, wreszcie rzekł:

— Wszystko to dobrze, mój chłopcze, ale jakiż dasz dowód, że to, coś opowiedział, jest prawdą i że nie jesteś szpiegiem?

— Dowodu żadnego dać nie mogę, ale to com powiedział, jest prawdą. Moi towarzysze, pan Morsang i Filip mogą zaświadczyć.

— Świadectwo to nie może mieć żadnego znaczenia. Dokąd szedłeś?

— Do Francyi... marzyłem o powrocie do raju, ale...

— Ale co?

— Ale... spotkawszy moich rodaków, już nie chcę chodzić do Francyi.

— Więc cóż chcesz?

— Chciałbym wstąpić do szeregów pana rotmistrza.

— Chcesz do nas wstąpić? a umiesz jezdzić konno?

— Umiem... wszak w cyrku pana Müllera musiałem nieraz różne sztuki wyprawiać na koniu.

Rotmistrz umilkł zamyślony i począł znów chodzić po izbie, wreszcie stanął i rzekł:

— Hm! mój chłopcze, dobrze ci z oczów patrzy, ale... Hm! hm! znam ja Kamieńskich w naszej okolicy, wszak i moje Kozietuły leżą w tamtych stronach, alem nie słyszał, by jakiego Kamieńskiego Niemcy porwali. Hm! hm!

Chodził, namyślał się, wreszcie kazał Stachowi iść do sąsiedniej izby i tam czekać, aż go zawoła. Tymczasem otworzywszy drzwi, prowadzące do dalszych pokojów, gdzie kilku oficerów siedziało i gwarliwą rozmowę prowadziło, wszedł tam i zamknął drzwi za sobą. Stach w izbie, do której go wysłano, zastał Matusiaka, który zaraz zapytał:

— No i co?

— Pan rotmistrz kazał mi tu czekać.

— Tak? ano to czekajmy.

Usiadł sobie na ławie, oparł się oburącz na szabli i wpatrując się w Stacha mówił:

— Cóż ty myślisz, co z tobą zrobią?

— Nie wiem. Prosiłem rotmistrza, żeby mi pozwolił wstąpić do waszego wojska.

—Iii... głupiś, smyku! Gdzieby cię ta rotmistrz wziął. A możeś ty szpieg i mnie się widzi, żeś ty szpieg. Mało to tu po tym psim kraju szpiegów się kręci? Żeby tak na mnie, żebym ja był rotmistrzem,tobym cię kazał obwiesić na rynku, żeby te przeklęte górylasy wiedziały, czym to pachnie.



— To całe szczęście, że pan nie jesteś rotmistrzem—zauważył Stach z ironią.

— Pewnie, że dla ciebie szczęście. Ale, bo ty może myślisz, że ja nigdy nie będę rotmistrzem?

— W istocie, tak myślę.

— Otóż głupi jesteś, jak, nieprzymierzając, moje buty. Cesarz Napoleon może mnie zro-

bić, jak mu się spodoba, nie tylko rotmistrzem, ale jenerałem. Co ty wiesz, taki smyk, taki sufragański górylasa! Mało to tu jest jenerałów i marszałków, co byli takie chłopy, jako ja, a teraz są wielgie panowie. Naprzykład ten Mirat. A znasz ty marszałka Mirata?

— Nie znam.

— A widzisz, bo co ty ta wiesz taki omętra hiszpański! Obwiesiłbym cię zaraz, żebym tak skisł!

— A dlaczegóżbyś mię pan obwiesił? com panu winien?

— Prawdę mówiąc, toś mi ty nic nie winien, aleś ty szpieg tych górylasów, żeby ich zatraciło! Wczoraj to oni w nocy na kwaterze, w górach tam... zarzezali jako baranów dwóch naszych kamratów. A hycle przeklęte! rakarze, psie wiary! Aleśmy im za to zapłacili. Zaraz, co robiący, burmistrza cap i na gałąź! Jeno zipnął i już po nim! A potym tośmy całusieńką wieś do cna spalili. Żebym ja był rotmistrzem, tobym całe to hyclowskie nasienie wyciąć kazał do nogi, ale cóż... nasz rotmistrz, pan Kozietulski, jest oficer jako się patrzy, ale ma miękkie serce, nikiej z przeproszeniem baba.

Splunął w kąt i dalej mówił:

— Nasz wachmistrz, Kacper Lipiński, toby zaraz inaczej zrobił, on niema babskiego serca i tylo!

Znów splunął i rzekł:

— Albo i to. Toś ty hyclu jest miemiec, czy tam jakiś inakszy farmazon, a gadasz po ludzku. Słychane to rzeczy i to inaczej być nie może, jeno tyś szpieg i znasz różne sztuki szpiegowskie; ażeby ci było łatwiej nas manić, toś ty się wyuczył katolickiej mowy. No, już jabym tobie dał!

— Ale co pan tak na mnie powstajesz—com ja panu winien?

— Niceś mi nie winien, ale ja szpiegów nie cierpię i pasya mię na nich bierze okrutna.

— Kiedy ja nie jestem szpiegiem.

— Nie jesteś? a żebyś ty omętro jakiś zmarniał! Ale ja cię tu zara tak zajdę z mańki, że ty się wygadasz. Słuchaj rakarzu, ja ci się będę pytał, a ty odpowiadaj.

— Dobrze, słucham.

— Pedasz, coś ty Polak?

— Tak.

— A skądeś ty, z których stron?

— Nie pamiętam nazwy wsi moich rodziców, ale wiem, że ta wieś leżała nad Pilicą.

— Nad Pilicą? widzisz, jak ty, sufragańska zarazo, łżesz niby zwierz jaki. I zarazem cię capnął na cygaństwie. Bo i ja jestem z nad Pilicy, z Przybyszewa, gospodarski syn. A ciebie jak nazywają, niby na ten przykład, z ojca?

— Ja się nazywam Stanisław Kamieński.

— Kamieński?

— Tak.

— Ee... cyganisz. Są tam u nas wedle Przybyszewa dziedzice Kamieńscy. Sam znam pana Jana Kamieńskiego, dobry pan, ale gdzieby znowu taki ometrowski górylasa, jako ty jesteś, miał być ich krewniakiem. Ho! ho! ty mię rakarzu nie ocyganisz. Mądryś ty, ale i ja nie głupi. Koniec końców, żeby tak na mnie, tobym cię obwiesił.

Mówił to, spluwając ciągle, monotonnym głosem, bezładnie i nudnie, tak że Stach usiadł sobie na ławce, zmęczony podróżą, niewygodami i tylu wrażeniami, oparł się o ścianę i sam nie wiedział, kiedy zasnął. Sen miał tak mocny, że nie słyszał mowy Matusiaka i śniło mu się, że jest ścigany przez Müllera, że już go ma złapać, ale nagle zjawia się rotmistrz Kozietulski na czele swych szwoleżerów i gwałtem go wydobywa z rąk Niemca... Szarpanie, jakie przy tym nastąpiło, było tak silne, że Stach się obudził. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą Matusiaka, który nielitościwie nim trząsł i krzyczał:

— Nie śpij, ometro jakiś, bo ja stąd idę!

— Idziesz pan, a dokąd?

— A tobie co do tego? idę tam gdzie mię posłano. Siedź mi tu i ani się rusz, bobym cię posiekał tym pałaszem na kawałki. Słyszałeś?

— Słyszałem!

— No, więc pilnuj się, bo tu u nas w szwadronie nie przelewki. Czuj duch, uszy do góry! jak gada wachmistrz.

To mówiąc nadział z fantazyą ułankę na głowę, szablę wziął w rękę i dzwoniąc ostrogami, skierował się ku drzwiom. Tu zatrzymał się. zwrócił do Stacha i patrząc na niego strasznym wzrokiem, pogroził mu dużym, pałkowatym paluchem i wyszedł, mówiąc:

— Ja tu duchem wracam!

Jakoż w rzeczy samej nie długo wrócił w towarzystwie starego wachmistrza, Kacpra Lipińskiego. Ten, zobaczywszy Stacha, stanął przed nim i wpatrzył się swemi maleńkiemi świdrującemi oczkami.

— No i cóż skórko na buty?

— A nic!

— Nic, nic, ale mnie się widzi, że coś będzie. a na przyszłość, rekrucie jakiś, pamiętaj, że takie smyki jak ty przed wachmistrzem stać, a nie siedzieć powinni.

Stach zerwał się na równe nogi.

— Tak... tak!...—mówił wachmistrz—kiedyś ty, rekrucie, z przeproszeniem koszulę w zębach nosił, to ja z jenerałem Rożnieckim ścigałem brygantów po Napolitańskiej ziemi i wieszałem ich, jako psów. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Pamiętaj więc!

Co prawda, Stach nie wiele z tego wszystkiego rozumiał i nie wiedział, o czym miał pamiętać, ale wachmistrz Lipiński swą postawą starego żołnierza, swym nosem rubinowym, maleńkiemi siwemi oczkami i wąsiskami jak wiechcie, wywierał na chłopcu imponujące wrażenie. Wachmistrz już dawno zniknął za drzwiami, prowadzącemi do pokoju Kozietulskiego, a Stach jeszcze stał wyprostowany jak struna, i brzmiał mu w uszach chrapliwy, gruby głos starego Lipińskiego. Już nie śmiał teraz usiąść, bo się bał, że może się znów zdrzemnąć. Stał więc nieruchomy i nieco zaniepokojony tym wszystkim co widział i słyszał. Matusiak tymczasem usiadł sobie na ławie i, wydobywszy z kieszeni kawałek białego chleba i jakiegoś mięsiwa, zajadał łakomie, mlaszcząc ustami głośno.

Za drzwiami w pokoju rotmistrza słychać było jakąś rozmowę, rozlegał się donośny, chrapliwy głos starego wygi Lipińskiego, ale trudno było z tego cokolwiek zrozumieć. Wreszcie nagle rozwarły się drzwi i wachmistrz, wychyliwszy głowę, krzyknął:

— Kamieński, do pana rotmistrza!

Na rozkaz ten Stach żwawo wszedł do pokoju, w którym raz już był i zastał Kozietulskiego przechadzającego się z jednego kąta w drugi, paru młodziutkich oficerów, siedzących pod oknem i starego Lipińskiego przy drzwiach, wyprostowanego jak struna.

Rotmistrz zatrzymał się i rzekł do Stacha, który, nauczony przez Lipińskiego, przybrał postawę wojskową:

— Słuchaj mnie, Kamieński... wszak Kamieński się nazywasz?

— Kamienski Stanisław.

— Słuchajże mnie więc: biorę cię do wojska, ale dopóki nie przekonam się o tobie i o tym coś wart, nie będziesz należał do żołnierzy, ale do pozaszeregowych. Oddaję cię pod bezpośredni nadzór i rozkazy tu obecnego wachmistrza Lipińskiego. Masz go słuchać i jemu oddaję zupełną nad tobą władzę. Czy mię zrozumiałeś?

— Zrozumiałem!

— Mówi się, smyku—syknął Lipiński—zrozumiałem, panie rotmistrzu.

Stach chciał się poprawić, ale nie było już czasu, bo rotmistrz mówił dalej:

— Nie sądź jednak, byśmy nie mieli co do ciebie podejrzeń. Ponieważ, jak się zdaje, jesteś Polakiem, więc nie mogę pozwolić, byś się tu między obcemi wałęsał. Dla tego cię biorę. Wachmistrz Lipiński otrzymał rozkaz pilnowania cię i nakładania na ciebie jaknajsurowszych kar, w razie potrzeby. A teraz możecie odejść.

Wachmistrz odsalutował po wojskowemu, zrobił rzeźki zwrot na lewo w tył i popychając Stacha, mruknął:

— Rekrut Kamieński, marsz naprzód!

Gdy się znaleźli w izbie, gdzie Matusiak łakomie pożerał swój chleb i mięsiwo, wachmistrz, rzekł do Stacha, wytrzeszczając groźnie swe małe siwe oczka i ruszając groźnie wąsiskami.

— Czy rekrut Kamieński słyszał, co mówił pan rotmistrz?

— Słyszałem, panie wachmistrzu.

— A więc, skórko na buty, słuchać, bo u mnie takim smykom jak ty uszy oberwać, albo piętnaście wsypać batogów, to jak kromkę chleba zjeść z masłem. Słuchać więc! i marsz za mną!

Tym sposobem Stach Kamieński został pozaszeregowym w polskim pułku szwoleżerów gwardyi Napoleońskiej.

ROZDZIAŁ X.

W którym pan Morsang przekonywuje się, że i stary wachmistrz ma serce.

Stary Morsang, który wraz z Filipem, zaniepokojony mocno przyaresztowaniem, jak sądził, Stacha, czekał przed domem, zajętym przez rotmistrza, powitał z radością wychodzącego swego towarzysza tylu przygód.

— A! więc jesteś nakoniec, mój chłopcze— zawołał, ściskając z widoczną czułością Stacha— myślałem już, że cię znów jakie nieszczęście spotkało.

— Hej!—krzyknął wachmistrz— co to znaczy? co to za jegomość?

— Panie wachmistrzu — rzekł Stach — to mój przyjaciel, pozwól mi się z nim pożegnać.

— Hm! — mruknął wachmistrz — regulamin nie zabrania żegnać się z przyjaciołmi, więc pozwalam.

Stanął trochę z boku i podejrzliwie przypatrywał się Morsangowi i okrutnie głupiej minie Filipa, który stał z szeroko rozwartemi ustami i strzelał oczami na wszystkie strony. Za to stary Morsang niezmiernie się zdziwił, dowiedziawszy się od Stacha, że wstępuje do szeregów szwoleżerów.

— Więc, mój chłopcze, musimy się pożegnać?—pytał.

— Tak, panie Morsang.

— A więc, mój chłopcze - zawołał ze łzami w oczach — niech cię Bóg ma w swej opiece, bo ja stary nie mogę ci więcej towarzyszyć. Pójdę do mojej ojczyzny i będę opłakiwał jedno więcej rozstanie w mym życiu. Może się już więcej nie zobaczymy... i z pewnością się nie zobaczymy. Ciebie czeka chwała wojenna pod naszym wielkim Cesarzem, mnie grób i ciche konanie. Uściśnij mnie, mój chłopcze i pozwól, że dobędę mej szkatułki. Stary mój mistrz, niech melodyą swej pieśni ukoi nasze żale i utrwali nasze wspólne wspomnienia.

— No! dość tego! — zawołał wachmistrz— rekrucie, marsz naprzód!

Ale Morsang zwrócił się do wachmistrza i rzekł doń po francusku:

— Panie sierżancie!

Lipiński, który w długiej służbie w legionach nauczył się trochę tego języka, ale kaleczył go niemiłosiernie, odrzekł szorstko:

— Nie jestem sierżantem, cywilusie, tylko wachmistrzem; wachmistrzem trzeciego szwadronu pułku szwoleżerów gwardyi Cesarza Napoleona. Rozumiesz, cywilusie?

— Dobrze, panie wachmistrzu, rozumiem doskonale. Otóż pozwól, nim ostatecznie zabierzesz z przed moich oczów tego młodzieńca, a mego przyjaciela...

— To nie jest młodzieniec, ale rekrut. Rozumiesz, skórczybucie cywilusie, to jest rekrut!

— Niech będzie rekrut, panie wachmistrzu, ale z tym wszystkim jest to mój przyjaciel. Przeżyliśmy wspólnie ciężkie i pełne niebezpieczeństw chwile, groziła nam nieraz śmierć i niewola...

— Do rzeczy, do rzeczy, cywilusie!

— Kończę, panie wachmistrzu, już kończę. Łzy mi płyną do oczów... jestem wzruszony... daruj panie wachmistrzu...

Widok łez spływających z wypłowiałych oczów Morsanga, cała jego postać, świadcząca o wielkim żalu, wzbudziła współczucie w poczciwym burczymusze Lipińskim, więc rzekł:

— No! no! nie płacz stary! Cóż u dyabła? Może myślisz, że ja nie mam serca? Do kroćset górylasów i ja się nieraz żegnałem... no! no! pożegnajcie się, pożegnajcie, ja zaczekam...

— Dziękuję ci, panie wachmistrzu, na zawsze zachowam w mym starym sercu wspomnienie twej dobroci. Teraz chciałem zagrać na pożegnanie z mym młodym przyjacielem nieśmiertelną pieśń Mozarta.

To rzekłszy, wydobył z pokrowca szkatułkę grającą, ustawił ją drżącemi rękami z wielkim pośpiechem na swym tłomoczku, nakręcił i gdy poczęły się snuć nikłe, melancholijne tony, rzekł do wachmistrza, który ciekawie przypatrywał się temu wszystkiemu:

— Temi łzawemi tonami żegna nas boski Mozart.

— Hm! — odezwał się wachmistrz — czy on tam jest boski ten twój jakiś Mozart, to nie wiem i nie zdaje mi się, żeby można tak nazywać grzesznego człowieka... ale dalipan, ta twoja maszynka podoba mi się. Dyabli wiedzą czego te hycle Niemcy nie wymyślą!

Zeszło się też zaraz więcej żołnierzy, zwabionych muzyką, która wśród cichego wieczoru późnej jesieni, dziwnie rzewne robiła wrażenie; przypatrywali się nieznanej im, jak mówili, maszynie i wypowiadali swe uwagi, których oczywiście Morsang rozumieć nie mógł, jako wygłaszanych po polsku. Stał on cały zasłuchany w senne, rozpłakane tony jedwabistej muzyki i trzymał za rękę Stacha. A gdy szkatułka grać przestała, urywając nagle melodyą,

powtarzając ją w pewnych odstępach, rzucił się w ramiona Stacha, ucałował go, mówiąc:

— Niech cię Bóg ma w swej opiece, niech Opatrzność czuwa nad tobą.

I podniosłszy gorączkowo szkatułkę, wsunął ją w pokrowiec, zarzucił tłomoczek na plecy i nie patrząc na Stacha, zawołał:

— Chodźmy Filipie! nie rozrzewniajmy się więcej.

Postąpił parę kroków i widocznie przypomniał sobie, że należy pożegnać się z wachmistrzem i gromadą otaczających go żołnierzy, bo zatrzymał się nagle, zdjął swój zniszczony kapelusz i kłaniając się im dokoła zawołał:

— Panowie żołnierze, moje uszanowanie! — poczym zniknął w zapadających coraz więcej ciemnościach nocy.

— A teraz, rekrucie — zawołał wachmistrz — ruszaj naprzód!

Stach, głęboko wzruszony pożegnaniem z Morsangiem, puścił się smutny za wachmistrzem, który go poprowadził do rozłożonych na rynku biwakiem żołnierzy. Konie, przywiązane na linkach do kołków wbitych w ziemię, głośno chrupały owies — wielkie ognie się paliły, rzucając krwawe odblaski na stare, gotyckie domy miasta, żołnierze się kręcili, gwarzyli, lub spali otuleni w płaszcze na ziemi. Pełno tu było ruchu, wrzawy i brzęku. Przy jednym z ognisk, w wielkim kotle, warzyła się strawa

i miła woń gotowanej baraniny rozchodziła się szeroko. Wachmistrz, oddawszy Stacha pod dozór Matusiaka, sam poszedł gdzieś i wkrótce wrócił z żołnierzem, który prowadził konia i niósł mundur, czapkę, płaszcz, pałasz i parę pistoletów.

— Hej! rekrucie Kamieński! — krzyknął wachmistrz, nie mogąc dostrzedz Stacha wśród migających się świateł od ogni.

— Jestem! panie wachmistrzu — zerwał się drzemiący Stach.

— Masz tu konia, umundurowanie i broń. Masz zrzucić ze siebie te pajacowskie łachy i przebrać się jak porządny człowiek. Do paralusza! pamiętaj, że nie jesteś już żadnym cywilusem, psa wartym, ale żołnierzem jak się patrzy. Rozumiesz skurczybucie?

— Rozumiem, panie wachmistrzu!

Stach, gdy się przebrał, gdy zobaczył na sobie piękny, wprawdzie trochę za szeroki, mundur ze srebrnemi guzikami, gdy szabelkę przypasał do boku, a na głowę nadział czapkę z kitką, uczuł się jakby innym człowiekiem. Na myśl, że jest teraz wolnym, że wszyscy na świecie Müllerzy nic mu zrobić nie mogą, ogarniała go wielka radość i duma. Przekonany był, że nie będzie mu źle w szwadronie. Z przenikliwością młodej duszy, odgadł, że stary wachmistrz, chociaż szorstki w obejściu i krzykliwy, w gruncie rzeczy ma jak najpoczciwsze

usposobienie. Zjadłszy porządną porcyę gotowanej z kaszą baraniny, syty, spokojny, położył się na garści słomy spać obok swego konia, a choć noc była dość chłodną i wilgotną, przespał ją jednak wybornie. Nazajutrz o świcie wstał rzeźki, wesoły i rojący sobie najwspanialszą przyszłość.

Zaraz też trąbki zagrały pobudkę, a stary wachmistrz chodził i wołał, by konie karmiono i czyszczono. Zbliżywszy się do Stacha, który oczy przecierał i patrzał na pięknie wschodzące słońce za katedrą tolozańską, której koronkowe szczyty gotyckie z przedziwną wyrazistością rysowały się na purpurze nieba, zawołał:

— Jak się masz rekrucie?

— Do usług pana wachmistrza! — odrzekł Stach wesoło.

— No! widzę, że ci dziś dobrze z oczów patrzy. Będzie z ciebie żołnierz, będzie, ale czuj duch, mospanie! Wiedz, że ze mną nie przelewki, a batog mam przytroczony do kulbaki. Dalej, zabierz się do konia, oczyść go, żeby mi pyłku na sierści nie było, nakarm i napój. Żwawo, ruszaj się, do krocset!

Ruszał ogromnemi wąsami, patrzał surowo na Stacha i poszedł dalej.

Ciężka to była praca czyszczenie konia, zwłaszcza, że Stach nie był z tą robotą obznaj-

miony i nie wiedział, jak się wziąć do tego, a pytać się nie śmiał, bo już wczoraj żołnierze szydzili z niego i żarty sobie stroili. Nie chciał się więc narazić na nowe szyderstwa. Ale nie święci garnki lepią. Zukosa nieznacznie począł się przypatrywać, jak inni czyszczą konie i naśladował ich, tak, że w pół godziny potym, gdy wachmistrz się zjawił, koń Stacha błyszczał i świecił tak, że można się było w sierści jego przejrzeć. Wachmistrz pilnie i bacznie obejrzał konia, mruknął coś pod nosem, ale nic nie rzekł i poszedł dalej. Zrobiwszy jednak parę kroków, zatrzymał się i rzekł:

— Rekrucie Kamieński!

— Słucham pana wachmistrza!

— Jak zatrąbią, weźmiesz kociołek i dla sekcyi całej przyniesiesz śniadanie.

— Słucham pana wachmistrza!

Rozkaz ten nieco zaniepokoił Stacha, nie wiedział gdzie szukać kociołka i gdzie iść po owe śniadanie.

Udał się więc z prośbą do Matusiaka. Ten zrazu szydził i wygadywał:

— A od czegóż masz oczy we łbie? szukaj! Także porządki, żeby takiemu jak ty obieżyświatowi, co to dyabli wiedzą skąd się wziął i może szpieg jest zatracony, dawać takie rozkazy. No i czego stoisz i wybałuszasz ślepie? Może myślisz, że ja ci co powiem, o! niedoczekanie twoje! Kazali ci, to rób!

Gadał jeszcze długo, wymyślał, klął, a gdy Stach w milczeniu i w pokorze wysłuchał tego wszystkiego, wskazał mu wreszcie furę, na której znajdowały się kotły i ognisko w bocznej uliczce, gdzie się śniadanie gotowało.

To też gdy trąbka zagrała, Stach już wiedział co robić, chwycił dość duży kocioł, poleciał po kaszę ze słoniną i z wielkim trudem przyniósł ją dla swych towarzyszy, którzy po dawnemu szydzili z niego i jeść mu nie dawali.

Na szczęście widział to jakiś młody oficer, bardzo sympatyczny z wejrzenia, zbliżył się, zgromił żołnierzy i tym sposobem Stach mógł sobie choć trochę podjeść. Wprawdzie zjadłby więcej, ale cóż, kiedy już nic nie było. Właśnie wylizywał dno kotła, gdy zagrały trąbki i rozległy się rozkazy:

— Kulbaczyć konie!

Wszyscy rzucili się do koni. Stachowi ciężko to przyszło, bo jeżeli był doskonałym jeźdźcem, to w cyrku nigdy się nie zajmował siodłaniem koni, ale i tu dał sobie radę i jednocześnie ze wszystkiemi był gotów. Wkrótce też zagrzmiały rozkazy:

— Do szeregu!

Zaraz potym z kwatery swojej ukazał się rotmistrz Kozietulski, przepysznie wyglądający, i rozkazywał:

— Na koń!

W dziesięć minut potym, przy odgłosie muzyki, wyruszono z brzękiem i chrzęstem z Tolozy. Stach jechał na samym końcu, bo tam go wachmistrz umieścił, przy taborze wozów, których było kilka, a przed nim maszerował cały szwadron, błyszczący pod słońce, piękny w swych ułankach z biało-czerwonemi kitkami, brzęczący szablami, świetny i lotny w swych ruchach. Maszerowano górzystemi drogami i żołnierze mówili, że sam cesarz Napoleon obejmie nad nimi dowództwo, że idą do stolicy hiszpańskiej, do Madrytu.

Wogóle z początku ciężka była służba dla Stacha.

Wachmistrz baczne miał nań oko, nie szczędził go w niczym, kazał mu najtrudniejsze roboty wykonywać, surowo do niego zawsze przemawiał i ciągle nazywał rekrutem, co przykro było Stachowi, bo chciał jak najprędzej zostać żołnierzem. Ale po dwóch tygodniach takiej próby, gdy przybyto do pięknego miasta Burgos i tu zatrzymano się nieco dłużej, pewnego dnia wachmistrz zjawił się w koszarach i krzyknął:

— Stanisław Kamieński!

Uderzyło to Stacha, że nie nazwał go rekrutem, ale zerwał się i stanął w postawie wojskowej przed starym burczymuchą.

— Od dnia dzisiejszego—rzekł wachmistrz—jesteś żołnierzem, trzeciego plutonu w szwa-

dronie. Miejsce twoje między Matusiakiem a Gołębiowskim. Zrozumiałeś skórko na buty?

Stach z radości omal nie zaniemówił, ale przemógł się i odpowiedział:

— Zrozumiałem, panie wachmistrzu!

ROZDZIAŁ XI.

Jako Stach uwolnił się od Matusiaka i zyskał sobie przyjaźń Franka.

Odtąd Stach został żołnierzem w drugim szwadronie szwoleżerów polskich gwardyi i zajął przynależne mu miejsce. Już teraz nie wlókł się za furgonami, ale w czwartej trójce pierwszej sekcyi trzeciego plutonu stawał. Nabrał przez to niemało fantazyi i otuchy, czapkę na bakier zakładał i był bardzo szczęśliwy.

Był służbistą nie lada, koń jego i broń zawsze najlepiej wyglądała i wachmistrz, ciągle nań mając zwrócone oczy, nieraz poklepał go po ramieniu i gadał:

— Dobrze, smyku, dobrze! Zadowolony jestem z ciebie.

Wprawdzie Matusiak nie przestawał mu dokuczać i robić tysiące drobnych przykrości, ale Stach znosił to wszystko w nadziei, że w końcu dobrocią zyska sobie przyjaźń tego nieokrzesanego i złego towarzysza. Jednakże na nic się ta uległość nie przydała. Matusiak przy każdej sposobności wymyślał na Stacha, zwłaszcza, gdy zauważył, że wachmistrz jest mu przyjazny. Stach milczał, ale razu pewnego, gdy Matusiak nazwał go szpiegiem, nie mógł wytrzymać i palnął chłopa naodlew w policzek tak silnie, że ten runął na ziemię jak długi. Działo się to w koszarach, w Segowii, gdzie stano kilka dni i gdzie zapowiadano przybycie cesarza Napoleona. Zrobiła się wielka wrzawa. Matusiak zielony od gniewu, podniósł się z ziemi i porwał się do szabli, wołając:

— Zarąbie tego szpiega, cygana, górylasa!

Ledwie go powstrzymano i wachmistrz kazał obu rozbroić i wziąć pod straż, a sam zaraportował o całym zajściu rotmistrzowi. Skazano obu na 24 godzin warty o chlebie i wodzie i Matusiaka przeniesiono do innego plutonu, przyczym zapowiedziano mu, że jeżeli jeszcze raz ośmieli się kamrata swego nazwać szpiegiem, to oddany zostanie pod sąd wojenny. Stach dostał innego towarzysza, chłopca cichego i dobrego i był bardzo zadowolony.

W parę dni potym przybył do Segowii cesarz Napoleon i zaraz nazajutrz odbył przegląd

szwoleżerów. Uszykowali się oni na wielkiej równinie za miastem, w kolumnach szwadronowych, z wodzem swym, hr. Wincentym Krasińskim na czele, świetni w swych mundurach i rabatach, w ułankach z kitkami, dzielni, rześcy, oblani blaskiem jesiennego słońca Hiszpanii.



Stach nigdy nie zapomniał wrażenia, jakie na nim wywołał cesarz Napoleon, którego chwała cały świat sobą przepełniała. Jechał on na siwojabłkowitym koniu, w szarej kapocie, z pod której wyglądał zielony mundur i białe rabaty strzelców konnych gwardyi, w stosowanym kapeluszu, otoczony świetnym i błyszczącym sztabem, wśrod którego odznaczał się jaskrawym

strojem i mnóstwem piór na kapeluszu, książę Murat, szwagier cesarski.

Cesarz posuwał się stępa i orlim swoim wzrokiem obrzucał szwoleżerów w milczeniu, a potym galopem oddalił się nieco, trąbki zagrały i szwadrony kłusem i pędem odbywały różne ewolucye. Co tam cesarz myślał o pułku, oczywiście Stach nie wiedział, ale nazajutrz w rozkazie dziennym odczytano żołnierzom, że cesarz zadowolony jest ze szwoleżerów, co wielką wszystkim i Stachowi sprawiło radość. Ach! jakże on był dumny z tego, jak się cieszył! Przypominał sobie ciągle, jak cesarz, przejeżdżając koło drugiego szwadronu, wpatrzył się w Stacha swemi dużemi, przenikliwemi oczami, i mówił do kolegów:

— Widzieliście? on patrzył na mnie!

Tegoż samego dnia wyruszono dalej w pochód. W pułku mówiono, że idą do Madrytu, stolicy hiszpańskiej, ale zapewne nie wejdą do tego miasta bez upartej bitwy. Stach pragnął bitwy; nigdy jeszcze nie widział takiej walki i zazdrościł starszym towarzyszom, którzy już w niejednym byli boju i opowiadali z dumą o tym krwawym chrzcie, jaki przeszli.

Ale i on nakoniec miał zobaczyć, co to jest bitwa i wziąć udział w niej. Okryła ona jego i jego pułk nieśmiertelną chwałą.

Był to chmurny dzień listopadowy, gdy po przepędzeniu nocy w polu u stóp gór, zwanych

Somo-Sierra, przez które prowadziła droga do Madrytu, drugi szwadron szwoleżerów, w którym Stach się znajdował, z rozkazu pułkownika wysłany został na służbę przy Cesarzu. Wyjechali więc o świcie i gdy stanęli na miejscu sobie wskazanym, bitwa się już rozpoczęła. Cesarza jeszcze nie było. Dzień był chłodny, zimna wilgotna mgła przenikała do kości, od czasu do czasu mżyło. Szwoleżerzy, a z nimi Stach, otuleni w płaszcze drżeli z zimna, a może ze wzruszenia.

I w rzeczy samej Stach drżał ze wzruszenia. Najprzód miał znów zobaczyć Cesarza, pełnić przy nim służbę, to jest osłaniać jego osobę i być na jego rozkazy. Gdzie on pośle, choćby w największy ogień, w najwyraźniejsze niebezpieczeństwo, to iść tam trzeba. Nuż, myślał sobie Stach, wyśle mię w te straszne góry, gdzie podobno gierylasy hiszpańscy zasiedli i odgrażają się, że nikogo do Madrytu, chyba po swych trupach, niepuszczą.

— Ha! trudno — odpowiadał sobie — jeżeli mnie cesarz wyśle, jak trzeba będzie, to i do Madrytu polecę.

— Widok, jaki roztaczał się przed milczącymi i dygocącym z chłodu szwadronem, nie był an piękny, ani wesoły. Przed nimi i po obu stronach piętrzyły się olbrzymie, dzikie, nagie skały, ponuro wyglądające w mgle, która je na pół osłaniała i w dżdżu, jaki je moczył. Niebo

było zachmurzone i zwisało szaremi poszarpanemi chmurzyskami nad temi skałami. Droga, obok której szwadron rozwinął się frontem plutonowym, po kilkakrotnych zakrętach i przebyciu paru mostków, pięła się ciasnym wąwozem w górę i powiadano, że tam właśnie, w tym wąwozie Hiszpanie się usadowili, armaty ustawili, przekopy porobili i bronić się postanowili do upadłego.

Piechota francuska widać usiłowała się wedrzeć w ten wąwóz, bo strzały zrazu dość rzadkie grzmiały coraz donośniej i coraz gęściej, a wkrótce zawtórował im huk ponury dział, który, wypadając z ciasnego wąwozu, olbrzymią wrzawą napełniał dolinę. Z drogi, na której stał szwadron, nie wiele było widać: ani ludzi, ani armat. Od czasu do czasu tylko buchnął kłęb białego dymu gdzieś z poza skały, a zaraz potym rozlegał się donośny huk. Zrazu strzały te, dość rzadko i pojedynczo padające, wkrótce zmieniły się w nieustający grzmot coraz silniejszy i coraz potężniejszy. Bitwa wrzała nadobre.

Stacha niezmiernie interesowało to widowisko, choć przejmowało go grozą i dreszczem. Koło szwadronu, drogą, biegły krokiem gimnastycznym bataliony za batalionami, pułki za pułkami piechoty francuskiej, strzelcy, woltyżery, liniowcy, ciągnęły pędem działa ze strasznym trzaskiem i brzękiem i wszystko to

wpadało w ciemny wąwóz, jak w otchłań piekielną. Poczęły się teraz z poza mgły wydobywać jakieś czerwone płomienie, jakieś błyski krwawe i nagłe, unosiła się głucha wrzawa głosów ludzkich, krzyków, jęków, rozkazów.

— Hm!—mówił stojący obok Stacha nowy jego towarzysz, który to miejsce zajął po Matusiaku, Gołębiowski nazwiskiem, warszawiak rodem—hm! ciężką będzie miała piechota przeprawę, nim te góry weźmie.

— Ale chyba je weźmie? spytał Stach.

— Czy ja wiem? Cesarza jeszcze niema, a oni tam wszyscy ci jenerałowie bez cesarza rady sobie nie dadzą. Tyle pułków już posłali, tyle ich jeszcze tam leci, a bitwa nic się naprzód nie posunęła. Ogień trwa ciągle w jednym miejscu. Nie! oni sobie bez cesarza rady nie dadzą, natracą mnóstwo ludzi napróżno i tyle...

Stach, który powoli z łagodnym i dobrym Gołębiowskim wchodził w koleżeńską zażyłość, zapytał po chwili:

— Jak myślisz, Franku, czy my się będziem dzisiaj bili?

— My? chyba nie. Najprzód, jesteśmy szwadronem służbowym przy cesarzu i wtedy tylko musielibyśmy się bić, gdyby na cesarza nieprzyjaciel napadł, a potym, jakimże sposobem kawalerya mogłaby się bić w takich górach? Czy tu w tym wąwozie jest miejsce dla szarży?

Nie, kochanku, my dzisiaj będziem się tylko gapili na to, jak inni się biją. He! he! he!

Zaśmiał się, ukazał swe białe i zdrowe zęby i dodał przekręcając z fantazyą czapkę na głowie:

— Ale też zimno! Gadali, że w Hiszpanii jest tak gorąco jak w murzyńskich krajach, a tu psie zimno, takie jak u nas w Warszawie. Tylko patrzeć, jak śnieg będzie padał. A nie masz ty tam czasem gorzałki w manierce, bom zmarzł jak nieboskie stworzenie.

— Gorzałki nie mam, ale mam trochę wina, odrzekł Stach.

— Może tego czarnego, co to jest dobre do garbowania skór, ale nie do picia.

— Tak, tego czarnego.

— Tfu! szewskie gardła mają te Hiszpany i strasznie są do niczego. Żeby się też nie postarać o inne wina, naprzykład o nasze węgierskie. To mi wino, ale nie ta lura gorzkokwaśna. Ach, jak sobie pomyślę o winach pana Fukiera na Starym-Mieście, to mi aż żal ściska serce! Czy ja kiedy zobaczę Stare-Miasto, mój Boże! Nuż mię tu gdzie zatłuką ci rakarze Hiszpany!

— Dla czegóżby cię mieli zatłuc, mój Franku? — odezwał się na to Stach — w każdym niebezpieczeństwie licz na mnie.

— Tak?—zapytał Franek i wlepił swe duże niebieskie oczy w Stacha — a toś ty dzielny chłop, dawaj łapę i pyska, niech cię uściskam.

Uściskali się gorąco, a Franek rzekł:

— Prawdę powiedziawszy, to i ja do ciebie mam słabość, a choć mam naturę miękką i zwad żadnych nie lubię, to jednak... wiesz... wczoraj temu chamowi Matusiakowi powiedziałem, że niech się strzeże co na ciebie gadać, bo ze mną będzie miał do czynienia. A oni mię tu znają w szwadronie, ba! w całym pułku, że ja jestem Warszawiak i nikomu wody nie zamącę, ani też w drogę nie wejdę, ale też sobie w kaszę dmuchać nie dam i szablą tak robię jak nikt, a z pistoletu jaskółki w lot strzelam. No... więc będzie cicho teraz, a chocieś ty pół Francuz a pół Polak, ja cię jednak kocham...

— Nie jestem wcale pół Francuz — odrzekł Stach — tylko, widzisz...

— No! no! dobrze znam ja twoją historyą. Opowiadał mi ją wachmistrz. I wiesz co Stachu?

— Nic nie wiem.

— Jak wrócimy z tej wojny do domu, bo może mię tu małpy hiszpańskie nie zabiją, ani też nie zarzną, to zajmiemy się wyszukaniem twej rodziny. Z Warszawy niedaleko do rzeki Pilicy, wiem o tym, bom raz jeździł do Warki po piwo na wesele mej siostry, co poszła za Wiśniewskiego, kupca... ma skład sukna na Krakowskim Przedmieściu, chłop dobry, ale straszny łyk... ani krzty ducha rycerskiego nie ma w sobie. Mój Boże, czy ja jeszcze kiedy zobaczę ich wszystkich, Krakowskie Przed-

mieście, kolumnę Zygmunta... moje miasto kochane!

Umilkł i wpatrywał się błękitnemi oczami w dal, w owe kłębiące się nad skałami posępne, dżdżem przesiąknięte chmurzyska, w szarą oponę dymu bojowego i w krwawe błyski, nieustannie wśród niego migotające. Stał zamyślony, duszą zapewne bujający po dalekiej Warszawie, po jej ulicach, po rynku Staromiejskim. Ale po chwili ocknął się z tej zadumy, przetarł oczy, poprawił czapkę na głowie i rzekł:

— Iii... co to o tym myśleć? co będzie to będzie. Matka tam zapewne w kościele OO. Augustyanów modli się teraz za mnie na rannej mszy, to się niczego nie boję. Wyszedłem dotąd cało z różnych opałów to i później wyjdę. Brrr! ale też zimno, niech ich kule biją z takim gorącym krajem. Tu zimniej jak u nas. No! dawaj Stachu co masz, trzeba się choć tego wińska czarnego napić, skoro innego niema Boję się, żebym nie zmarzł, tak mi zimno.

Stach dobył manierki i Franek potężny haust pociągnął, splunął, skrzywił się szkaradnie i oddając manierkę rzekł:

— Psie wino, gęsi w tym kąpać, albo skóry garbować, ale zawsze rozgrzeje trochę, a że skurczy żołądek to i lepiej będzie, bom głodny, prawdę powiedziawszy. Jeść tu nawet nie ma co, żeby to można skąd naszych zrazów dostać z kaszą gryczaną, a to rozumiem, ale te

ich potrawy hiszpańskie, których u nas nawet pies by się nie tknął. Dziwny naród, słowo honoru daję, dziwny naród!

Umilkł, obejrzał się dokoła, a na pytanie czego szuka, odpowiedział:

— Patrzę, czy nie możnaby fajki zapalić, ale nie można. Okrutną mam ochotę... ale nie można. Niech to licho porwie i głodno i chłodno i do domu daleko. Bardzobym był wdzięczny... Nie skończył, bo nagle zrobił się ruch wśród oficerów na przedzie i zaraz też rozległ się rozkaz rotmistrza:

— Milczeć tam w szeregach!

— Cesarz jedzie, cesarz jedzie! szeptano.

— Baczność! — komenderował rotmistrz — dobądź broń!

Brzęknęły szable, wydobyte z pochwy, a zaraz też zabrzmiała komenda:

— Oczy w lewo! prezentuj broń!

Pędem, otoczony wielką świtą przebiegł cesarz, mignął się tylko jego kapelusz stosowany i szara kapota i zniknął za wzgórzem.

— No! zaraz tu będzie inaczej teraz—szepnął Franek.

ROZDZIAŁ XII.

Jako Franek i Stach znaleźli się na szczycie wąwozu Somosierry.

Ale wbrew twierdzeniom Franka Gołębiowskiego, nie zanosiło się jakoś na to, żeby było inaczej. Po dawnemu bitwa wrzała na górach i, sądząc po ogniu, Francuzi ani na krok nie posuwali się dalej. Wszystkie wzgórza buchały dymem, huk armat grzmiał ciągle, owszem, teraz nawet kule poczęły gwizdać koło stojących w milczeniu szwoleżerów.

— Do licha! — mruknął Franek — widocznie Hiszpani biorą górę, kiedy do nas strzelają.

A kule zrazu rzadkie, teraz poczęły coraz gęściej padać, sycząc jak osy, zapadając w piasek, którego całe stosy wyrzucały ze świstem w górę. Konie i ludzie widocznie się niepo-

koili, a gdy jeden z pocisków wpadł w środek szwadronu i zwalił na ziemię jeźdźca i konia, zrobiło się lekkie w szeregach zamieszanie. Ale już przypadł rotmistrz Kozietulski z twarzą czerwoną od gniewu, z błyskiem piorunów w oczach i krzyknął:

— Stać mi kołkiem, do stu siarczystych par dyabłów! Szlusuj, trzymaj front!

Szeregi w milczeniu ścisnęły się, a Franek osadzając konia na miejscu, szepnął do Stacha:

— Rotmistrz się gniewa, ale niema racyi, dalibóg, niema racyi, bo czego my tu u licha stoimy? czy na to, żeby nas te zbóje z poza skał wystrzelali jak kaczki? Żeby tak na mnie, tobym się kazał cofnąć szwadronowi poza to wzgórze i byłoby wszystko dobrze. Kule by nas nie sięgały, a bylibyśmy pod ręką cesarza. Hm! gwiżdżą szelmy jak najęte... i powiadam tobie, że może lepiej było fikać kozły na lince w hecy twojego Niemca, jak stać tutaj. Brrr! do licha, coraz lepiej... dajno mi jeszcze twojego wińska, bo mi jakoś nieswojo.

— Stach podał mu manierkę, ale dziwił się niepokojowi Franka. Wprawdzie kule coraz gęściej padały, ale na szczęście oprócz jednego konia, który przed chwilą się zwalił, nikogo dotąd nie trafiły. Sam przytym nie czuł żadnego niepokoju. Stał na swym koniu, który drżał nerwowo i pocił się haniebnie, i pa-

trzał na owe góry, z których pociski aż do szwadronu dochodziły, na dymy buchające z nich niby z wulkanu, wsłuchiwał się we wrzawę boju, upajał ostrą wonią prochu, ale bojaźni żadnej nie czuł.

Nakoniec widocznie i rotmistrzowi przyszła do głowy ta sama co Frankowi myśl, bo nagle zakomenderował:

— Trójkami od prawego, lewe ramiona naprzód, w koło marsz!

Szwadron złamał się w trójki, zakręcił i na nowy rozkaz rotmistrza, zatrzymał się za owym wzgórzem, które go doskonale osłaniało od pocisków hiszpańskich.

— Hm!—rzekł Franek, gdy już ustawili się za wzgórzem — rotmistrz ma widać głowę nie gorszą od mojej. Chociem mu nie powiedział, on sam wpadł na myśl, że za tą górką będziemy bezpieczni, jak u Pana Boga za piecem.

W rzeczy samej kule tu nie sięgały. Szły albo górą z ogromnym szumem, albo zaorywały się w wzgórzu. Szwadron stał tu milczący i nieruchomy.

— Ciekawa rzecz—szeptał Franek—co cesarz wymyśli, bo widocznie Hiszpanie nie myślą nas puścić do Madrytu, co osobiście dla mnie byłoby bardzo przykrym, bom sobie roił, że przynajmniej wyśpię się wygodnie i na łóżku. Przecie chyba w takim wielkim mieście łóżek jest dosyć, a ja...

Nie skończył, bo nagle na wzgórzu, osłaniającym szwadron, ukazał się w pędzie adjutant cesarski i dopadłszy do rotmistrza, coś mu mówił i ręką wskazywał na góry, ziejące ogniem.

Rotmistrz, wysłuchawszy słów adjutanta, dobył szabli i podniósłszy ją w górę, krzyknął:

— Szwadron! szóstkami od prawego, za mną, kłusem marsz!

Szwadron złamał się w szóstki i z brzękiem, chrzęstem i tentetem pognał wyciągniętym kłusem za pędzącym naprzód rotmistrzem. W pierwszej szóstce, a więc na samym czele szwadronu, jechał Stach i Franek, który, poprawiając się na kulbace, gadał:

— Szyję dam za to, że cesarz jakiegoś fernepiksu zada Hiszpanom.

Ale nie było czasu na rozmowy, bo szabla rotmistrza znowu mignęła podniesiona i trąbki dały hasło dobycia broni. Porucznicy też komenderowali swoim plutonom:

— Dobądź broń!

Brzęknęły szable i mignęły w chłodnych blaskach zimowego dnia. Konie pędziły wyciągniętego kłusa, parskając wesoło. Szwadron posuwał się bitym gościńcem, wprost na ziejące ogniem góry Somosierry. Kule znów gwizdać poczęły, ale nikt już na nie nie zważał; nawet Franek, który przed chwilą był trochę nie swój, teraz siedział mocno osadzo-

ny na kulbace, z gołą szablą w garści, z okiem iskrzącym się i rozdętemi nozdrzami. Pędząc, ujrzano niedaleko cesarza, jak stał na siwojabłkowitym koniu w swej szarej kapocie, zakryty od kul małą murowaną kapliczką, otoczony kilku oficerami i patrzał na lecący rysią szwadron. Gdy rotmistrz Kozietulski przebiegał koło cesarza, podniósł szablę w górę i krzyknął z całych piersi:

— *Vive l'empereur!*

I sto kilkadziesiąt ust powtórzyło ten okrzyk, a po szeregach niby iskra elektryczna przebiegł dreszcz entuzyazmu, zapału i uniesienia. Wielu żołnierzy, zwłaszcza w końcowych plutonach, podnosiło się na kulbakach, potrząsało szablami, zrywali czapki z głowy i krzyczeli z całych sił w niesłychanym uniesieniu.

— *Vive l'empereur!*

A ten imperator stał spokojny, niby posąg z kamienia wykuty, blady na swej, rzymskiego patrycyusza twarzy i patrzał wielkiemi, pełnemi błysków tajemnych, oczami na rwący przed nim z grzmotem i trzaskiem zbliżającej się chmury, potok jeźdźców i ludzi. Bo szwadron już rwał pędem. Rotmistrz, przeleciawszy koło cesarza, mignął szablą w górę i zaraz rozległa się komenda:

— Skróć cugle, do ataku broń!

Błysnęły podniesione w górę pałasze, konie wyprężyły się jak struny i leciała ta wichura,

niby burza gromowa. Kule gęsto już świstać poczęły, ten i ów jęknął i zwalił się na ziemię, ale nikt na to nie zważał jeno pędził dalej. Droga coraz cięższą się stawała, spinała się pod górę, a ogień szedł tak gęsty, że Stach sądząc, że to pszczoły go opadły, oganiał się szablą od nich. Frankowi kula zerwała czapkę z głowy i leciał tak z włosem rozwianym, cały w ogniu, potrząsając szablą i krzycząc:

— Jezus, Marya, Józef!

I Stach także tym powszechnym entuzyazmem roznamiętnił się nadzwyczajnie. Potrząsając szablą, krwawił ostrogami boki konia, pragnąc najprędzej dotrzeć do Hiszpanów i rąbać ich na sztuki. Nie zważał na to, że kule gwizdały dokoła jego głowy, że co chwila któryś z jego kolegów trafiony padał na ziemię, że kitka u jego czapki na pół przestrzelona zwisła smutno, tylko rwał się naprzód.

Nakoniec wpadli w sam wąwóz i ujrzeli w niewielkiej odległości sześć dział, ustawionych wylotami na drogę i ziejących ogniem, ujrzeli gromady Hiszpanów, biorących na cel bohaterskich jeźdźców. W tejże chwili działa żygnęły ogniem i kartaczami, rotmistrz Kozietulski zachwiał się na koniu i spadł z niego, a z szóstki naczelnej, w której był Franek i Stach, zostali tylko oni dwaj. Ale nie powstrzymało ich to wcale; czuli za sobą tentent koni i ciężkie ich sapanie. Działa, Hiszpanie,

bagnety i kule migotały im tylko przed oczami, gdy nakoniec dopadli do armat i poczęli rąbać szablami kogo tylko napotkali. Franek przesadził zapory i działa i, wdarłszy się w gromadę uciekających Hiszpanów, rąbał ich zawzięcie; Stachowi na nieszczęście koń się potknął i runął z takim impetem, że aż Stach stracił przytomność. Słyszał tylko w ostatniej chwili rozpaczliwy głos Franka:

— Stachu, ratuj bo ginę!

Ale nic poradzić nie mógł, bo mu się w głowie zakołowało, jakieś czarne plamy w oczach zamigotały i potym już nie wiedział, co się z nim dzieje.

Obudził się pod wrażeniem dotkliwego bólu. Otworzył oczy i ujrzał te same góry, którym się dziś tyle napatrzył, otoczone mgłą i dymem. Dokoła niego panowała względna cisza, tylko gdzieś w oddali grzmiały jeszcze strzały i dochodziła głucha wrzawa ludzka. Przymknął oczy, gdy znów ten sam dotkliwy ból, jakiego już raz doznał, zmusił go do ich otwarcia. Ból ten pochodził stąd, że go dwóch żołnierzy francuskich podnosiło z ziemi. Dokoła leżały trupy ludzi i koni, czapki ułańskie i żółte czaka piechoty hiszpańskiej, działa, broń i krew, spływająca powoli po skalistym gruncie. Tu i owdzie kręcili się żołnierze francuscy, kilku szwoleżerów i mnóstwo oficerów francuskich w bogatych strojach po-



....nakoniec dopadli do armat i poczęli rąbać szablami kogo tylko napotkali (str. 132).

suwało się wolno po drodze. Stach, sycząc z bólu, usiadł, przetarł oczy i gdy przypatrywał się temu wszystkiemu, nagle usłyszał głos:

— Stachu, to ty żyjesz?

Obrócił się i ujrzał Franka. Siedział on niedaleko od Stacha, oparty o potrzaskane lawety działa hiszpańskiego, bez munduru i bez czapki, w koszuli tylko mocno pokrwawionej, z ręką obnażoną, którą mu jakiś siwy jegomość w mundurze granatowym silnie bandażował. Franek był blady jak ściana. kroplisty pot mu spływał po czole, ale uśmiechał się do Stacha. Ten popatrzał i odrzekł:

— Szczerze mówiąc, to nie wiem, czy ja żyję jeszcze, czy śnię.

— Furda! robaku, żyjesz skoro gadasz, ale co ci jest?

— Nie wiem... wszystko mię boli.

— Zaraz tam do ciebie pójdzie ten doktór, co mi tak ściska ramię, że mi wszystkie świeczki w oczach jaśnieją, niech go siarczystel... Jakiś hycel, zbój Hiszpański poczęstował mię kulą i bagnetem, ale to nic...

I obróciwszy się do doktora, który skończył bandażować i podniósł się, oddychając ciężko, począł mu na pół po francusku i na pół po polsku, dopomagając sobie gestami, wskazywać Stacha.

Doktór widać zrozumiał, bo uśmiechnął się dobrotliwie, rzekł: *bien, bien,* i poszedł do Stacha, przedewszystkim zdjął z niego mundur, rozdarł pełną plam krwawych koszulę, obejrzał pacyenta starannie i zawoławszy na swych pomocników, których kilku się kręciło, obmył



gąbką zapiekłą krew na piersiach i ukazała się szeroka rana, zadana bagnetem. Zbadał ją starannie, przyczym Stach aż zemdlał z bólu, ale gdy przyszedł do siebie, już był obandażowany i uczuł niezmierną ulgę. W dodatku przy nim stał Franek i trzymał manierkę w ręku.

— Naści, Stachu—mówił Franek - napij się tego kordyału. Jest to rum, zdobyłem go na trupie jakiegoś gerylasa. Powiadam ci, prze-

dni! napij się, to ci zaraz dobrze zrobi. Doktór powiada, że ci nic nie będzie, że za trzy tygodnie, siądziesz na koń. Co prawda i mnie tak pociesza, choć temu nie bardzo wierzę, bo mi te szelmy z kretesem ramię przestrzelili. No, co tam! napij się, robaku!

Stacha nieznośne pragnienie paliło, to też chwycił gorączkowo manierkę i chciwie pić począł. Gdy się napił, uczuł miłe ciepło w całym ciele i powracającą rzeźkość.

— A co? dobrze ci rum zrobił? — pytał Franek.

— Doskonale!

— Ano... będziemy zdrowi, rogata jest dusza polska i nie łatwo jej z ciała wyleźć. Ale wiesz, nasi wzięli te góry, przyszedł po nas trzeci szwadron i porąbał wszystko. Zwycięstwo jest przy nas. Mówiłem, że cesarz zada dajfeldreku tym Hiszpanom.

— Chwała Bogu, żeśmy zwyciężyli!

— Pewnie, że chwała Bogu, ale też gorąco było, gorąco. Jak sobie przypomnę to wszystko, to aż mię ciarki po skórze przechodzą.

Umilkł i począł oglądać się dokoła, wreszcie rzekł:

— Wszystko to dobrze, ale jabym chętnie co zjadł i przespał się. Czy oni nas tu myślą zostawić tak pod gołym niebem? Zimno mi i febra mnie trzęsie.

— I mnie także.

— Ha! chyba nas przecie zabiorą na jaki wóz, bo na piechotę niedaleko bym zaszedł. Osłabłem z kretesem.—Hej, kamracie!—krzyknął na jakiegoś szwoleżera, który kręcił się między rannemi i zabitemi — czy oni nas tu zostawią?

— Nie! zaraz wozy przyjdą. Cesarz kazał wszystkich rannych zabrać, zwłaszcza naszych. Bądź kolega cierpliwy—rannych jest mnóstwo.

— Ha! to czekajmy, skoro inaczej niemożna - odrzekł Franek z rezygnacyą.

Jakoż wkrótce nadeszły wozy, wysłane sianem i słomą. Umieszczono na jednym z nich Stacha i Franka i przewieziono za wojskiem do Madrytu.

ROZDZIAŁ XII.

Jako Franek i Stach poznali osobiście księcia Murata.

Po dość przykrej podróży na mocno trzęsących wozach, dwaj przyjaciele, Stach i Franek dostali się drugiego dnia do Madrytu. W drodze chwyciła ich gorączka, rany się zaogniły; Stach bredził niestworzone rzeczy, a głównie o Müllerze.

Na szczęście umieszczono ich w przepysznej sali jakiegoś pałacu, zamienionego na szpital tymczasowy. Mieli dość powietrza, wygodne łóżka i dozór oraz opiekę lekarską, o tyle o ile staranną. Jednakże rany ich, wbrew twierdzeniu medyka, który ich opatrywał na polu bitwy, nie łatwo się goiły. Okazało się najprzód, że

Stach miał oprócz pchnięcia bagnetem w piersi, ranę w głowie od cięcia pałaszem, przytym wskutek upadku z konia na lawety działa, złamane jedno żebro. Franek wyszedł z krwawego tego boju z mniejszym szwankiem, ale i on oprócz przeszytego na wylot kulą ramienia, miał jeszcze kilka drobniejszych „plejzerów,“ jak to wtedy mówiono. Wyleczenie więc wlokło się i upłynęło dobre cztery miesiące, nim Stach mógł wstać z łóżka i przechadzac się po sali. Franek wcześniej miał się lepiej; po miesiącu opuścił już łóżko i z wielką pieczołowitością zajął się Stachem. Przyjaźń ich przez pobyt w szpitalu znacznie wzrosła, nabyła mocy. Poznali się lepiej, opowiadali sobie swe życie, a gdy Franek dowiedział się całej przeszłości Stacha, zwykł był mawiać:

— Nie martw się, Stachu, jak wrócimy do domu, zajmiemy się zaraz wyszukaniem twej rodziny. Wprawdzie Kamieńskich w Polsce jest dużo, ale to nic nie znaczy. Kto szuka, zawsze znajdzie i my znajdziemy, jak dobrze poszukamy—jestem tego pewny.

Przyjaźń ich wzmocniła się przez to, że za waleczność okazaną w wąwozie Somosierry, mianowani zostali obaj porucznikami. Ucieszyli się tym niezmiernie i jedno tylko martwiło ich, że rany przykuwają ich do łóżka, kiedy wojna ciągle trwa i ich pułk nowe laury zbiera.

— Ha! cóż robić? — odpowiadał na to Franek — jużcić lepiejby było, gdybyśmy znajdowali się w pułku i dalej się bili, ale kiedy nie można, to nie można! Głową muru nie przebijesz, a jak się będziesz gryzł, to dłużej twoja choroba potrwa. Nie bój się, cesarz, niech mu Bóg da najdłuższe życie, da nam jeszcze nie jedną sposobność odznaczenia się. Wojna trwa ciągle i słyszę, gadał wczoraj doktór, że na wojnę z Austryjakami się zanosi i nasz pułk ma tam pójść z Hiszpanii.

— Byleśmy tylko do tego czasu wyzdrowieli! — mówił Stach.

— Wyzdrowiejemy, co nie mamy wyzdrowieć. Ja na upartego mógłbym już siąść na koń.

— Tak, ty wyzdrowiejesz, pójdziesz do Niemców, a ja tu muszę sam kisnąć!

— O! nie plótłbyś niedorzeczności, bez ciebie się nie ruszę, choćbym był zdrów jak ryba. Zresztą wojna nie tak prędko wybuchnie. Mamy czas jeszcze.

Pod tym jednak względem Franek się omylił. Wiosna nadeszła, wojna wybuchła, pułk ich poszedł do Austryi nowe laury zbierać, a oni jeszcze siedzieli w szpitalu. Niesłychane gorąca, jakie zapanowały, źle wpływały na ich rany, tak, że się goić nie chciały i naprawdę dopiero w połowie maja, Stach mógł wstać z łóżka. Zniecierpliwieni byli tym obaj mocno,

to też, jak tylko uczuli się lepiej, zaraz podali prośbę do gubernatora Madrytu, księcia Murata, ażeby im pozwolił wrócić do pułku. Ale odpowiedź im nie nadchodziła i Stach, dręczony niepokojem, mówił do Franka:

— Wiesz co, ja nie wytrzymam. Nie czekajmy na odpowiedź i pozwolenie gubernatora, tylko jedźmy do pułku.

— Nie można, Stachu, nie można. Najprzód nie mamy pieniędzy ani koni, a z pustą kieszenią i piechotą nie zajdziemy do Austryi — potym we dwóch samowtór niebezpiecznie puszczać się w drogę, mogą nas gerylasy gdzie napaść i zamordować.

— To też przyłączmy się do jakiego transportu; wszak codzień, podobno, jak słyszę, odchodzą do Francyi poczty, przesyłki, ranni i chorzy pod osłoną zbrojnego konwoju.

— Tak, to prawda, ja sam nie dalej jak wczoraj wysłałem tą drogą list do Warszawy do matki, ale bez pozwolenia gubernatora do transportu nas nie przyjmą. Wreszcie, ty tego nie rozumiesz, że żołnierz nie może się ruszyć bez rozkazu. Czekajmy, przecie nam odpowiedzą. Jeżeli za trzy dni nie otrzymamy rezolucyi, ponowimy prośbę.

— A niech to wszystko kulę bijął gniewał się Stach, ale uznawał słuszność uwag Franka i czekał.

— Trzy dni minęły i odpowiedź od gubernatora nie nadeszła, Franek zabierał się do pisania nowej prośby, gdy do ich salonu wpadł zdyszany posługacz i zawołał po francusku:

— Porucznik Golemboki (tak przekręcił nazwisko Franka) i porucznik Kamieńki, do sali przyjęć są proszeni. Adjutant jego ekscelencyi pana gubernatora ich wzywa!

— A! zawołał Franek—odpowiedź przyszła! No! chodźmy, trzeba tylko wdziać mundury i szable przypasać.

Ubrali się tedy w nowiuteńkie galowe mundury białe porucznikowskie, suto srebrem wyszywane, przypasali szable, nałożyli srebrne szlify i brzęcząc ostrogami, z miną zamaszystą podążyli do sali przyjęć.

Tu zastali młodego oficera, bardzo eleganckiego, w uniformie adjutanta, z szabelką przy boku, który salutując ich po wojskowemu, zapytał:

— Czy mam honor mówić z porucznikami szwoleżerów gwardyi, panami: Kamieńki i Golemboki? (wszyscy Francuzi haniebnie przekręcali ich nazwiska).

Stach, który mówił po francusku dobrze, bo się nauczył tego języka w swych długoletnich włóczęgach, odrzekł:

— Tak.

— A więc panowie—ciągnął dalej adjutant—przynoszę wam rozkaz jego ekscelencyi pana

gubernatora, księcia Murata, ażebyście stawili się u niego jutro o godz. 10-ej rano.

To rzekłszy, skłonił się po wojskowemu, brzęknął szabelką i ostrogami, zawrócił się i wyszedł.

Obaj przyjaciele spojrzeli po sobie, a Gołębiowski Franek spytał:

— Co to znaczy?

— Albo ja wiem!

— Hm!—mruknął Franek—jest to oczywiście odpowiedź na nasze podanie. Ale niech mię kule biją, jeżeli rozumiem, co to jest za odpowiedź. Po co nas wzywa do siebie? Przecie wszystkim przysyłano pozwolenie powrotu do pułku, nie wołając ich do gubernatora. W tym się coś święci, ale co?

Stach milczał.

— No i czemuż nic nie mówisz? — wołał Franek rozgorączkowany.

— A cóż będę mówił?

— Ej, boś ty jest gamajda...

— Może być, że jestem gamajda, ale skądże ja mogę wiedzieć, czego od nas chce pan gubernator? I myślę, że najlepiej nie zaprzątać sobie tym głowy. Jutro dowiemy się wszystkiego, bo przecie iść musimy.

— Rozumie się, że musimy. Rozkaz jest wyraźny — odparł Franek i przeszedłszy się tam i z powrotem po sali, dodał:

— Masz racyą, nie ma o czym myśleć, bo nic nie wymyślimy. Czekajmy do jutra.

Czekali więc, a nazajutrz wystrojeni w swe śliczne galowe mundury, z czapkami na bakier zasadzonemi, z szabelkami przy bokach, dzwoniąc ostrogami, z miną gęstą, jak przystało na ułanów polskich, stawili się o naznaczonej godzinie w pysznym pałacu pana gubernatora, księcia Murata. Zapytawszy straży, gdzie mają się udać, weszli do wielkiej sali, w której znajdowało się mnóstwo jenerałów i osób cywilnych, a wśród nich kręcił się ów elegancki wczorajszy adjutant z kartą papieru i ołówkiem i zapisywał nazwiska każdego przybyłego. Spostrzegłszy wchodzących ułanów, podbiegł do nich, szarmancko się ukłonił i rzekł:

— A! messieurs Kamieńki i Golemboki! Jego ekscelencya, pan gubernator, kazał panów natychmiast po przybyciu zaprowadzić do siebie. Proszę panów za mną.

Na wielkie zdziwienie wszystkich obecnych, którzy tu już może czekali od godziny, sami wreszcie takim wyróżnieniem zdumieni, Franek i Stach, ruszyli za adjutancikiem. Przeprowadził on ich przez szereg przepysznie umeblowanych i przystrojonych sal i stanąwszy przed jakiemiś zamkniętemi drzwiami, rzekł bardzo grzecznie:

— Proszę panów poruczników tu się na chwilę zatrzymać. Pójdę zameldować jego ekscelencyi, że panowie czekają na jego rozkazy.

To rzekłszy, otworzył owe zamknięte drzwi i zniknął za niemi. Dość długo nie było go widać, a Franek rozglądnąwszy się po pokoju, po jego złoceniach, meblach adamaszkowych i wielkim portrecie, jakiegoś grubego mężczyzny w czerwonym mundurze, rzekł do Stacha:

— Czy ty co rozumiesz?

— Nie.

— To tyle co i ja, bo ja nic a nic nie rozumiem. Czego on może od nas chcieć do stu par bataljonów, taki wielki dygnitarz od nas, takich biedaków?

Stał i patrzał na ów wielki portret mężczyzny w czerwonym fraku, z wielką, poczciwą ale bardzo niemądrą twarzą i mówił:

— To musi być król Hiszpański.

— Dla czego?—spytał Stach.

— A, bo ma taką...

Nie skończył, bo drzwi się z trzaskiem otworzyły i wpadł przez nie w lansadach, dzwoniąc szabelką i ostrogami, ów strojny adjutancik i kłaniając się, rzekł:

— Jego ekscelencya, pan gubernator, książę Murat, wzywa panów poruczników do siebie.

Otworzył drzwi na rozcież, wpuścił przez nie obu młodzieńców i zamknął je starannie. Znajdowali się wtedy w małym, prawie pustym pokoiku, który adjutant przebiegł, otworzył drzwi w ścianie przeciwległej i wsunąwszy tam głowę, zawołał:

— Panowie porucznicy Kamienki i Golemboki!

Wyrzekłszy to, wpuścił owego Kamieńki i Golemboki i drzwi za nimi zamknął.

Franek i Stach znaleźli się w obszernym gabinecie, na pół mrocznym od ciężkich zasłon, które ochraniały okna od palących promieni wiosennego hiszpańskiego słońca. Zasłony te były z ciężkiego aksamitnego adamaszku, czerwonej barwy, i od tej czerwieni wszystkie przedmioty przybierały czerwonawy jakiś połysk. W tych półcieniach krwawych ginęły i rozpływały się wszystkie sprzęty i ściany, tylko tu i owdzie występował nagły jakiś błysk, czy to od bronzów na meblach, czy od ram złocistych na ścianach, czy od szlir paru jenerałów, siedzących w postawie pełnej uszanowania na fotelach, koło wielkiego biurka, zarzuconego papierami i bronią. Panowała tu wielka cisza i gdy Franek i Stach weszli, oczy ich przywykłe do światła, zrazu nie mogły nikogo i nic rozróżnić i stanęli w milczeniu, przy drzwiach, wyprostowani jak struny, czekając, aż która z tych milczących i nieruchomych figur jeneralskich do nich się odezwie.

Ale przez chwilę nikt się nie odzywał, co Franka poczynało niepokoić i wyglądało mu to wszystko na jakąś komedyą, która go gniewała. Gdy jednak powoli wzrok jego przywykł

do purpurowych ciemności tego pokoju, poznał zaraz księcia Murata, bo nieraz go widział jako naczelnego dowódcę kawaleryi.

Książę ten siedział za owym wielkim biurkiem, na bronzach którego przedzierający się blask słońca ogniste zapalał światła, ubrany po swojemu, dziwacznie i teatralnie. Miał więc na sobie czamarkę węgierską, jasnozielonego koloru, suto złotem szamerowaną, pełną sznurów złocistych i kutasów. Głowę, tę głowę o włosie długim, kędzierzawym, rozwichrzonym fantastycznie, miał wspartą na obu rękach, a wielkie, czarne, bystre i przenikliwe oczy wlepił z wyrazem nadzwyczajnej ciekawości w obu chłopców. I patrzał tak dość długo, tak, że to Franka niecierpliwiło nadzwyczajnie, a Stach czuł się onieśmielonym mocno. Wreszcie książę Murat podniósł głowę, zwrócił się do siedzących nieruchomie i także przypatrujących się ciekawie szwoleżerom jenerałów i rzekł:

— Wyglądają dzielnie, ani słowa. Muszą to być zuchy.

Jenerałowie potwierdzili tę uwagę kiwnięciem głowy, a książę Murat nagle z trzaskiem zerwał się z fotelu, wyszedł z poza biurka, dzwoniąc ostrogami u żółtych butów, mieniąc się w swym złocistym szamerowaniu w migotliwych blaskach przedzierającego się przez zasłony słońca, stanął przed przyjaciółmi i jeszcze ich raz bacznie obejrzał.

Uskuteczniwszy to, odwrócił się do generałów i rzekł:

— Uda się, słowo honoru! uda się!

Co się miało udać, ani Franek ani Stach nie wiedzieli, ani się też domyśleć nie mogli. Zachowując wciąż wyprężoną postawę wojskową, milczeli.

Wreszcie książę Murat jeszcze raz zwrócił się do nich i głosem ostrym, rozkazującym, zapytał:

— Panowie jesteście porucznikami pułku lansierów polskich gwardyi?

— Tak, panie marszałku!

Wziął jakiś papier z biurka, zajrzał do niego i rzekł:

— Jak to się nazywacie? panowie Ka... Ka...

— Kamieński, panie marszałku.

— A tak! tak... Ka... Kam... nie! nie wymówię, ale to mniejsza! Słuchajcie mię panowie.

Ale w tej chwili zastukano dyskretnie do drzwi, które się uchyliły, jakaś ręka wsunęła opieczętowany pakiet, który Murat rozpieczętował i czytać pilnie począł.

ROZDZIAŁ XIV.

W którym Franek utrzymuje, że przysłowie „raz kozie śmierć“ jest zupełnie uzasadnione.

Książę Murat otworzył wręczony mu list, przeczytał go, rzucił z niechęcią na biurko, i zwracając się do stojących w milczeniu Stacha i Franka, rzekł:

— Otóż, panowie porucznicy... czy umie który z was po rosyjsku?

Gdy Stach przetłomaczył to pytanie Frankowi, ten odpowiedział:

— Powiedz mu, że ja trochę umiem. Jeździłem bowiem do Moskwy w sprawie spadku, jaki tam odziedziczyła moja matka. Ale to tam moja umiejętność jest niewielka.

Stach zakomunikował tę wiadomość księciu.

— To dobrze, to bardzo dobrze — zawołał Murat.—A teraz zapytuję panów, czy chcecie zrobić wielką przysługę cesarzowi i Francyi?

— Gotowi jesteśmy do wszystkiego—odparł Stach—dla cesarza wszystko zrobimy, zginiemy, gdy tego zażąda.

— Bardzo to pięknie z waszej strony, waleczni Polacy. A więc posłuchajcie mnie.

To rzekłszy, usiadł znowu za biurkiem, kazał się zbliżyć obu młodzieńcom i zająć dwa krzesła, stojące obok. Gdy to zrobili, tak mówił:

— Wiadomo wam może, że jenerał Junot znajduje się obecnie ze swą armią w Lizbonie, stolicy Portugalii. Ja potrzebuję przesłać bardzo ważne wiadomości jenerałowi Junot, a nie mogę tego uczynić przez zwykłego kurjera, gdyż wszystkie drogi do Lizbony są zajęte przez gerylasów i wojska Hiszpańskie, znajdujące się pod dowództwem jenerała, jak się tytułuje ten buntownik, Castaniosa. Każdego kurjera chwytają i mordują. Otóż wiedząc, jak Polacy są mężni i waleczni, znając waszą wierność i gotowość poświęceń dla cesarza, chcę wam zaproponować, czybyście się nie podjęli przeniesienia owych wiadomości do Lizbony.

Stach chciał coś odrzec, ale Murat powstrzymał go znakiem ręki i mówił:

— Nie przerywaj mi, młodzieńcze, wysłuchaj wprzód wszystkiego, nim ostateczną poweźmiesz ty, mości poruczniku, i twój towarzysz decyzyę. Ostrzedz cię bowiem muszę, że wyprawa ta jest bardzo niebezpieczna i grozi utratą życia. Niewątpliwie wpadniecie w ręce gerylasów i nikt wam pomocy nie da. Tylko na swym męstwie i zimnej krwi polegać możecie. Zastanówcie się, że jesteście młodzi, że całe życie macie przed sobą, że może tam, w domu matki i siostry wasze z utęsknieniem oczekują waszego powrotu. Dodać przytym muszę, że odmowa w niczym nie zaszkodzi wam, ani w moich oczach, ani w oczach cesarza i waszych towarzyszy. Żołnierz wprawdzie bić się powinien walecznie, spełniać rozkazy swych przełożonych, ale wyprawa, którą wam proponuję, jest czymś wyjątkowym, czymś grożącym śmiercią straszną, cichą, gdzieś w głębi gór hiszpańskich, tak, że nawet wieść o was zaginie. Czy pojmujecie mnie?

— W zupełności pojmuję waszą książęcą mość — odrzekł Stach – pozwól, panie jenerale, że rzecz całą przedstawię memu koledze, który nie bardzo rozumie po francusku.

— Dobrze, wytłomacz mu to waćpan.

Stach więc dokładnie i ściśle opowiedział Frankowi propozycyą Murata i gdy skończył, rzekł:

— Nie odpowiedziałem jeszcze księciu ani tak, ani nie, gdyż nie mogłem się zobowiązywać za ciebie.

— No, a ty jak myślisz? spytał Franek.

— Ja jestem gotów to zrobić. Mamy tu gnić w Madrycie, to lepiej puścić się na taką wyprawę. Wprawdzie może nas spotkać śmierć, tysiące niebezpieczeństw, ale ja i niebezpieczeństwa jesteśmy od kolebki przyjaciółmi.

— A wiesz co, Stachu—zawołał na to Franek—że ja jestem tego samego zdania co i ty.

— Cóż więc mam odpowiedzieć księciu?

— Że się zgadzamy.

— Podaj mi rękę, Franku — zawołał Stach z rozrzewnieniem — jesteśmy przyjaciółmi na śmierć i życie!

— Na śmierć i życie!—powtórzył Franek, ściskając silnie rękę Stacha.

— Cóż twój przyjaciel, mości poruczniku—zapytał Murat—sądzi o mej propozycyi?

— Sądzi on, mości książę, to samo co i ja.

— A mianowicie?

— Że gotowi jesteśmy spełnić rozkazy waszej książęcej mości.

Murat zerwał się z krzesła i z rozpromienionemi oczami skoczył do obu chłopców, wołając:

— Dzielni Polacy! dzielni Polacy, pozwólcie niech was uściskam! podajcie mi swe dłonie. Jesteście mężni i waleczni!

I wytrząsłszy za ręce obu poruczników, zwrócił się do jednego z jenerałów, który siedział nieruchomy, ubrany w nieznany Stachowi i Frankowi mundur i przysłuchiwał się bacznie tej rozmowie. Murat zawołał do tego jenerała, podnosząc teatralnym ruchem ręce do góry:

— Co za naród, mój Boże! co za naród!

Wyrzekłszy te słowa głosem patetycznym, siadł na swym miejscu i przybrawszy poważną postawę, mówił:

— A teraz posłuchajcie mię, młodzieńcy, pilnie.

— Słuchamy pana jenerała!

— Na wyprawę tę, nie możecie udać się w mundurach waszych, bo byście nic nie zrobili, ale przez pierwszy napotkany oddział buntowników haniebnie zostali zamordowani. Wszak prawda?

— Prawda, mości książę!

— Nie możecie również puszczać się w tę drogę w ubraniu cywilnym, bo by was wzięto za szpiegów i czymbyście wytłomaczyli waszą podróż, zwłaszcza, że jeżeli mówicie po hiszpańsku, to nie tak, by w was nie widziano cudzoziemców?

— Istotnie tak jest, mości kiążę — odrzekł Stach—ja wprawdzie mówię po hiszpańsku, ale z akcentem cudzoziemskim, mój przyjaciel zaś wcale nie zna tego języka.

— Byłem pewny, że tak jest. Wymyśliłem więc sposób następujący.

To powiedziawszy, poprawił się na krześle i wskazując ręką na jenerała, ubranego w nieznany mundur, rzekł:

— Tu obecny hrabia Strogonow, ambasador cesarsko-rosyjski przy dworze hiszpańskim, zgodzić się raczył na to, byście przybrali na siebie mundury rosyjskie i jako jego kurjerzy, udali się z depeszami, które wam wręczy, do admirała rosyjskiego Siniawina, stojącego ze swą eskadrą w porcie Lizbońskim. Mundur rosyjski zasłoni was od wszelkich napaści ze strony gerylasów, gdyż pragną oni zachować sobie przyjaźń Rosyi, i nie ośmielą się nigdy narażać na zerwanie z tym mocarstwem, mordując kurjerów ambasadorskich. Znajomość języka rosyjskiego, jaką posiada jeden z was, ułatwi wam to zadanie. Czy rozumiecie mię, panowie porucznicy?

— Rozumiemy, mości książę.

— Depesze, które wam wręczy hr. Strogonow, możecie wszędzie pokazywać, okazując pozorny opór, dla zachowania decorum. Hrabia Strogonow zaopatrzy was w formalne paszporty i temi winniście się zasłaniać, a w ostateczności dopiero okazywać opieczętowane depesze rosyjskie. Odemnie zaś otrzymacie ustne polecenia do jenerała Junota, które mu zakomunikujecie, po szczęśliwym przybyciu do Lizbony.

Potrzebne fundusze na tę daleką i niebezpieczną drogę zostaną wam wypłacone. Czyście mnie pojęli, czy zgadzacie się na wszystko?

— Pojęliśmy doskonale, mości książę; skoro taka jest wola waszej książęcej mosci, wypełnimy ją z należytym posłuszeństwem.

— A zatym wszystko jest dobrze!—zawołał wesoło Murat – muszę was wszelako ostrzedz, sami to zresztą zapewne doskonale rozumiecie, że pilnować się należy wszystkiemi sposobami, aby was nie wzięto za Francuzów. Udajcie, że nie rozumiecie tego języka, że nie mówicie po hiszpańsku, inaczej zginęliście. Jeszcze jedno: wiem, że w bandach Castaniosa jest kilku oficerów niemieckich, podobno Prusaków, którzy jako sąsiedzi może znają język rosyjski. Miejcie się więc w obec nich na baczności... czy który z was zna język niemiecki?

— Ja go znam dobrze—odparł Stach—mój przyjaciel mówi nim, ale słabo.

— Doskonale! jako Rosyanie, nie jesteście obowiązani mówić płynnie po niemiecku, ale możecie znać ten język. A nawet radziłbym wam, abyście w razie, gdy się natkniecie na owych oficerów niemieckich, mówili z trudnością tym językiem. Czy mię rozumiecie?

— Rozumiemy, mości książę!

— A więc rzecz skończona. Wszystko co mogłem wam powiedzieć, powiedziałem, reszta zależy od waszego męstwa, zimnej krwi i odwagi. Nie wątpijcie o tym, młodzieńcy, że cesarz dowie się o waszym poświęceniu i jeśli w tej trudnej wyprawie nie zginiecie, czeka was piękna nagroda.

— Mości książę! — rzekł na to Stach — nie dla nagrody, którą możemy otrzymać z rąk cesarskich, gotowi jesteśmy dokonać tej misyi. Już samo to, że raczyłeś nas wybrać z pomiędzy naszych kolegów, napawa nas dumą i stanowi to dla nas najwyższą nagrodę!

Murat spojrzał na Stacha nieco zdziwiony i rzekł:

— Dzielny Polak! winszuję ci, mości poruczniku, takich wzniosłych zasad, bardzo winszuję!

To powiedziawszy, zamyślił się na chwilę, poczym zerwał się swym gorączkowym ruchem i wziąwszy pod ramię hrabiego Strogonowa pociągnął go w głąb' sali, w niszę utworzoną przez okno, i tam z nim rozmawiał jakiś czas przyciszonym głosem. Wreszcie ukonczywszy tę konferencyą, żwawo posunął się naprzód, dzwoniąc szablą i ostrogami i rzekł do obu przyjaciół:

— A więc rzecz skończona! Ty, mości poruczniku — zwrócił się do Stacha — jako umiejący po francusku, dziś wieczorem, gdy zmrok

zapadnie, ubierzesz się po cywilnemu, po hiszpańsku i przybędziesz tu, zachowując wszelkie ostrożności, do pałacu. Mój adjutant będzie na ciebie czekał w przedsionku i zaprowadzi cię do mnie. Masz się stawić punktualnie o godzinie 11 i pół wieczorem. Rozumiesz?

— Rozumiem, mości książę, tylko...

— Tylko co?

— Ja nie mam wcale cywilnego ubrania.

— Do dyabła!... nie pomyslałem o tym. Ale to mniejsza, możesz przyjść w mundurze, odziej się tylko płaszczem piechoty francuskiej, który ci zaraz dać każę.

To rzekłszy, zadzwonił, a gdy wpadł adjutant, wydał mu rozkaz odpowiedni.

— Co się tyczy mundurów rosyjskich i depesz, które hrabia Strogonow wam ma wręczyć, to...

— To trzeba, żeby obaj ci panowie—wtrącił hr. Strogonow — okryci płaszczami piechoty francuskiej, dziś wieczorem zgłosili się do pałacu ambasady. Przenocują tam, a jutro mogą puścić się w drogę.

— Doskonale... zaraz każę dać drugi płaszcz.

Gdy owe płaszcze przyniesiono, oraz furażerki piechoty, obaj przyjaciele, przybrawszy się, wyglądali na oficerów linijowych.

— A teraz możecie odejść, mości porucznicy, a wieczorem was czekam!—rozkazywał Murat.

Stach i Franek skłonili się po wojskowemu i wyszli zamyśleni mocno. Obaj nie mieli żadnych wątpliwości, że wyprawa, której dokonania się podjęli, jest bardzo niebezpieczną i bardzo trudną. Przeszedłszy w milczeniu sale przepełnione wszelkiego rodzaju oficerami, znaleźli się wkońcu na ulicy. Było południe i słońce dopiekało mocno; ulice były prawie puste. Tak jednak byli pogrążeni w myślach, że nie zważali na to. Wreszcie uszedłszy kilkadziesiąt kroków, Stach ocknął się z zadumy zatrzymał się i rzekł:

— No, i cóż ty na to, Franku?

— A nic, cóż mam mówić?

— Ale bo widzisz... możemy nie wrócić z tej wyprawy.

— Ha! to nie wrócimy!

— Hiszpanie mogą nas upiec na ogniu.

— Ha! to upieką, wielka mi rzecz! raz kozie śmierć. Zresztą co tu o tym gadać, podjęliśmy się i trzeba wykonać.

— Masz racyą, niema o czym mówić.

Wieczorem według rozkazu stawili się obaj w pałacu księcia Murata.

ROZDZIAŁ XV.

W którym Stach tłomaczy Frankowi, że nie trzeba krzyczyć hop! dopóki się rowu nie przeskoczy.

Nazajutrz wczesnym bardzo rankiem, wyjechał z Madrytu, bramą na zachód wiodącą, lekki wózek hiszpański, zaprzężony w dwa pocztowe konie. Na wózku tym siedział Franek i Stach, obadwaj ubrani w mundury rosyjskie ciemno-zielone z czerwonemi kołnierzami, w szare płaszcze i kapelusze stosowane. Zaopatrzeni w pieniądze, w paszporty ambasady rosyjskiej i depesze do admirała Siniawina, pełni byli jak najlepszej otuchy.

Ranek był prześliczny. Słońce niedawno weszło i od gór wiał chłodny wietrzyk, pełen rzeźwości. Wieże i dachy domów Madrytu

błyszczały oślepiającym blaskiem pod słońce, wśród drzew przydrożnych rozlegał się wesoły świergot ptactwa, wszystko dyszało pokojem, weselem i ciszą.

W duszy też obu podróżnych było jasno i wesoło. Umówili się, że Franek, jako umiejący po rosyjsku będzie grał rolę kurjera, a Stach jego ordynansa. Właściwie jednak Stach wiózł ze sobę ustne polecenie Murata do marszałka Junota, z rozkazem jak najsurowszym, żeby polecenia tego nikomu, nawet Frankowi nie wyjawiał. Franek uprzedzony o tym przez Stacha, nie dopytywał się wcale, gdyż umiał być dyskretnym. Teraz jechał wesoło, pogwizdywał sobie i mówił:

— Dalipan! wcale dobra myśl przyszła do głowy panu gubernatorowi, że nas wysłał w drogę. Już mi się okrutnie przykrzyło w Madrycie. a tak człowiek zobaczy trochę świata i ubawi się szczerze.

— Czymże się ty ubawisz?—pytał Stach.

— A całą tą maskaradą i tym, że tych Hiszpanów wystrychniemy na dudków. Zobaczysz, jak się dowiedzą, że my jesteśmy kurjerami innego państwa, będą nam się kłaniali do kolan, a my tymczasem jesteśmy zgoła czym innym i co innego wieziemy. Jest to tak zabawne, że jak sobie pomyślę o tym, to mi się śmiać chce...

— No! no! Franku! nie śmiej się, bo może przyjdzie nam płakać. Wszak gubernator nas ostrzegł, że przedsięwzięcie nasze jest bardzo niebezpieczne.

— Głupstwo! on tak gadał, aby gadać. Jużcić w czasie wojny, taka podróż samowtór nie jest bezpieczną, ale żeby to nam aż śmiercią miało grozić, temu nie wierzę. Niewątpliwie dobry to był pomysł, te mundury rosyjskie, a choć mi żal było mego pysznego uniformu porucznikowskiego, jednakże pewny jestem, że ten czerwony kołnierz i złociste guziki wszędzie nam drogę otworzą i przybędziemy szczęśliwie do Lizbony.

— Ej! Franku, nie mów hop, aż przeskoczysz!

— Ale co tam... jestem jak najlepszej myśli i pewny jestem, że nam się wszystko uda.

— Oby to Bóg dał!

Tak sobie rozmawiali i, w rzeczy samej, z początku szło im wszystko jak z płatka. Droga była dobra, konie pocztowe niezłe, wózek wygodny, nawet słońce tego dnia nie dopiekało mocno. Koło południa przybyli do jakiejś kortichy, bo tak Hiszpanie nazywają folwarki, gdzie w austeryi odpoczęli sobie nieco i dobry obiad zjedli. Gospodarz przypatrywał im się ciekawie, pytał czy są Francuzami, a choć otrzymał przeczącą odpowiedź, nie bardzo temu zdawał się dowierzać. Mimo to był grzeczny i usłużny i dał podróżnym wybornie upieczoną, tłustą kurę na obiad.

Odpocząwszy sobie, jechali całe popołudnie, a wieczorem stanęli na nocleg w miasteczku Santa Cruz i pocztylion zawiózł ich do oberży najpierwszej, jak mówił, w całej okolicy, gdzie sami margrabiowie stają. W rzeczy samej oberża była wygodna, gospodarz



uprzejmy i uprzedzający, choć nieco ciekawy. Obrzucał on czarnemi, palącemi oczami Stacha i Franka, przypatrywał się mundurom i nazywał tego ostatniego kapitanem francuskim, senhor capitano.

— Ja nie jestem kapitanem i nie jestem Francuzem tylko Rosyaninem — odrzekł Franek.

— Rosyaninem? nie słyszałem o takim narodzie, nie słyszałem—zauważył Hiszpan—ale może być, z cesarzem Napoleonem, oby mu Bóg dał najdłuższe życie (tu wzniósł oczy w górę i ręce złożył jak do modlitwy), tyle różnych do nas przybyło narodów, że człowiek nawet spamiętać nie może ich nazwisk.

— Nie jest to też rzeczą waćpana — odparł dumnie Franek—waćpan pamiętaj o wieczerzy, o winie i wygodnych dla nas łóżkach.

Gospodarz skłonił się uniżenie, zatarł ręce i rzekł:

— A oczywiście, oczywiście, ja też to sobie tak gadam, za co przepraszam, senhor capitano. Co się tyczy wieczerzy zaraz będzie i tuszę sobie, że takiej wieczerzy i takiego wina nawet w Madrycie nie znajdzie.

— Spiesz się więc waćpan, bo jesteśmy głodni i spać nam się chce.

— Zaraz będzie, zaraz!

Wybiegł i słychać było jak wołał na służbę, by się śpieszyła z podaniem jedzenia „dla panów Francuzów“

— Hm! — rzekł Stach, po wyjściu oberżysty—nie podoba mi się ten jegomość. Strasznie uniżony i z oczów mu źle patrzy.

— Śmiej się z tego. A cóż on nam zrobić może? Drwię sobie z niego!

— On nic nam nie zrobi, ale może dać znać do jakiej włóczącej się w tej okolicy bandy gerylasów o naszym tutaj pobycie...

— Ten mundur nas zasłoni! — odrzekł Franek.

— Oby to Bóg dał — powtórzył swoje Stach.

Gospodarz w rzeczy samej zawinął się szybko z wieczerzą. W pół godziny może wkroczył uroczyście na czele trzech służących, którzy nieśli na półmiskach upieczone przepiórki, sałatę i dwie butelki wina. Wszystko to ustawiono prędko i gdy służący wyszli, oberżysta podparł się pod brodę i z uśmiechem dobrotliwym przypatrywał się, jak nasi zuchy pałaszowali pieczyste.

Zniecierpliwiony tym Franek zapytał:

— Czego waćpan tu stoisz? czego nam się przypatrujesz?

— Cieszę się, że moja wieczerza tak panom smakuje. To mię napawa dumą, bo nie chwaląc się, w mojej austeryi zawsze najlepsze są wina i najwytworniejsze potrawy. Książę Albuquerque zawsze u mnie staje i jak tylko wysiądzie z powozu, jeszcze w sieni woła: Baptysto! bo mnie Baptysta na imię, dajno mi buteleczkę twojej starej malagi. Tak, senhor capitano, tak to jest. Dla tego miło mi się koło serca robi, gdy patrzę, jak moje prze-

piórki, przezemnie samego przyrządzone, panom smakują; aż mi ślinka idzie do ust gdy patrzę na to. Jutro dam panom na obiad królika, ale jakiego królika, palce lizać!

Tu przyłożył dłoń do ust i oblizał ją własnym językiem z wyrazem rozkoszy na swej tłustej twarzy.

— Oho! — rzekł Franek — jutro nas tu nie będzie.

— Mój Franku – odezwał się po polsku milczący dotąd Stach — dla czego się z tym wydajesz? czyż nie widzisz, że ten chytry Hiszpan umyślnie wciąga cię w rozmowę, żeby nas wybadać?

— A prawda! masz słuszność! — zawołał Franek — ale czekaj, zaraz ja sobie z tym łotrem dam radę.

Ale było już późno. Hiszpan wiedział, czego pragnął się dowiedzieć, i udając przykre zdziwienie – zawołał głosem pełnym smutku:

— Jakto, senhor capitano, jutro wyjeżdżasz? nie będziesz jadł mego królika, którego zawsze margrabia Fernando di...

— Pal dyabli waścinego margrabiego! — huknął Franek — co mię to wszystko obchodzi! Czego waćpan tu stoisz? nie lubię, gdy kto patrzy, jak ja jem. Wynoś się waćpan i nie przychodź, aż cię zawołam!

Hiszpan łysnął złemi ślepiami na senhora capitana, ale ukłonił się nisko i mówiąc:

— Przepraszam, bardzo przepraszam... nie wiedziałem, że senhor nie lubi, gdy kto na niego patrzy...

I tyłem, wśród ciągłych ukłonów, wyniósł się za drzwi. Gdy kroki jego ucichły, Stach rzekł po polsku:

— Jesteś bardzo nieostrożny Franku. Niemiec Müller, u którego za pajaca służyłem, pomimo całego swego łotrowstwa, był mądrym człowiekiem i zawsze gadał: mowa jest srebrem, lecz milczenie złotem.

— Hm! hm! strasznie jakaś mądra maksyma!—zawołał Franek, ogryzając chciwie kostki!

— Bardzo mądra i dobrzeby było, żebyś o niej na przyszłość pamiętał. Po co wdawać się w rozmowy niepotrzebne?

— Masz racyą, Stachu, jak zawsze masz racyą! Ale któż się spodziewał po tym hultaju, że mię tak z mańki zażyje? Odtąd będę milczał jak ryba, pary z ust nie puszczę.

— To będzie lekarstwo gorsze od choroby—zaśmiał się Stach.

— Jakto? — więc mówić źle, nie mówić jeszcze gorzej?

— Owszem, mówić trzeba, żeby nie wzbudzić podejrzenia, ale mówić tylko takie rzeczy, które nam zaszkodzić nie mogą.

— Ej, mój Stachu, przesoliłeś, jak cię kocham, przesoliłeś. Cóż to nam szkodzić może,

że ten hultaj oberżysta wie, że jutro wyjeżdżamy, wszak by się i tak o tym jutro dowiedział?

— Jutro, ale nie dziś.

— Ale cóż to ma do tego?

— To, że w nocy, powtarzam ci, może dać znać jakiejś bandzie gerylasów...

— A prawda! niech kaczki zdepczą moją zakutą głowę! Że mi to na myśl nie przyszło. I cóż teraz zrobić?

Siedział wpatrzony w Stacha z miną mocno zakłopotaną, zły na siebie widocznie.

— Co robić? a nic.

— Jakto nic?

— A nic!

— A gerylasy?

— Zobaczymy jak przyjdą.

— Masz racyą... nie mamy się czego obawiać! Ubiorę się w mundur rosyjski i powiem im, że jestem posłem ambasadora rosyjskiego. Niepotrzebnie się skłopotałem. No, napijmy się wina i chodźmy spać, bom okrutnie znużony. Ani słowa, ten hultaj oberżysta ma dobre wino, tylko nieco ciężkie, a i przepiórki były wyborne. Pal licho wszystkich gerylasów. Nie boję się ich wcale, a przytym skąd pewność, że ten łotr ich sprowadzi w nocy?

— Pewności niema, ale jest bardzo prawdopodobne. Nieomal jestem przekonany, że nocy tej spokojnie nie prześpiemy.

Ale gerylasy wcale się nie zjawili i noc obaj młodzieńcy spokojnie przespali. Nazajutrz dość wcześnie zerwali się ze snu rzeźwi, wywczasowani i weseli.

— A widzisz, Stachu—wołał Franek, przeciągając się leniwie i ziewając głośno — że wszystkie twoje przepowiednie wczorajsze nie sprawdziły się wcale. Spaliśmy jak króle, gerylasy nam nie przeszkadzali i pan Baptysta, u którego książęta jadają, jest porządnym człowiekiem.

— Franku, powtarzam ci, nie krzycz hop! aż przeskoczysz.

— Cóż u kroćset batalionów! przecież już dziś, a przynajmniej tego ranka i w tej oberży gerylasy nam nic nie zrobią, więc mogę krzyczeć hop! Fisztr! jak powiada major Dotancourt, jesteś złowrogim puszczykiem, mój Stachu!

— Nie! tylko jestem ostrożny!

— Pal dyabli wszelką ostrożność i gerylasów i co tam jeszcze więcej! Oto jestem taki głodny, żebym zjadł konia z kopytami. Uważam, że byłoby dobrze zawezwać czcigodnego pana Baptystę i zaproponować mu upieczenie owego królika, o którym wczoraj mówił. Jak myślisz, Stachu?

— Dobrze, byle się tylko oberżysta pośpieszył.

— A czyż nam tak pilno?

— Chciałbym jak najprędzej stąd wyjechać i nocować dziś w Talavera. Nie czuję się tu bezpiecznym, powiadam ci Franku, nie czuję się tu bezpiecznym.

— Ja zaś przeciwnie... ale skoro ci o to idzie, to wszystko się piorunem załatwi i za godzinę będziemy w drodze.

ROZDZIAŁ XVI.

W którym jest opowiedziane, jak po słodkim śnie nastąpiło przykre przebudzenie.

Franek słowa dotrzymał; tak krzyczał i sadził *demonosami*, że wkrótce zjawił się spocony, zziajany pan Baptysta w białym fartuchu i białej czapce, a za nim służący wniósł upieczonego królika. Z pieczystem tym załatwiono się szybko i ruszono zaraz potym w drogę. Pan Baptysta u wrót swej oberży żegnał się pokornie z *senhorem capitano* i stojąc z obnażoną głową i kłaniając się nizko, wołał:

— Oby panów oficerów nie spotkało żadne nieszczęście!

— Hm!—mówił Stach, gdy się już wózek oddalił nieco od stojącego wciąż we wrotach i potrząsającego swą białą czapką Baptysty—

życzenia jego należy brać wprost przeciwnie. Pragnie on, by nas właśnie spotkało jakie nieszczęście, a raczej banda gerylasów i jestem pewny, że tak będzie!

— Ej, ty tam zawsze wróżysz niebezpieczeństwa. Pewny byłeś, że nas gerylasy napadną w nocy, a tymczasem spalismy jak najspokojniej. Tak samo będzie i teraz—odrzekł z pewną niechęcią Franek, bo go już te złowróżbne przepowiednie Stacha poczęły niecierpliwić.

— Jeżeli wczoraj wieczór — odparł Stach poważnie — opierałem moją przepowiednię na dość wątłej podstawie, bo tylko na złej i chytrej fizyognomii oberżysty, to dziś rzeczy mają się inaczej.

— No? cóż takiego? — spytał Franek zaciekawiony.

— W chwili, gdyśmy skończyli śniadanie i służba nasze tłomoczki wynosiła, podszedłem do okna, które wychodzi na tyły oberży, a na którym zostawiłem moją czapkę, i ujrzałem, jak jeden ze służących na bystrym i rączym koniu wymykał się przez bramę boczną.

— I cóż?

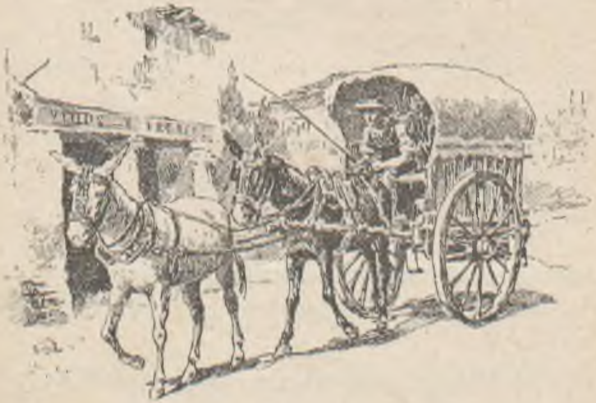
— A nic... nie mogłem go śledzić, bo trzeba było zaraz jechać.

— I to wszystko?

— A wszystko, co chcesz więcej? Nie ulega wątpliwości, że oberżysta wysłał owego jeźdźca

do jakiej poblizkiej bandy gerylasów, donosząc jej, żeśmy już z Santa Cruz wyjechali i by nas czekała w jakim lasku lub wąwozie.

— Ha! ha! ha!—zaśmiał się Franek—wiesz Stachu, że ty masz bardzo bujną wyobraźnię. Dla tego, że jakiś służący z oberży dosiadł konia i wyjechał z podwórza, zaraz przypuszczać że w tym kryje się jakaś niecna zdrada, to trzeba mieć istotnie zbyt gorącą imaginacyę.



Nie wierzę twoim przepowiedniom i pewny jestem, że nam w tej podróży włos z głowy nie spadnie.

— Oby to Bóg dał — Stach zakończył, jak zwykle, tę rozmowę.

Wyjechali już z miasteczka i posuwali się bitym gościńcem, który jak wstęga biała wił się wśród płaszczyzn starej Kastylii. Słońce

dopiekało mocno, niebo było czyste jak łza i najmniejszy wietrzyk nie przerywał skwarnej ciszy poranku. Pod temi promieniami słońca, wśród tej ciszy i całych chmur kurzu, podnoszącego się na gościńcu, podróż stawała się mniej przyjemną. Jechano nie końmi ale mułami, które dość leniwie posuwały się naprzód, woźnica nie popędzał ich wcale, owszem sam zdrzemnął się na wózku i kiwał szkaradnie. Ta cisza półsenna, kurz, ruch jednostajny wózka tak oddziałał na obu młodzieńców, iż poszli za przykładem woźnicy i także zasnęli. Niewątpliwie przyczyniło się do tego mocne wino, jakim ich na śniadanie poczęstował pan Baptysta w Santa-Cruz. Nawet Stach, który wszystko i wszystkich podejrzywał, który w tej podróży widział same niebezpieczeństwa, nawet on, walcząc niejaki czas z ogarniającą go sennością, uległ jej, przymknął oczy i chrapnął na dobre.

Obudziło go nagłe zatrzymanie wózka i krzyki. Otworzył oczy i zrazu nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje, ale kilka mocnych i bolesnych szarpnięć przywróciło mu przytomność. Ujrzał, że wózek stoi w niewielkim lasku dębowym i że otoczeni są przez bandę gerylasów, uzbrojonych od stóp do głów, w bandyckich kapeluszach na głowach, postaci strasznych i dzikich.

— Spodziewałem się tego! — szepnął sobie w duszy Stach i na wyraźne rozkazy powstańców, popierane uderzeniami kolby, zszedł z wózka.

Franek także się zbudził, ale w pierwszej chwili zerwał się na równe nogi i nagłym ruchem odtrącił od siebie paru czepiających się go Hiszpanów z taką siłą, że potoczyli się jak pijani.

— Ha! *carrajos demonos*—zaklął jeden z nich i dziesięć rąk rzuciło się ku Frankowi, ściągnęło go z wózka i mnóstwem bolesnych szturchańców poczęstowało. Franek bronił się jak mógł i wrzeszczał co miał sił po polsku:

— Bodaj was siarczyste kule biły! Czego chcecie, zbóje jakieś?

I byłoby się zapewne źle z Frankiem skończyło, bo szarpał się coraz mocniej i prał dokoła gerylasów bez litości, gdyby nie pojawienie się ich dowódcy, który nagle wyszedł z lasu i donośnym głosem zawołał:

— Puścić tego Francuza i milczeć!

Zaległa cisza, jak makiem zasiał, a Franek nagle oswobodzony od kilkunastu rąk, odetchnął głęboko, poprawił na sobie ubranie i szepcząc: „żeby was wszyscy dyabli wzięli!“ spojrzał na dowódcę.

Był to wysoki, tęgi mężczyzna, z wielką czarną brodą, twarzą bardzo szlachetną i postawą pańską. Skłonił się lekko Frankowi i zbliżywszy się doń, zapytał po francusku:

— Pan jesteś Francuzem?

— Co on do mnie gada? rozmów się tam, mój Stachu.

Stach, dotąd w milczeniu i spokojnie przypatrujący się tej scenie, zbliżył się do dowódcy i kłaniając mu się, rzekł także po francusku:

— Mój pan, porucznik Gołębiowski, nie jest Francuzem i nie rozumie tego języka.

— Nie jest Francuzem?—spytał ze zdziwieniem i niedowierzaniem dowódca — a czymże jest u licha?

— Jest Rosyaninem.

— Rosyaninem?

— Tak, sam mundur jego o tym przekonywa. Obadwaj jesteśmy Rosyanami.

— Jakto i pan nie jesteś Francuzem, a mówisz tym językiem?

— Nic w tym dziwnego, bawiłem dość długo we Francyi i mój pan właśnie dla znajomości tego języka wziął mnie do swej służby.

— Przypuśćmy, że jesteście Rosyanami — rzekł dowódca, bacznie przypatrzywszy się obu młodzieńcom—ale w takim razie, co tu w głębi Kastylii i w czasie wojny obaj robicie?

— Mój pan jest członkiem ambasady rosyjskiej w Madrycie i wysłany został przez ambasadora, hrabiego Strogonowa do Lizbony, z depeszami do admirała Siniawina.

— Z depeszami? a gdzie te depesze?

— Mój pan ma je przy sobie.

— A więc, niech mi je pokaże.

— Wątpię bardzo czy to zrobi, bo ma, o ile wiem, najwyraźniejszy rozkaz od ambasadora, by ich nikomu nie oddawał tylko samemu admirałowi Siniawinowi, ale... zakomunikuje mu pańskie żądanie.

I zwracając się do Franka, rzekł po polsku:

— Franku, powiedziałem mu, że nie umiesz po francusku, że jesteśmy Rosyanie, że służymy w ambasadzie, że wieziemy depesze do admirała Siniawina i on żąda, byś mu te depesze pokazał. Odrzekłem mu na to, że wątpię, czy depesze te pokażesz, bo masz rozkaz wręczyć je tylko Siniawinowi.

— Więc mu nie pokazywać?— spytał Franek.

— Przynajmniej upierać się jak można najdłużej i okazać dopiero w ostateczności, oświadczając, że się ustępuje przed siłą. A nawet najlepiej będzie powiedzieć, że depesze te masz przy sobie, że jeżeli chcą, niech je sami wezmą.

— Masz racyą... niech ich siarczyste pioruny biją... a tośmy wpadli w pułapkę. Odpowiedz więc tej małpie hiszpańskiej, że mu depeszy nie pokażę, że... że... gadaj mu tam co chcesz, byle nas raz puścili...

— Wątpię bardzo czy to się uda!—zauważył Stach i zwrócił się do Hiszpana, który całej tej rozmowie przysłuchiwał się jakoś bardzo ciekawie.

— Mój pan—rzekł uroczyście Stach—oświadcza, że depeszy nie okaże, że jako żołnierz musi

wypełnić rozkazy swego zwierzchnika, że skarżyć się będzie gdzie należy na postąpienie z nim wojska hiszpańskiego i żądać będzie ukarania winnych, że jako kurjer państwa, będącego w przyjaźni z rządem hiszpańskim, jest nietykalnym, a tymczasem napadnięto go w dzień biały na gościńcu, zbito i poszarpano na nim mundur rosyjski.

Słowa te zrobiły widoczne wrażenie na dowódcy, bo rzekł widocznie zakłopotany:

— Przepraszam panów, bardzo przepraszam... moi żołnierze są ludzie prości, nie znają się na tym, a przytym doniesiono nam, że jesteście Francuzi...

Tu na chwilę umilkł, jakby się nad czymś namyślał, i zawołał:

— Wszystko to pięknie, ale ostatecznie czym mi pan dowiedzie, że jesteście Rosyanami i że ten pan jest kurjerem ambasadora rosyjskiego?

— Nic łatwiejszego — odrzekł Stach — mój pan ma paszporty wydane mu przez pana ambasadora, hr. Strogonowa i poświadczone przez władze hiszpańskie w Madrycie.

— Jakie władze? ałboż są jakie władze hiszpańskie w Madrycie? co mi pan tu pleciesz? to są władze francuskie, władze najeźdźców i zdrajców — one nie mają żadnych praw!

— To już do nas nie należy, jakie są tu władze i czy mają prawa. O to raczy pan się udać po objaśnienie do hr. Strogonowa.

— No! co tu gadać, powiedz pan swemu oficerowi, by mi pokazał owe paszporta i depesze, bo inaczej za nic nie ręczę...

— Dobrze, zakomunikuję pańskie żądanie memu panu.

— Franku, pokaż mu paszport, wydany ci w ambasadzie rosyjskiej. On także żąda depesz, ale ja mu powiem, że stanowczo odmawiasz. Na dowód tego przemów do mnie ostro, potrząśnij głową, wskaż ręką na pierś i tupnij nawet nogą gniewnie.

Franek przybrał grożną minę, potrząsał rękami, wytrzeszczył groźnie oczy i krzyczał:

— Żeby cię, małpo hiszpańska, czarny dyable, kolki sparły! żebyś... żebyś skiśniał. Pić mi się chce straszliwie, powiedz mu Stachu, żeby mi dał czym gardło przepłukać, bo inaczej się wścieknę!

Stach przybrał postawę pełną uszanowania, słuchając tych nieparlamentarnych okrzyków Franka i mówił:

— Dobrze, doskonale Franku, ale paszport wydobądź, bo to mu trzeba pokazać, ma do tego prawo.

Franek, udając dalej gniew, zżymając się, krzycząc co mu ślina na usta przyniosła, bijąc się w piersi, wyjął nakoniec paszport i wręczył go Stachowi. Ten podał go dowódcy, mówiąc:

— Oto jest paszport. Co się tyczy depesz,

to mój pan oświadczył stanowczo, że ich nie odda dobrowolnie.

Hiszpan, który w milczeniu przypatrywał się udanemu gniewowi Franka, wziął paszport, rozwinął go i odczytał bardzo pilnie, przypatrując się pieczęciom i podpisom. Uskuteczniwszy to, złożył go we czworo i oddając Stachowi, rzekł:

— Jest to sprawa tego rodzaju, że ja sam decydować nie mogę. Aresztuję panów. Musicie ze mną udać się do obozu do jenerała główno-dowodzącego, on rostrzygnie o waszym losie.

— Co on gada?—spytał Franek — czy nas puszcza?

— Nie, Franku — źle jest z nami. Zaprowadzi nas do obozu, do jenerała główno-dowodzącego.

— Do jakiego jenerała? jak się ten jenerał nazywa?

— Nie wiem... nie powiedział...

— Więc się go spytaj!

— Dobrze, choć dla nas wszystko to jedno...

— Zawsze, spytaj się!

Stach zwrócił się do dowódcy i rzekł:

— Mój pan najuroczyściej protestuje przeciw aresztowaniu. Oświadcza, że skarżyć się będzie...

— A niech się skarży... to nie jest moja rzecz... jenerał to zdecyduje.

— Mój pan pyta się, jak się zowie ten jenerał?

— Czyż nie wie? hrabia Castanios.

Usłyszawszy to nazwisko, Stach zbladł. Wszak po swej ucieczce z Saragossy już raz był w rękach tego Castaniosa i dreszcz go przeszedł. Nuż go tam, w obozie, poznają, nuż natrafi na kogo, co go widział wtedy!... Ale trudno, rady na to nie było, i z wielkim ściśnieniem serca, pełen przeczuć najgorszych, nic jednak nie mówiąc Franciszkowi o tej nowej komplikacyi, ruszył z gerylasami w drogę.

ROZDZIAŁ XVII.

Jako Stach nabiera przekonania, że góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze.

Prowadzono ich z zachowaniem wszelkich ostrożności, otoczono dokoła, choć ze strony oficera zachowane zostały formy przyzwoitości i grzeczności. Ale zato żołnierze nie bardzo byli zadowoleni. Wydobywszy się z lasku dębowego, maszerowano boczną drogą, piaszczystą, a słońce południowe i kurz, wzbijający się z pod nóg kilkudziesięciu ludzi, męczył niesłychanie. To też dawały się słyszeć wśród szeregów głosy:

— Co my tych przeklętych Francuzów mamy strzec i prowadzić dalej! Zabijmy tych piekielnych dyabłów, tych pogan zatraconych!

Ale oficer ilekroć usłyszał te groźne okrzyki, zwracał się twarzą do szeregów i obrzucał je surowym wejrzeniem, pod którym wszyscy milkli i robiło się cicho. Franek, który nie wiele rozumiał po hiszpańsku, a właściwiej mówiąc nic nie rozumiał, nie zważał na te groźne krzyki; Stach znów pogrążony w myślach spotkania się z Castaniosem zgoła czym innym był zajęty. W rzeczy samej położenie było dość rozpaczliwe. Jeżeli Castanios pozna w osobie Stacha pajaca z cyrku Müllera w Saragossie, to wszystko przepadło. Wtedy już nie będzie można udawać oficerów rosyjskich, wysłanych do Lizbony przez ambasadę, wtedy wszystko się wyda i śmierć niechybna czeka obu młodzieńców, a co najważniejsza, o co najwięcej chodziło Stachowi, misya, z którą zostali wysłani przez księcia Murata nie będzie spełnioną.

Myśli te przebiegały przez głowę Stacha i napawały go niewypowiedzianą goryczą. Tak był w nich pogrążony, że nie zważał na palące słońce, na kurz, który oddychać nie pozwalał, na groźby żołnierzy, których wcale nie słyszał. Myśli te jednak zachował dla siebie; nie chciał o nich mówić Frankowi, żeby mu odwagi nie odbierać. Co prawda rozmowa byłaby nieco trudną, a nawet niemożliwą, gdyż prowadzono obu jeńców oddzielnie — a gdy Franek, który szedł przodem, odwrócił się i chciał coś rzec do Stacha, jeden z żołnierzy zamierzył się nań

kolbą. Franek spojrzał na niego strasznym wzrokiem i zawołał po polsku:

— A ty zbóju jakiś! poczekaj, odpłacę ja za to innym, twoim kamratom z lichwą. Niech was siarczyste kule biją!

Odtąd zachował milczenie i szedł z wielką powagą i dumą, odgrywając dalej swą rolę kurjera ambasadorskiego. Tak po parogodzinnym, bardzo uciążliwym marszu, zapuszczono się nakoniec w posępny wąwóz, dokoła obrośnięty dębami. Tu droga była lepsza, bo kamienista, od drzew cień padał i kurz nie dławił oddechu. Miły chłód owionął wszystkich i raźniej się posuwano naprzód. Wreszcie wąwóz się skończył, ukazała się ładna, słodka dolina, pełna drzew, przerznięta wartkim strumieniem, nad którym rozbite było obozowisko oddziału jenerała Castaniosa. Oddział ten musiał być dość znaczny, bo zajmował całą dolinę. Kilka domów, rozrzuconych tu i owdzie, tworzących niewielki, odosobniony folwarczek, *cortiche*, jak nazywali Hiszpanie, zajętych było widać przez sztab i starszyznę, bo się koło nich kręciło mnóstwo oficerów, przybywali i odjeżdżali konni i straże liczne stały.

Do jednego z takich domów, największego i najpokaźniejszego, zaprowadzono obu jeńców. Gdy szli przez obóz, mnóstwo gerylasów zbiegać się poczęło, by im się przypatrzyć, setki rąk się podnosiło z wyrazem nienawiści i gniewu i rozlegały się okrzyki: zabić, powiesić,



....kręciło się mnóstwo oficerów, przybywali i odjeżdżali konni i straże liczne stały.... (str. 182).

żywcem spalić przeklętych Francuzów! Na szczęście oficer, który schwytał i wiódł obu młodzieńców, był człowiekiem energicznym i umiejącym nakazać sobie posłuszeństwo. Głosem donośnym zakomenderował, by oddział, którym dowodził, ścisnął szeregi i by każdego kto podniesie rękę na jeńców, przebił bagnetami. Rozkaz ten zrobił wrażenie na rozjuszonym tłumie, i odtąd nie rzucano się już na „przeklętych Francuzów“, ale miotano tylko obelgi i pogróżki, które Franek znosił ze stoicką obojętnością, a Stach zgoła ich nie słyszał, zajęty swemi myślami.

Tak wprowadzono ich nakoniec do owego dużego, murowanego domu, gdzie oficer w wielkiej sieni, pełnej żołnierzy i oficerów, ustawił ich pod strażą, a sam po schodach udał się na górę. Tutaj sypały się także obelgi na obu biednych i znużonych tym wszystkim chłopców, nie szczędzono pogróżek, ale nie rzucano się na nich tak jak w obozie. Stali oni milczący, patrząc na te tłumy kręcących się na wszystkie strony zbrojnych powstańców: Franek jak zawsze w dumnej postawie, Stach coraz niespokojniejszy o swoje i swego towarzysza losy.

Nakoniec oficer się ukazał na schodach i głośno rozkazywał, by jeńców prowadzono do jenerała Castaniosa.

Ruszyli więc po schodach na górę, gdzie przeszedłszy parę sal, znaleźli się nakoniec przed obliczem owego jenerała. Siedział on na dużym fotelu, otoczony kilkunastu oficerami i adjutantami. Stach odrazu w nim poznał, po groźnym i dzikim wejrzeniu tego samego Hiszpana, który go schwytał wraz ze starym Morsangiem w lesie, po ucieczce z Saragossy. Miał jednak nadzieję, że Castanios go nie pozna, a przytym grając swą rolę służącego Franka, stanął nieco z tyłu za nim, unikając wejrzenia hiszpańskiego wodza.

Ten obrzucił swym groźnym okiem Franka, który przybrał dumną i imponującą postawę i, naśladując cesarza Napoleona, ręce założył na piersi. Castanios, popatrzywszy się dość długo na Franka, zapytał po francusku głosem donośnym i surowym:

— Kto pan jesteś?

Franek ze swej strony spojrzał na Hiszpana, potrząsł głową i odparł po niemiecku:

— Nie rozumiem.

Castanios, nie spuszczając oka z Franka, milczał przez chwilę, wreszcie zawołał na jednego z oficerów, otaczających go i rzekł mu:

— Don Karlosie, umiesz po niemiecku, więc wybadaj tego pana.

Oficer, nazwany Don Karlosem, młody, przystojny i wykwintnych form w obejściu, wysu-

nął się naprzód, skłonił się Frankowi po wojskowemu i spytał po niemiecku:

— Czy w rzeczy samej nie umiesz pan mówić po francusku?

— Tak, nie umiem, a i po niemiecku nieosobliwie mówię. Jestem Rosyaninem, może tu kto z panów mówi po rosyjsku?

— Nie panie, niema tu nikogo, coby posiadał ten język, a zapewne nie znalazłbyś pan w całej Hiszpanii nikogo obdarzonego tą umiejętnością. Więc pan utrzymujesz, że jesteś Rosyaninem?

— Tak, sam mundur mój to wskazuje. Jestem kurjerem ambasadora rosyjskiego w Madrycie, hr. Strogonowa i ostrzegam panów, że krzywda mnie uczyniona ciężko będzie pomszczoną.

— Masz pan podobno paszporty i depesze?

— Mam.

— Czy nie mógłbyś ich nam okazać?

— Paszportem służę (tu wyciągnął z kieszeni munduru paszport i podał go Don Carlosowi), co się tyczy depesz tych, zgodnie z rozkazem, mogę tylko wręczyć admirałowi Siniawinowi w Lizbonie.

Don Karlos podał paszport Castaniosowi, który go bacznie przejrzał i cicho coś szepnął do ucha Don Karlosa. Ten zaraz zwrócił się do Franka.

— W rzeczy samej — rzekł — paszport jest w porządku, ale my musimy obejrzyć depesze.

— Powiedziałem już, że ich nie pokażę. Mam wyraźne co do tego rozkazy.

— Wszelkie rozkazy ulegają zmianom w razie zmiany okoliczności. Radzę panu zadość uczynić woli jenerała. Opór do niczego nie doprowadzi, my depesze musimy widzieć. Może ich nie otworzymy, ale widzieć je musimy.

— Ja ich dobrowolnie nie oddam. Jesteście panowie silniejsi, róbcie co chcecie, ale ja przeciw wszelkiemu gwałtowi na osobie kurjera zaprzyjaźnionego z Hiszpanią państwa, w sposób jak najbardziej stanowczy protestuję.

Don Karlos ruszył ramionami i zwrócił się do jenerała, który szeptem rozmawiał z kilku oficerami. Toczono jakąś naradę, do której wezwano także Don Karlosa, ten wysłuchawszy zleceń swego przełożonego, zapytał Franka:

— Więc pan utrzymujesz, że nie jesteś Francuzem?

— Jestem Rosyaninem.

— A któż jest ten drugi pan (tu wskazał na Stacha), podobno on jest Francuzem?

— Nie, on jest także Rosyaninem. Jest to mój ordynans.

— Oficer, który panów schwytał, twierdzi, że pański ordynans mówi wybornie po francusku.

— Tak... to prawda... bawił on długi czas we Francyi i dla znajomości tego języka właśnie, został wzięty do służby w ambasadzie.

— Hm! muszę panom otwarcie powiedzieć, że mamy poważne podejrzenia, iż jesteście Francuzami i szpiegami.

— To jest fałsz. Mam paszport, jestem Rosyaninem, wiozę depeszę...

Ale w tejże chwili z grupy oficerów, otaczających Castaniosa, wysunął się jeden i Stach rzuciwszy nań okiem, skamieniał. Przed nim stał sierżant Fernando z zamku Monegrillo.

Tak, to on był. Stał wprost Stacha w swej krępej, nabitej i pochylonej postaci, ze swą twarzą burakowej barwy, krostowatą i nabrzękłą, ze swym wzrokiem złym i jadowitym, w którym błyszczały teraz jakieś niezdrowe blaski, a szkaradne usta złośliwie i szyderczo się uśmiechały. Przypatrzył on się Stachowi i poprawiając sobie szlify oficerskie na ramionach, rzekł zwracając się do Castaniosa:

— Ekscelencyo, ja znam tego człowieka.

Tu wskazał na Stacha. Ekscelencya z pewną wyraźną niechęcią spojrzał na Fernanda i spytał szorstko:

— Znasz? a skądże ty go znasz?

— Znam go, panie jenerale, i pan jenerał go zna. Niech mu się pan jenerał raczy przypatrzyć.

Jenerał przypatrzył się i rzekł z ciągłym wyrazem niechęci.

— Pierwszy raz go widzę.

— Ha! widać ekscelencya ma krótką pamięć.

— Fernando! —zawołał groźnie Castanios— znowu się upiłeś? Jak śmiesz do mnie się w ten sposób odzywać!

— Trzeźwy jestem, ekscelencyo. Na świętego Jakóba z Compostelli przysięgam, że dziś kapki wina w ustach nie miałem.

— Dość tego!—krzyknął Castanios, uderzając pięścią w stół — idź precz z przed moich oczów!

— Nie pójdę, nie mogę pójść, bo ja głośno oskarżam tego człowieka, że jest Francuzem i szpiegiem!

Oczy Castaniosa zabłysły dzikim, strasznym ogniem i chwycił za pistolet, leżący przed nim na stole. Ale w tejże chwili wśród zebranych oficerów zrobił się szmer i rozległy się głosy:

— Panie jenerale, trzeba, musisz, powinieneś wysłuchać Fernanda!

Castanios zbladł, spojrzał na otaczający go tłum, usta mu drżały i przez chwilę widać było, jak staczał ze sobą straszną walkę. Ale przemógł się, rękę cofnął od pistoletu i rzekł:

— Dobrze! powiedz Fernando, jakie masz dowody na to, że ten człowiek jest Francuzem i szpiegiem?

— Pan jenerał zechce sobie przypomnieć nasz pobyt w zamku Monegrillo, i jak pewnego dnia schwytał w lesie dwóch włóczęgów, pajaców z cyrku niemieckiego w Saragossie.

— Przypominam sobie, więc cóż dalej?

— Otóż jednym z tych pajaców jest oto ten człowiek. Pan jenerał pamięta, że pewnej nocy zbiegli obaj ci szpiedzy z zamku i ze sobą zabrali żołnierza, który ich strzegł.

— Tak, pamiętam to.

— A zatym ten człowiek jest Francuzem i szpiegiem: żądam, by go wybadano i powieszono.

Castanios milczał przez chwilę i patrzał na Stacha, wreszcie spytał po francusku:

— Co pan powiesz na to?

— Nic... ten człowiek kłamie, albo go też uwodzi jakieś podobieństwo. Nigdy nie byłem w cyrku, ani w Saragossie, ani w zamku Monegrillo.

— Rzecz tę zbadamy! — zakończył Castanios; powstał z fotelu i przechadzać się począł w głębokim zamyśleniu.

ROZDZIAŁ XVIII.

W którym jest opowiedziane o tajemniczym widmie kobiecym.

Podczas przechadzki Castaniosa, zgromadzeni oficerowie rozmawiali między sobą, wprawdzie głosem przyciszonym, ale większość z nich oświadczała się za zdaniem Fernanda. Mówili oni czystym narzeczem Kastylskim, którego Stach nie znał, ale zrozumiał o tyle, że widział, iż jego sprawa źle stoi. Franek skorzystał z tej chwili i zwracając się do Stacha zapytał:

— No i co? czego oni chcą?

— Chcą nas powiesić i koniec.

— Hm! dyablo głupi ten twój koniec. Ale tymczasem powiedz mi, co ta czerwona małpa (tu wskazał oczami na Fernanda) chciała od ciebie?

— Poznał mię, bo był między tymi, którzy mię schwytali razem z Morsangiem.

— Aa! wtedy, kiedyś uciekł z cyrku?

— Tak.

— Do kroćset, to źle. I ta kanalia cię poznała?

— Tak.

— A ty, co na to?

— Odpowiedziałem, że to wszystko nieprawda.

— Oczywiście, najlepiej zapierać się do ostatka...

W tej chwili Castanios przerwał swą wędrówkę po pokoju, zbliżył się do grupy oficerów i rzekł w tymże narzeczu kastylskim:

— Moi panowie, ja jestem zdania, że należy puścić wolno tych dwóch młodzieńców.

Po słowach tych zrazu zapanowało głębokie milczenie, ale zaraz potym dał się słyszeć szmer niechęci, tu i owdzie odzywały się głosy:

— Nie można! to są szpiedzy! Fernando ich poznał! Należy ich powiesić, rozstrzelać! spalić!

Powoli głosy te wzrastały w siłę, a nawet w tylnych szeregach rozlegały się okrzyki:

— Uwolnienie szpiegów jest zdradą! biada zdrajcom! Nie osłoni ich nawet mundur generalski!

Castanios słuchał tego w milczeniu blady i groźny, wreszcie, gdy się trochę uciszyło, rzekł:

— Zapominacie, że ci młodzieńcy mają na sobie mundur rosyjski, że mają paszport ambasadora rosyjskiego.

— Więc cóż z tego!—wołano—każdy może wdziać taki mundur i może się wystarać o paszport.

— Może to być — zauważył Castanios — ale może być przeciwnie. Nic nie dowodzi, że ci młodzieńcy nie są kurjerami rosyjskiemi.

— Wszak Fernando jednego z nich poznał, jako Francuza.

— Fernando jest pijak! — krzyknął groźnie Castanios — Fernando nie zasługuje na wiarę, a ja na słowa takiego człowieka, nie mogę się dopuścić czynu, grożącego nieobliczonemi dla Hiszpanii następstwami.

— Jakiemi następstwami? — pytano — czyż mało powiesiliśmy szpiegów francuskich i czy sprawa nasza co na tym straciła? przeciwnie zyskała...

— Posłuchajcie mię, panowie — rzekł Castanios — nie przeczę, że to mogą być Francuzi i szpiedzy, ale także nikt nie może zaprzeczyć, że mogą być istotnie kurjerami rosyjskiemi. Jeżeli tak jest i jeżeli ich ukarzemy śmiercią, to czyż nie nastąpi zerwanie z Rosyą, jedynym mocarstwem w Europie nam przyjaznym, u którego domagamy się natarczywie neutralności? Czyż wobec możliwości takiego rezultatu, nie lepiej, nie rozumniej będzie uwol-

nić tych młodzieńców, choćby nawet byli szpiegami? Niech wam na to odpowie serce prawdziwego Hiszpana.

Słowa te zrobiły silne wrażenie, wszyscy umilkli w zakłopotaniu widocznym, a nawet tu i owdzie poczęły się odzywać głosy:

— To prawda! jenerał ma racyą! Lepiej puścić wolno szpiegów, niż narazić losy kraju...

Wtym z grupy wystąpił naprzód jakiś stary siwy oficer i skłoniwszy się jenerałowi, rzekł:

— Pozwól, panie jenerale, że ja przedstawię pewien projekt, który mam nadzieję, zadowolni wszystkich i wrazie, jeżeli ci młodzieńcy są istotnie kurjerami rosyjskiemi, nie narazi Hiszpanii na żadne złe następstwa.

— Jakiż to projekt? — zapytał z pewnym niepokojem w oczach Castanios.

— Pozwól nam tych dwóch zuchów poddać pewnym próbom.

— Jakim próbom?

— Nie mogę ich wypowiedzieć głośno, bo zaręczyć nie można, czy ci panowie nie rozumieją po kastylsku. Jeżeli jenerał się zgodzisz, to ci mój projekt wyjawię, tam, w drugiej sali.

Castanios zawahał się, przez chwilę rozmyślał, poczym rzuciwszy okiem na obu jeńców, rzekł:

— Dobrze! chodźmy!

I wyszedł wraz ze starym oficerem do drugiej izby. Zaledwie drzwi się za Castaniosem zamknęły, gdy do Stacha przyskoczył Fernando

z oczami pałającemi, z pianą na ustach i wytrząsając pięściami tuż przed twarzą chłopca, krzyczał ochrypłym głosem:

— Tyś Francuz! tys szpieg! poznaję cię! może zaprzeczysz, że umiesz po hiszpańsku?

— Wcale temu nie zaprzeczam! — odparł chłodno Stach.

— Widzicie panowie, on się przyznaje!

— Do niczego się nie przyznaję!

— Jakto, więc śmiesz zaprzeczyć, żeś był w cyrku niemieckim w Saragossie, żeś uciekł stamtąd, żeś był schwytany i przyprowadzony do zamku Monegrillo?

— Jak żyję nie byłem w żadnym zamku Monegrillo.

— Ach, ty psie przeklęty; ty heretyku, ty... ty...

Ale w tej chwili drzwi się roztworzyły, wszedł Castanios i Fernando natychmiast umilkł i odskoczył od Stacha i ukrył się w grupie oficerów.

Castanios tymczasem zbliżył się do stołu, położył na nim rękę w kułak ściśniętą i obrzuciwszy groźnym okiem zebranych, rzekł tonem rozkazującym, wskazując na obu młodzieńców.

— Odprowadzić ich do ciemnicy!

Zaraz skoczył jeden z adjutantów do sąsiedniego pokoju, skąd przywiódł sześciu uzbrojonych żołnierzy. Ci otoczyli obu jeńców i pod wodzą adjutanta sprowadzili ich ze schodów,

zagłębili się w sień, tam znów zeszli kilka schodów, wreszcie otworzywszy jakieś drzwi, wepchnęli w nie Stacha i Franka. Z trzaskiem i zgrzytem drzwi te zamknęły się za nimi i znaleźli się sami.

Przedewszystkim obejrzeli się dokoła. Stali w sklepionej, wilgotnej i ciemnej piwnicy, oświeconej przez jedno małe okienko, umieszczone u góry i silnie zakratowane. Powietrze tu było przesycone wilgocią, niezdrowe i zduszone. W całej tej piwnicy nie było nic, prócz niewielkiego stołka drewnianego, i wązkiego łóżka przy jednej ze ścian. Na łóżku tym leżała wiązka słomy; druga wiązka, rzucona na ziemi z boku łóżka, w głębi piwnicy, zapewne przeznaczona była dla Stacha.



Gdy to wszystko jednym rzutem obaj chłopcy obejrzeli, Franek usiadł na łóżku i rzekł:

— Co prawda mogli nas lepiej umieścić! Ale to mniejsza. Powiedz mi, Stachu, co ty na to wszystko? Co oni tam szwargotali ze sobą.

Stach nie odrazu odpowiedział na to pytanie, ale wprzód słomę leżącą na ziemi rozesłał sobie; potym dopiero położywszy się na niej, odrzekł:

— Muszę ci powiedzieć, Franku, że z nami jest źle, bardzo źle. Że dotąd nie znosimy i nie jesteśmy poddani torturom i mękom, to zawdzięczamy tylko samemu Castaniosowi.

— Nie może być?—zawołał Franek.

— Tak, jemu samemu. To bardzo szlachetny człowiek? Nie myśl, żeby on był tak naiwny i uwierzył w naszą misyę rosyjską, on wszystko odgadł, poznałem to po jego oczach, a jednak chciał nas uwolnić przez litość, może przez niechęć do niepotrzebnego rozlewu krwi, nie wiem zresztą dla czego, ale uwolnić nas chciał.

— A więc czemuż nie uwolnił? wszak jest naczelnikiem tej bandy?

— Bo mu nie dali oficerowie, grozili mu, słyszałem nawet, jak go nazywali zdrajcą i wymogli na nim, że będziemy poddani próbie...

— Jakiej próbie?

— Nie wiem, ale w każdym razie, Franku, trzeba się mieć na wielkiej baczności i być nadzwyczaj oględnym i ostrożnym.

— Hm! hm! wszystko to dobrze — odrzekł Franek po krótkim namyśle—ale mnie się jeść i pić chce bardzo.

W rzeczy samej obaj głodni byli nadzwyczajnie. Od owego królika, którym ich w Santa-

Cruz poczęstował zdrajca Baptysta, nic w ustach nie mieli, a teraz już było pod wieczór i przez okienko widać było chylące się ku zachodowi słońce.

— Istotnie — zauważył Stach — mogliby co nam dać jeść, a nadewszystko pić.

— Tak, ale oni widocznie nie mają tego zamiaru. Zaczynam się lękać, czy oni nas czasem nie myślą głodem morzyć! może to będzie owa próba, o której mówisz...

— Może!—odrzekł chłodno Stach.

— A niechże ich siarczyste kule biją! to zbrodnia! na to trzeba być ostatniemi hyclami...

— Zapewne, zapewne! — mówił Stach—ale nie trzeba się, Franku, gorączkować, bo to do niczego nie doprowadzi. Najlepiej połóżmy się na słomie i prześpijmy się trochę. Sen nas pokrzepi i zapomnimy w nim o głodzie, chłodzie i pragnieniu.

— Tak radzisz?

— Tak.

— Ha może i masz racyą. Śpijmy! W istocie jestem strasznie zmęczony.

Rzucił się na posłanie i wkrótce w piwnicy słychać było miarowy oddech śpiących obu chłopców. Pierwszy z tego snu ciężkiego obudził się Stach, pod wpływem światła, które go nagle uderzyło. Otworzył oczy i na wielkie

swe zdziwienie, a zarazem przerażenie, ujrzał dziwne zjawisko. Noc już była i przez zakratowane okienko przedzierał się blady promień księżyca; ślizgał po kamiennej posadzce i kładł się jasną plamą na twarzy mocno śpiącego Franka. W tym świetle stało jakieś widmo nie widmo, w białej powłóczystej szacie i trzymało jedną ręką niepewne, drżące światło, a drugą starannie je zakrywało od strony śpiących młodzieńców.

Stach ukryty w kącie piwnicy, narazie nie mógł sobie zdać sprawy z tego co widzi. Sądził, że to jest dalszy ciąg snu, ale gdy widmo posunęło się parę kroków naprzód ku łóżku Franka i gdy usłyszał wyraźny szelest kroków, przekonał się, że to na co patrzy, dzieje się przed nim na jawie. Mara, postępując dalej z nadzwyczajną ostrożnością, weszła w promień księżyca, przyczym od niesionej przez nią lampki padł jej blask na twarz i Stach przekonał się, że jest to kobieta młoda i piękna.

— Co ona tu robi?—pomyślał sobie—czego chce? czy czasem nie myśli zamordować Franka?

Ocknął się teraz zupełnie i przygotował się, by w razie grożącego niebezpieczeństwa przyjacielowi skoczyć, i powstrzymać morderczynię. Ale przekonał się, że obawy jego są płonne. Niewieścia mara nie miała żadnej broni; szła wolno i zbliżywszy się do śpiącego Franka, nachyliła się nad nim, odsłoniła światło, które

całym blaskiem padło na twarz szwoleżera i uderzyła go w ramię.

Franek zerwał się na równe nogi, a wtedy kobieta spytała po francusku:

— Chcesz pan zjeść wieczerzę?

Stach skamieniał. Przyszło mu bowiem na myśl w jednej chwili, że to jest właśnie próba, na którą ich postanowiono wystawić i jeżeli Franek odpowie w tymże języku, to obaj zginęli. Ale Franek na pół nieprzytomny, z oczami błędnemi i przymrużonemi przed światłem, krzyknął... po polsku:

— Kto tu? co takiego?

W tejże chwili lampka zgasła, rozległ się szelest szybkich kroków, drzwi z trzaskiem zamknęły się i dawna cisza zaległa ciemnicę.

ROZDZIAŁ XIX.

W którym Fernando okazuje obu młodzieńcom los, jaki ich czeka.

To nagłe zniknięcie tajemniczej postaci kobiecej, ciemności, które zaległy piwnicę po chwilowym blasku, zmieszały mocno obu chłopców. Przez jakiś czas milczeli, wreszcie Franek zawołał:

— Stachu! Stachu! czy śpisz?

— Nie, nie śpię.

— Bój się Boga, widziałeś to... tę kobietę?

— Widziałem.

— Więc mi się nie śniło?

— Nie!

— W takim razie, do stu kaduków, co to było?

Stach opowiedział mu swe przypuszczenie, że to była owa zapowiedziana próba, na którą mieli być wystawieni.

— Hm!—rzekł Franek—jeżeli to była próba, to przyznam, że głupia. Boć przecie naturalna rzecz, że nagle obudzony nie będę gadał po francusku, tylko po polsku. Nie! to musiało być co innego, albo może obu nam się zdawało.

— Nie, Franku, nie zdawało się wcale.

— Dziwny kraj ta Hiszpania, zakonkludował Franek i dodał: wszystko to dobrze, tylko mnie się strasznie jeść chce. Byle tylko te szelmy, Hiszpany, nie myśleli nas morzyć głodem!

Już nie mógł spać. Wstał i chodził po piwnicy, narzekając na głód i pragnienie i wymyślając na Hiszpanów co się zmieści. Ale Franek nie długo tak chodził i narzekał, gdyż nagle w korytarzu, prowadzącym do ciemnicy rozległy się ciężkie kroki, roztworzyły się drzwi z trzaskiem i jasne światło zalało ciemnicę. Przy świetle tym młodzieńcy spostrzegli dwóch ludzi, niosących latarnie i miski, z których uderzył powonienie zgłodniałych, miły zapach baraniny pieczonej. Ludzie wnieśli to wszystko, ustawili na ziemi, a jeden z nich, rzekł po hiszpańsku:

— To wasza wieczerza — poczym wyszli, zamykając za sobą drzwi z trzaskiem.

— Wiwat! — krzyknął Franek rzucając się na pokarm—nie zamorzą nas głodem, niech im Pan Bóg da zdrowie!

Pokarm nie był zbyt wykwintny, ale obfity. Baranina, nasycona czosnkiem, chuda i żylasta, nie była bardzo smaczną, ale głód jest zawsze najlepszą przyprawą. Obok mis z mięsem stały dzbany z winem i wodą kryniczną, a pozostawiona jedna latarnia, słabym swoim blaskiem ułatwiała spożycie wieczerzy. Obaj młodzieńcy zabrali się co żywo do jedzenia i spałaszowali wszystko.

—No!—rzekł Franek – zwracam mój szacunek Hiszpanom. Uważam, że to wcale porządny jest naród. Teraz, kiedym sobie podjadł i ugasił pragnienie, niczego się nie boję.

— Ej, Franku — zauważył na to Stach, ogryzając starannie kości - jeszcze raz muszę ci przypomnieć, że nie należy krzyczeć: hop! dopóki się rowu nie przeskoczy. Nic nie wiadomo, jakie czekają nas jeszcze próby.

— Głupstwo! jeżeli takie, jak z tą marą, czy kobietą, to drwię sobie z ich prób. Hm! co prawda mogli byli dać lepsze nieco wino. Czarne jak smoła, a kwaśne i cierpkie, że aż gębę wykrzywia. No, teraz kiedyśmy się najedli, możemy pójść spać. Sądzę, że żadne mary nie będą nam więcej snu zakłócały.

Jakoż pod tym względem Franek się nie omylił. Spali spokojnie do samego rana. Ale gdy dzień zaświtał i blask poranku rozjaśnił posępną ciemnicę, weszło do niej dwóch zbrojnych ludzi, z których jeden na wielkie przera-

żenie Stacha, był Fernando. Wszedł on i swemi brzydkiemi oczami obrzucił całą ciemnicę, mruknął coś na widok resztek wczorajszej wieczerzy i zawołał po hiszpańsku do więźniów:

— Wstawać i marsz za mną!

Pierwszy podniósł się Stach, więc zaraz Fernando wlepił w niego swe złe, zjadliwe oczy i zawołał:

— I ty, łotrze jakiś, śmiesz zaprzeczać, żeś nie był w Monegrillo z tym drugim Francuzem — dwa psy mieliście ze sobą. No, zaprzecz temu, jeżeli śmiesz?

— Zaprzeczam!—odrzekł Stach, zapinając spokojnie mundur.

Fernando skoczył naprzód i podniósł rękę, jakby chciał uderzyć Stacha w uniesieniu najwyższego gniewu, ale w tejże chwili Franek zerwał się i chwyciwszy ramię Fernanda, zawołał po polsku:

— Hola, małpo hiszpańska! ręce przy sobie, kanalio, bo, jak mi Bóg miły wytrzęsę z ciebie wszystkie bebechy!

Fernando spojrzał dzikim wzrokiem na Franka, ale się pohamował i rzekł:

— Już ja się postaram o to, żeby was obwieszono. A teraz marsz za mną!

Żołnierze otoczyli obu jeńców i wywiedli z więzienia. Ale tym razem nie prowadzono ich na górę do kwatery jenerała Castaniosa, lecz na pole, do obozu. Obóz ten był już w ruchu,

choć słońce dopiero ukazywało się z poza gór Sierry de st. Vicente, ogniska rozpalono.w kotłach strawę warzono, a tu i owdzie pojedyncze oddziały się mustrowały. Jeńców znów otoczyła gromada powstańców, znów rozlegały się okrzyki nienawiści i gniewu, ale na szczęście na tym się skończyło. Gdy zresztą parę razy tłum stawał się natarczywszy, Fernando przemawiał w ten sposób:

— Moje dzieci, uspokójcie się! Bądźcie pewni że tych dwóch Francuzów szubienica nie minie. Już ja się o to postaram.

Słowa te wywoływały oznaki radości, śmiechy, koncepta rozmaite, pantominy.

— Dokąd on nas u licha prowadzi? pytał Franek Stacha.

— Czy ja wiem.

— Może na śmierć?

— A może.

— Cóż u kaduka tak obojętnie o tym mówisz?

— A jakże inaczej mam mówić? Czy moje słowa mogą w czym wpłynąć na nasze losy? Ale pociesz się, Franku, nie idziemy jeszcze na śmierć.

— Więc co to z tego będzie? co oni chcą z nami zrobić?

— Może jaką nową próbę.

Ale wkrótce mieli się dowiedzieć, dokąd ich Fernando prowadził. Przeszedłszy cały obóz

znaleźli się nagle w niewielkim lasku dębowym, gdzie oczom ich straszny przedstawił się widok. Dokoła na wszystkich drzewach wisiało kilkanaście trupów żołnierzy francuskich, pokrwawionych, ohydnie pokaleczonych, na pół nagich, ale wszystkie przybrane w mundury. Widok był okropny, wstrętny i oburzający najprostsze uczucie ludzkości. Stach patrzał na to ze zgrozą, a Franek zbladł jak ściana i przyspieszył kroku, żeby jak najprędzej minąć to straszne miejsce, tę trawę pełną kałuży skrzepłej krwi.

Ale Fernando zawołał z szatańskim uśmiechem na swej wstrętnej twarzy:

— Hola! mości oficerze, nie spiesz się tak. Musimy tu zostać. Niepodoba ci się to? rozumiem, żal ci twoich rodaków... nic dziwnego, ja sam, gdybym był Francuzem, żałowałbym ich także, ale dzięki Bogu i Św. Jakóbowi z Compostelli jestem Hiszpanem i dobrym, spodziewam się, Hiszpanem. No! no! stać! tu się zatrzymamy i świeżego powietrza używać będziemy.

Stach odrazu zrozumiał niegodny podstęp, jakiego użyto i zawołał do Franka po polsku.

— Na miłość Boską, Franku, nie zdradzaj twego oburzenia - zachowaj się obojętnie. Czyż nie widzisz, że to nowa próba? Umyślnie nas tu sprowadzono, byśmy na widok tych trupów, tak niegodnie zamordowanych, okazali żal lub oburzenie. Patrz, jak nam się Fernando bacznie

przypatruje, jak śledzi najmniejsze drgnienia na twarzach naszych.

— Dobrze, Stachu, będę obojętny, ale jeżeli ja to tym rakarzom przeklętym daruję, to nie jestem Franek Gołębiowski. A toż to hycle z piekła rodem!

— Rzeczywiście, coś strasznego! I trzeba w istocie Hiszpanów na to, by wpaść na taki pomysł szaleński... ale wytrzymać musimy, bo tu idzie o życie nasze i może o losy cesarza.

— Bądź spokojny, wytrzymam: ale sobie zakarbuję to w pamięci.

Mówiąc to, Franek założył ręce na piersiach, przybrał postawę dumną i obojętną i odtąd pomimo nagabywań Fernanda obaj zachowali milczenie pogardliwe. Były sierżant kazał się żołnierzom rozłożyć, sam umieścił się wygodnie na trawie i paląc cygaro, szyderczo i złośliwie wpatrywał się w jeńców. Od czasu do czasu wskazując na krwawych wisielców, gadał:

— Przypatrzcie im się panowie, bo i was taki sam los czeka. Tak się mszczą Hiszpanie za najazd ojczyzny.

Ale obaj młodzieńcy uparcie milczeli, zachowując wciąż swą dumną i obojętną postawę. Wygodne ułożenie się Fernanda i żołnierzy świadczyło, że ta dziwna próba miała dość długo potrwać i nerwy ich wystawić na straszne cierpienia. Słońce, podnosząc się po-

woli w górę, dogrzewało coraz mocniej, a choć stali w cieniu wielkich dębów, czuli wzrastające gorąco i ohydną woń psujących się ciał wisielców, którzy prawdopodobnie już od paru dni wystawieni byli na widok publiczny. Nad laskiem unosiły się gromady kruków, zwabionych wonią rozkładających się ciał, siadały na poblizkich drzewach i niemiłym, złowieszczym krakaniem napełniały powietrze.

Tak minęła jedna, potym druga godzina. Fernando, wypaliwszy cygaro, począł drzemać, w końcu zasnął w najlepsze, a dwaj jeńcy ciągle musieli zachowywać swą obojętną postawę, bo najprzód straż pilne na nich miała zwrócone oko, a potym co chwila przybiegały tłumy powstańców z obozu, szydziły z trupów, szarpały je i wygrażały obu zuchom. Była to męczarnia, którą jednak ze stoickim znosić należało spokojem.

— Wiesz, Stachu — odzywał się niekiedy Franek — już nie wytrzymam... w głowie mi się kręci... dalibóg nie wytrzymam.

— Musisz wytrzymać, Franku, jeżeli ci miłe życie i jeżeli chcesz spełnić wolę cesarza.

— Ale dokądże nas tu trzymać będą? co za cel tego?

— Nie wiem, prawdopodobnie musimy tu stać i patrzeć na to ohydne widowisko do wieczora.

— Ale to niepodobna, ja nie wytrzymam!

Na szczęście po paru godzinach takiej męczarni przybiegł jakiś młody adjutancik, zbudził chrapiącego głośno Fernanda i coś mu cicho szepnął do ucha. Fernando skrzywił się, zaklął straszliwie, ale kazał jeńcom się zbierać i odprowadził ich do więzienia.

Gdy zostali sami, naprężone dotąd nerwy nagle osłabły. Obaj rzucili się na swe nędzne posłania i płakali jak dzieci. Tego dnia ani Franek, ani Stach nic do ust wziąć nie mogli.

ROZDZIAŁ XX.

W którym jest opowiedziane, w jaki sposób Stach i Franek zostali uwolnieni.

Stach i Franek znużeni tym strasznym dniem, którego resztę przepędzili w zupełnym spokoju, jak tylko wieczór zapadł, zasnęli snem kamiennym w swym ponurym więzieniu. Ale i tym razem sen ten miał być zakłócony. Późną bowiem nocą, tak samo jak i poprzednio, znów otworzyły się cicho drzwi i ta sama mara kobieca, przybrana w białe powłóczyste szaty, z kagańcem w ręku, który osłaniała dłonią, zjawiła się w ciemnicy więźniów. Stach spał tak mocno, że nie obudził się ani na zgrzyt otwieranych drzwi, ani na szelest kro-

ków kobiety, ani pod wpływem blasku kagańca. Równy, głęboki oddech obu chłopców świadczył, że spali snem młodości.

Kobieta, posuwając się wolno i ostrożnie, zbliżyła się do łóżka Franka, chwilę postała, jakby wsłuchując się w jego oddech, poczym nagle odsłoniła kaganiec i całe jego światło skierowała na twarz młodzieńca.



Ten jednak tak był widać zmęczony posępnemi wrażeniami dnia, że pod rażącym go blaskiem poruszył się wprawdzie niespokojnie, twarz nawet odwrócił, ale się nie obudził.

Wtedy kobieta popatrzała nań przez chwilę, poczym szarpnęła go raz i drugi mocno. Franek zbudzony nagle, zerwał się gwałtownie, usiadł na łóżku, otworzył oczy, ale pod silnym światłem przymknął je znowu. Przetarłszy jednak powieki, spojrzał jeszcze raz i na wielkie swe zdziwienie i przerażenie ujrzał przed sobą kobietę w bieli, z głową owiniętą hisz-

pańskim obyczajem w czarną koronkową zarzutkę, z pod której dwoje dużych, aksamitnych oczów spoglądało na niego.

— Co to jest? co pani chcesz?—zapytał po polsku.

A kobieta pochyliła się nad nim i przykładając palec do ust, niespokojnie obejrzała się dokoła i szeptem rzekła po francusku:

— Wstań pan i chodź... chcę cię ocalić... koń twój gotowy czeka na ciebie... śpiesz się!

Ale Franek oprzytomniał już zupełnie. Zerwał się, stanął na posadzce i krzyknął:

— Tfu! do krocset! czego waćpani chcesz?

A zwracając się do kąta, gdzie spoczywał Stach, zawołał:

— Stachu! Stachu! czy śpisz?

Stach w jednej chwili się obudził i także powstał, patrząc zdziwionemi oczami na rozgrywającą się przed nim scenę. Franek tymczasem przeżegnał się głośno, ale zawsze po polsku:

— W Imię Ojca i Syna... czy mara, czy żywa przedemną stoi kobieta?

Ale już nie było czasu na zbadanie tej kwestyi, gdyż mara nagle dmuchnęła na kaganiec, światło zgasło i nieprzejrzane ciemności zaległy więzienie. Nim się obaj chłopcy mogli opamiętać, już się rozległ szelest szybko oddalających się kroków, trzask zamykanych z łoskotem drzwi, i cisza, jak przedtym.

Przez chwilę panowało milczenie, a wreszcie Franek zaklął głośno:

— Do krocset kaduków, co to wszystko znaczy? czego ta dyablica kręci się tu po nocy?

— Zasnąłem zbyt mocno—rzekł Stach—zatym nie wiem, co się tu działo, nim na mnie zawołałeś? Czy mówiła co do ciebie?

— Oczywiście, że mówiła

— Po hiszpańsku?

— Nie, po francusku.

— I cóż ci mówiła?

— Dyabli ją tam wiedzą... nie jestem mocny w francuzczyźnie, ale o ile zrozumiałem, chciała, bym szedł za nią, że pragnie mnie ocalić, że mój koń czeka gotowy, czy coś podobnego.

— Hm!—odrzekł na to Stach—to nowa próba. Ale ty nie odpowiadałeś po francusku?

— Nie!

— Chwała Bogu—ocaleliśmy jeszcze raz!—zawołał Stach.

Franek chwilę milczał, potym rzekł:

— A nuż mię ona chciała w rzeczy samej ocalić? Kto to wie! kobiety mają czasem takie pomysły... szkoda, trzeba się było z nią rozmówić. Spłoszyłem ją mojemi krzykami... ale tak mię nagle zbudziła... spałem jak zabity... hm! hm! wielka szkoda.

— Franku! Franku! — rzekł na to Stach z wyrzutem—jakże ty jesteś łatwowierny!

— A to dlaczego?

— Czyż nie rozumiesz, że to była nowa próba. Oni podejrzewają nas ciągle, że jesteśmy francuzami i dla tego zjawia się w nocy, gdy my śpiemy, owa kobieta, by na zadane pytanie francuskie otrzymać w tymże języku odpowiedź. Czyż tego nie rozumiesz?

— Rozumiem, co nie mam rozumieć, ale tym razem mogła to być nie żadna próba, ale po prostu litość nad naszym losem. Kobiety mają czułe serca, a ona wie zapewne, że te hycle, gerylasy, chcą nas obwiesić, więc się zlitowała. Może wistocie zamierzyła mię ocalić, kto to wie? Miała taki słodki głosik.

— Niechże i tak będzie — odparł Stach — sprzeczać się nie chcę, bo by to do niczego nie doprowadziło. Czas pokaże, że ja mam racyą. Na teraz i to szczęście, żeś odpowiedział po polsku.

— Ba! czyż mogłem inaczej?

Franek gadał jeszcze długo na ten temat i żałował, że się nie rozmówił z tajemniczą marą niewieścią, ale Stach już nie słuchał, położył się na swym posłaniu i niebawem zasnął. Wkrótce Franek to samo zrobił i do rana żadne już widma i mary snu im nie zakłócały.

Nazajutrz dość wcześnie przyniesiono im śniadanie, złożone z czekolady i chleba białego,

a w pół godziny może potym zjawił się ten sam oficer, który ich schwytał na drodze, w otoczeniu kilku żołnierzy i rzekł:

— Proszę pójść za mną, panowie, staniecie przed sądem wojennym.

Gdy Stach wytłomaczył Frankowi powyższe słowa, ten mocno się zaniepokoił:

— Do licha — mówił — żebym był usłuchał w nocy tajemniczej kobiety, byłbym już daleko stąd i wolny.

— Albo byś wisiał — zauważył Stach.

— Ha! możeby to było lepiej, jak te ciągłe męczarnie i niepokoje. Co oni np. teraz od nas chcą? Sąd wojenny! o co nas sądzić będą?

— Nie wiem, w każdym razie proszę cię Franku, zachowaj się spokojnie i obojętnie, jak zwykle.

Po schodach na pierwsze piętro wprowadzono ich do tej samej izby, w której już raz się znajdowali. Na środku znajdował się długi stół, czerwonym suknem przykryty, a na nim umieszczono duży krucyfiks z Chrystusem ukrzyżowanym. Za stołem siedziało sześciu oficerów, po trzech po obu stronach jenerała Castaniosa, który ubrany był w piękny mundur dragonów królewskich, z żółtego sukna, suto złotem szamerowany. Wszyscy oficerowie byli w paradnych mundurach. Na boku przy osobnym stoliku znajdowało się dwóch pisarzów, a pod oknem na ławie siedział Fernando.

Obaj młodzieńcy, wszedłszy, skłonili się zebranym po wojskowemu, a jenerał Castanios zaraz począł ich się wypytywać o nazwiska, miejsce urodzenia i stopnie wojskowe. Stach służył za tłomacza, Franek milczał.

— Moi panowie — rzekł Castanios — stoicie przed sądem wojennym. Od waszych odpowiedzi szczerych i prawdziwych zależy wasz los. Proszę mi więc powiedzieć, jaki jest cel waszej podróży z Madrytu do Lizbony.

Stach odpowiedział, że są kurjerami, wiozącymi depesze od ambasadora rosyjskiego do admirała Siniawina. Na stole przed sędziami leżały paszporty obu i opieczętowane depesze, które pierwszego dnia odebrano Frankowi. Wszyscy je oglądali starannie, przypatrywali się pieczęciom, mówili coś do siebie w języku kastylskim, wreszcie ten sam stary oficer, który był zaproponował wystawienie obu młodzieńców na próby, zwrócił się do Stacha i rzekł łamaną francuzczyzną:

— Młodzieńcze, spytaj się swego oficera, czy kocha Hiszpanią? Ponieważ, jak utrzymuje, nie jest Francuzem, więc powinien nas i nasz piękny kraj kochać.

Stach zwrócił się do Franka i przetłomaczył mu to pytanie, przyczym dodał:

— Oczywiście odpowiem, że kochasz.

— Ani się waż — te łotry tyle nam dokuczyły...

— Uspokój się Franku, nie masz powodu nienawidzić Hiszpanów, którzy bronią swej ojczyzny...

I zwracając się do sędziów, rzekł:

— Mój pan, porucznik Gołębiowski, oświadcza, że kocha naród hiszpański i że go szanuje za mnóstwo dobrych, jakie posiada, przymiotów—wreszcie pragnie, by oba narody, hiszpański i rosyjski żyły w przyjaźni.

W tym nagle podniósł się jeden z sędziów i zawołał po francusku:

— To nieprawda! nie to powiedział jeniec. Ja rozumiem trochę język rosyjski... odpowiedział on, że nas nienawidzi, bo prowadzimy wojnę jak rozbójnicy; gardzi nami i żałuje, że cały naród hiszpański nie ma jednej głowy, by ją mógł za jednym ściąć zamachem jak rzymski Tyberyusz!

Franek, który tych słów nie rozumiał, zachował swą postawę dumną i obojętną, ale Stach skamieniał.

— Czyżby naprawdę rozumiał, cośmy mówili?—pomyślał sobie.

Ale zaraz spostrzegł, że to była nowa próba. Ów oficer sam się zdradził twierdząc, że rozumie po rosyjsku, kiedy oni mówili po polsku, przytym o rozbójnikach i Tyberyuszu słówka nawet nie wyrzekli. Nie ulega więc wątpliwości, że to nowa próba.

— Cóż wy na to?—spytał Castanios.

— Nic—to jest kłamstwo!—odparł spokojnie Stach.

Nastąpiła narada między sędziami. Castanios coś długo mówił. Wezwano Fernanda, jeszcze raz go wypytano, a choć uparcie twierdził, że Stach jest zbiegiem z Monegrillo, nie bardzo jakoś temu wierzono. Znów się naradzano, gorączkowano się, zmieniano zdania, wreszcie zapadła widocznie jakaś decyzya, bo Castanios wstał i zwracając się do obu młodzieńców z wielką i uroczystą powagą, rzekł:

— Moi panowie, jesteście wolni. Zwracam wam paszporta i depesze. Pisarze wygotują wam dokument, który zabezpieczy was od nagabywań władz i oddziałów naszych. Mam nadzieję, że nie będziecie mieli do nas urazy. Wojna i położenie, w jakim się kraj nasz znajduje, zmusza nas do wielkich ostrożności. Życzę panom szczęśliwej drogi.

Ukłonił się i wyszedł a za nim sędziowie.

— Co on powiedział?—spytał Franek.

— Mój Franku, nim ci powiem, zachowaj spokój i poprzednią powagę.

— Dobrze, ale o co idzie?

— Jesteśmy wolni!

Franek zdołał opanować uczucie radości, które nim owładnęło, kłaniał się chłodno i obojętnie oficerom hiszpańskim, schował paszporta i depeszę powoli i starannie, a otrzymawszy

przepustki hiszpańskie, wyszedł nakoniec z tej izby, w której się losy jego rozstrzygały.

Na schodach dogonił ich Fernando i zawołał:

— No! udało wam się, teraz jesteście bezpieczni i możecie jeździć po całej Hiszpanii. Ale ja zawsze mówię swoje, że wy mi pachniecie szpiegami. Niech tam! niech was Pan Bóg sekunduje. Adio!

I znikł. Na dziedzińcu przed domem stały już konie osiodłane, dzielne i wytrwałe andaluzyjskie dzianety. Nie zwlekając, skoczyli na nie i w dziesięć minut potym stracili z oczów obóz hiszpański, w którym tyle strasznych przepędzili godzin.

W dwa tygodnie potym, bez żadnych już przygód, przybyli do Lizbony.

ROZDZIAŁ XXI.

W którym Stach wraca do kraju, odszukuje wieś rodzinną i starego Morsanga.

W Lizbonie, gdy się przedstawili obaj młodzieńcy marszałkowi Junot, gdy spełnili powierzoną sobie misyą, gdy nakoniec opowiedzieli dziwne koleje, jakim podlegali, to rzeczony marszałek nie tylko ich uściskał w obecności całego sztabu i nazwał dzielnemi, ale mocą własną mianował kapitanami. Byli więc z tego bardzo dumni i bardzo szczęśliwi i po tylu przejściach słodkiemu oddawali się spoczynkowi w pięknej stolicy Portugalii. Franek przytym okazywał na każdym kroku wysoki szacunek Stachowi.

— Już to—mówił--przyznać trzeba, że ocalenie moje zawdzięczam tylko tobie, Stachu;

gdyby nie ty, to byłbym narobił tyle głupstw, że dziś by kruki obżerały moje kości. Jestem szalona pałka i nic więcej!

Stach przeczył temu i utrzymywał, że się rzeczy miały przeciwnie.

— Gdyby nie twoja wesołość—odpowiadał twój spokój, pewność siebie i odwaga, to ja nie byłbym wstanie myśleć o niczym. Kilkakrotnie traciłem zupełnie odwagę, ale gdym spojrzał na ciebie, odzyskiwałem ją znowu.

Po kilkudniowym wypoczynku w Lizbonie, obaj kapitanowie chcieli powracać do Madrytu, ale marszałek Junot, ani sobie mówić o tym nie dał.

— Poszaleliście, czy co? — wołał swym krzykliwym głosem przy ruchach gwałtownych i gorączkowych — czy chcecie koniecznie wisieć? Ani myśleć o tym — powrócicie ze mną, z całą moją armią.

Jakoż tak się stało i z pułkiem swoim połączyli się dość późno. Brali z nim udział w wojnie z Austryą, bili się pod Wagram; udali się na wielką wyprawę do Rosyi, i okryci ranami, z krzyżami legii honorowej na piersiach, powrócili do Warszawy w r. 1813.

Ponieważ udało im się przywieźć dość pieniędzy, więc korzystali ze słodkiego wywczasu po ciężkich przejściach.

Z armią nie puścili się na zachód ale cały czas wielkich burz, które obaliły tron najpo-

tężniejszego wtedy mocarza, przepędzili w Warszawie, gawędząc sobie nieraz o dziwnych swoich kolejach.

Gdy nakoniec świat wstrząśnięty do głębi uspokoił się, jednego dnia Franek przyszedłszy z miasta, zapytał swego przyjaciela:

— A my, Stachu, co będziemy teraz robili?

— Hm! czy ja wiem? wstępować do szeregów nie możemy, bo oba jesteśmy na pół kalekami. Mnie brak jednego palca u ręki, ty kulejesz na nogę, co my możemy być za żołnierze?

— Więc cóż będziemy robili?

— Ha!... wiesz co?...

— No co?

— Pamiętasz, Franku, jakeś mi obiecał w Hiszpanii, że jak wrócimy do kraju, dopomożesz mi w odszukaniu mojej rodziny?

— Pamiętam... ale...

— Ale co?

— To będzie bardzo trudne.

— Niewątpliwie, że będzie trudne, ale spróbować nie zawadzi. Mamy pewne wskazówki, moje nazwisko i to, że rodzice mieszkali na wsi nad Pilicą.

— Ba! ale Pilica jest długa, szukaj wiatru w polu.

— Zawsze spróbować nie zawadzi. Kto wie, czy szukając dobrze, nie znajdziemy nie

rodziców moich, bo ci może już nie żyją, ale jakich krewnych.

— Ha! skoro chcesz, to dobrze. Co prawda przykrzy mi się już w tej Warszawie i w tym próżniactwie, w jakim żyjemy.

Postanowienie to swoje niebawem wykonali. Wybrali się w drogę i poczynając od ujścia Pilicy do Wisły, kolejno zwiedzali wszystkie wsie, rozpytując się o Kamieńskich. Zrazu poszukiwania ich nie przyniosły żadnych rezultatów, aż dopiero koło Nowego Miasta natrafili na wieś, w której starsi gospodarze mówili, że wieś ta niegdyś należała do Kamieńskich. Jeden nawet z tych gospodarzy, starzec blisko ośmdziesięcioletni, Wojciech Jałowiec nazwiskiem, przypominał sobie jak przez mgłę, że kiedyś tam dziedzicom synaczek zginął.

— Gadali wtedy ludzie — mówił — że to musi nikt inny, jeno cygany owego panicza porwały.

— A cóż się stało z temi dziedzicami?

— Ha cóż? ona jakoś potym z wielgiej żałości pomarła, a on wieś sprzedał i gdzieś ta się wyniósł na kraj świata, pono na Litwę, czy tam gdzie...

— A nie mieli więcej dzieci!

— A jakże, mieli drugiego syna.

— A z nim co się stało?

— Nie wiem, panoczku, nie wiem, skądżeby? Ale gadali ludzie na jarmarku w Przybyszewie,

co on wrócił tu w nasze strony i pono gdzieś kole Czerska pinkną wieś kupił... niby ten Kamieński.

Była to wskazówka bardzo słaba, ale bądź co bądź wskazówka. Nie wiele więc myśląc, zawrócili obaj przyjaciele i pojechali do Czerska.

Tutaj przepytując się na wszystkie strony, dowiedzieli się, gdzie ów Kamieński mieszka i wprost do niego pojechali.

Wieś była duża, dostatnia, dobrze zagospodarowana, dwór okazały, z pańska wyglądający. Pojawiającego się sługusa na ganku spytali o pana, a gdy im powiedziano, że jest w domu, udali się do pięknej sali i tam powitał ich dość jeszcze młody człowiek, sympatycznej powierzchowności. Zrazu, gdy mu dwaj przyjaciele opowiedzieli powód swego przybycia, przyjął to dość chłodno:

— W rzeczy samej—rzekł—miałem starszego brata Stanisława, który w dzieciństwie gdzieś przepadł. Mówiono, że go cygani porwali, choć ja temu nie wierzę, bo najprzód w naszych czasach cygani już dzieci nie porywają, a następnie, jak wykryły badania przez mego ojca prowadzone, w chwili owej, gdy mój brat zginął, w okręgu dziesięciomilowym nie było ani jednego cygana. Sądzę, że najprawdopodobniej mój brat się utopił w Pilicy, która wtedy wezbrała. Z tym wszystkim...

Tu się zatrzymał, zawahał i w końcu rzekł:

— Mój ojciec do końca życia nie mógł zapomnieć utraconego syna. Gdy przed kilku laty wyczytał w gazetach o jakimś bohaterskim czynie, którego miał dokonać w Hiszpanii szwoleżer Stanisław Kamieński, wołał, że to zapewne jego syn. Ledwie mu wytłomaczyłem, że u nas nazwisko to jest bardzo pospolite...

— Tym szwoleżerem, o którym pan czytał w gazetach, jestem ja — rzekł Stach z dumą.

— Bardzo się cieszę z tego, ale to nie dowodzi wcale, że pan jesteś moim bratem. Gdybyś pan tego dowiódł... a to co innego... Jest testament i ojciec mój, umierając przed paru laty, zapisał swemu pierworodnemu synowi znaczną sumę, gdyby się znalazł. Pojmuje pan, że wobec tego muszę być bardzo ostrożny.

— Rozumiemy to doskonale i postaramy się udowodnić—odrzekł Franek.

Ale łatwiej to było powiedzieć niż dokonać. Skąd wziąć tych dowodów? Zebrano wypisy stanu służby, wzmianki zaszczytne w rozkazach dziennych, ale to wszystko nie dowodziło wcale, by kapitan Kamieński był tym samym, który przepadł przed laty nad Pilicą.

Stracili więc obaj młodzieńcy wszelką nadzieję, a Stach, tak blizki odszukania swej rodziny, popadł w wielki smutek.

Franek mówił:

— Rzuć to wszystko, Stachu, do licha. Co ci na tym zależy? Nie ty o nich, ale oni o ciebie dbać powinni, boś chwałą okrył nieznane dotąd imię Kamieńskich. Ot, wiesz co mi przyszło do głowy? Mamy jeszcze pięć tysięcy złotych, weźmy jaką dzierżawę i osiądziemy sobie na niej spokojnie.

Stach uznawał słuszność rady Frankowej, ale z tym wszystkim markotno mu było i choć niby począł razem ze swym przyjacielem przepytywać się o jaką dzierżawę, jednak ciągle rozmyśliwał nad tym, jakim by sposobem można udowodnić, że jest bratem owego pana Kamieńskiego z pod Czerska. Nie należy jednak sądzić, że mu szło o spadek po ojcu; wyższy był nad to i nie przywiązywał wielkiej wagi do pieniędzy, ale pragnął odzyskać rodzinę.

Wśród tego wszystkiego zdarzyło się raz, że przechodząc z Frankiem przez Krakowskie Przedmieście, zobaczył wielki afisz czerwony, przylepiony na domu narożnym, i na tym afiszu uderzył go napis ogromnemi literami wydrukowany:

„*Cyrk Müllera*“

Tknięty jakimś przeczuciem zwrócił uwagę Franka.

— Więc cóż, spytał tenże—cóż w tym dziwnego? A może chcesz byśmy poszli na tę

hecę? Dobra myśl! rozerwiemy się trochę. Strasznie się nudzę w tej Warszawie.

— Oczywiście, że pójdziemy—odparł Stach— ale tu wcale o to nie idzie.

— A o cóż?

— Czy ci nic ten napis nie przypomina?

— A cóż mi ma przypominać?



— Przypomnij sobie, Franku, że mię kiedyś porwał Müller i że ja u niego byłem w cyrku.

— A prawda! A może to ten sam? A nabiję też szelmę! Chodźmy zaraz do niego.

— Powoli, Franku, powoli, trzeba się zastanowić, co i jak robić należy.

— Co się tu zastanawiać i nad czym? Przyjdziemy do Szwaba i ja mu powiem: widzisz, ty hyclu, kogo masz przed sobą? Oto jest kapitan szwoleżerów Stanisław Kamieński, którego dręczyłeś i katowałeś. Przyszliśmy ci za to zapłacić. No, niema co, chodźmy!

— Aj Franku, w gorącej wodzie jesteś kąpany. Czyż nie domyślasz się, o co tu idzie?

— A o co?

— Oto, że Müller może dać dowód, iż ja jestem istotnie porwanym przez niego chłopcem ze dworu nad Pilicą.

— A prawda! a więc tym lepiej. Chodźmy do szwaba.

— Zaraz! zaraz! zastanówże się nad tym, że ten Szwab nie będzie się chciał przyznać do zbrodni porwania dziecka, że zatym, jeżeli nie będziemy postępowali ostrożnie, ostatnia moja nadzieja, którą mi Opatrzność cudem prawie zsyła, rozwieje się zupełnie.

— Hm, masz słuszność. Ty masz zawsze większy odemnie rozum. Do stu par batalionów, co robić?

— Przeczytajmy najprzód afisz.

— Po co?

— Zobaczymy, gdzie Müller się pomieścił i kto należy do cyrku.

— Nie domyślam się wcale, na co nam się to przyda—ale skoro chcesz, czytajmy.

Zbliżywszy się tedy do afisza, dowiedzieli się, że cyrk Müllera dawać będzie przedstawienia w nowo wystawionej budzie na placu Krasińskich, że „wśród innych niewidzianych dotąd na świecie sztuk (tak opiewał afisz), ukazywać się będą dwa psy, pochodzenia chińskiego, zwane Samson i Dalila, które wraz ze swym panem, znanym w całej Europie presti-

digitatorem Morsangiem, ubawią szanowną publiczność sztukami wyższej szkoły.“

— Morsang!—zawołał Stach—mój poczciwy Morsang jest tutaj i Dalila i Samson! Teraz już nie wątpię w powodzenie. Chodźmy, Franku, nie traćmy ani chwili.

ROZDZIAŁ XXII.

W którym Stach z trudnością zdołał uniknąć uścisków Frau Lizabeth i koniec powieści.

Na placu Krasińskich stała już wielka buda drewniana, oblepiona różnokolorowemi afiszami, zapowiadającemi „niewidziane w świecie widowisko", około nich włóczyło się i gapiło mnóstwo próżniaków miejskich. Obaj młodzieńcy zbliżyli się do budy, gdzie u wejścia za czerwonemi firankami, siedziała niemłoda już kobieta, brzydka i pomarszczona i sprzedawała bilety.

— To jest Frau Lizabeth — rzekł Stach — żona Müllera, poznaję ją dobrze. Myślałem, że ta stara czarownica już nie żyje. Zapytamy się o Morsanga.

Jakoż zaraz przystąpił do Frau Lizabeth i spytał po niemiecku, czy nie mógłby się widzieć z Morsangiem. Frau Lizabeth spojrzała na Stacha podejrzliwie swemi złemi, czerwonemi oczami i nawzajem spytała:

— A co pan chcesz od Morsanga?

— Chcę się z nim widzieć, mam do niego interes. Jestem kapitanem szwoleżerów, wracam z Francyi i mam do Morsanga polecenie od jego rodziny.

— Od jakiej rodziny? Morsang nie ma żadnej rodziny, a przytym, my także jesteśmy z Francyi.

— Mniejsza z tym—odparł Stach—chcę się widzieć z Morsangiem. Proszę mi powiedzieć, gdzie go mogę znaleźć?

— Morsanga niema, wyszedł. On nie może się z nikim widzieć, on niema czasu.

— Ej, do stu par batalionów!—krzyknie na to Franek—co waćpani nam tu prawisz! Zaraz nam powiedz, gdzie jest Morsang, bo, jak mi Bóg miły, tak całą tę budę rozwalę!

Frau Lizabeth na te słowa skoczyła z poza stołu jak oparzona i poczęła krzyczeć piskliwym głosem:

— *Fryc! Fryc! komm doch hier!*

Na ten krzyk, z głębi budy, ukazał się opasły Niemiec, z brzydką, starannie wygoloną twarzą, z wejrzeniem dzikim i okrutnym i zapytał:

— Co to takiego? Lizabeth, czego ty krzyczysz?

Ale już Stach, niezadowolony z gorączkowego wystąpienia Franka i powstrzymując go znakami, wysunął się naprzód i rzekł grzecznie:

— Chcemy się zobaczyć z panem Morsang.

— A dla czego pan się chce zobaczyć z panem Morsang? — pytał Müller, bo to on był, i ciekawie a podejrzliwie przypatrywał się Stachowi.

Nim ten jednak mógł odpowiedzieć, z głębi budy, z poza czerwonej zasłony, oddzielającej jej przedsionek od środka, wypadły dwa olbrzymie psy, naszczekując głośno, zatrzymały się na chwilę, spojrzały po obecnych i skoczyły do Stacha, obwąchując go, liżąc mu ręce, skowycząc żałośnie.

Stach wzruszony tym powitaniem schylił się i począł pieścić psy, wołając:

— Dalila! Samson! poczciwe psy! poznały mię!

— A co to znaczy? skąd pan znasz te psy? pytał Müller i jeszcze ciekawiej przypatrywał się Stachowi.

Ale w tejże chwili znów uchyliła się zasłona i ukazał się w niej Morsang. Nie wiele się zmienił, postarzał tylko trochę, a na jego pargaminowej twarzy przybyło kilka zmarszczek.

Spojrzał swemi poczciwemi wypłowiałemi oczami i widząc łaszenie psów i pieszczoty Stacha, stanął zdumiony i niemy.

— Panie Morsang! — zawołał Stach rozpromieniony—czy nie poznajesz mnie?

— Oczy mam osłabione, panie, od długiego życia i od łez — odrzekł na to Morsang — i nie widzę dobrze, ale głos ten znam. Pozwól, panie, niech ci się przypatrzę.

To rzekłszy, zbliżył się do Stacha i po chwili zawołał z wyrazem najwyższej radości:

— Stanisław! Stanisław Kamieński! mój młody przyjaciel! Więc żyjesz jeszcze? więc to ty, mój chłopcze? O! mogę już umrzeć spokojnie, skoro cię zobaczyłem.

I w uniesieniu objął suchemi i drżącemi rękami Stacha i począł go całować gorąco.

Przez ten czas Müller niespokojnie przypatrywał się całej scenie, szwargotał coś do swojej żony, wreszcie chwycił Morsanga za rękaw i odciągając go gwałtem na bok, zapytał:

— Czy nakoniec powiesz mi pan, co to wszystko znaczy? kto jest ten młodzieniec?

— Kto jest ten młodzieniec? czyż pan się nie domyślasz, panie Müller? czy pan nie poznajesz?

To rzekłszy, zatrzymał się, pomyślał chwilę i mówiąc: Zaraz! zaraz — znikł za czerwoną firanką.

Wszyscy zdziwieni tym nagłym zniknięciem stali niemi, nie wiedząc, co to znaczy, gdy Müller pierwszy odzyskał przytomność i przystępując do Stacha, zapytał szorstko:



I w uniesieniu objął suchemi i drżącemi rękami Stacha... (str. 232).

— Kto pan jesteś? skąd znasz Morsanga i czego tu chcesz?

Nim Stach mógł odpowiedzieć, już Franek zbliżył się do niemca i chwytając go silną ręką za ramię, krzyknął:

— Słuchajno, ty szwabie, jak śmiesz tak się odzywać do kapitana szwoleżerów gwardyi Napoleońskiej! Łapy na dół, do stu par...

Nie dokończył, bo Morsang wpadł, dźwigając pod pachą w spłowiałym i wyszarzanym futerale jakieś pudełko. Była to znana dobrze Stachowi szkatułka grająca. Drżącemi nerwowo rękami wydobył ją Morsang z futerału, ustawił na stole, nakręcił i rzekł:

— Niech stary mój mistrz powita chwilę tak uroczystą, boską swą melodyą.

I zaraz też w tym przedsionku budy hecarskiej, wśród tych osób tylu różnorodnemi uczuciami miotanych, rozległy się ciche, nikłe, jedwabiste tony Don Juanowej melodyi.

W nucie tej drżała niewypowiedziana melancholia, która ze spłowiałych oczów Morsanga wycisnęła łzy. Stał zasłuchany całą duszą w te dźwięki żałośliwe, na pół nieprzytomny, obojętny na wszystko, co się dokoła działo.

— Bardzo to piękne—rzekł Müller—ale czy ja się nakoniec dowiem, co to wszystko znaczy?

Szkatułka przestała grać. Kilka urwanych tonów, z niemiłym zgrzytem zakończyło pieśń

Mozartowską i Morsang, chowając swe narzędzie do futerału, rzekł:

— Czyż pan, panie Müller, nie domyślasz się, że w osobie tego oto młodzieńca (tu wskazał na Stacha) stoi dawny twój uczeń i pajac, który zbiegł ze mną z Saragossy w Hiszpanii?

Müller spojrzał wielkiemi oczami na Stacha, a Frau Lizabeth jęknęła żałośliwie:

— *Ach Herr Jee!...*

— Tak, panie Müller, to ja jestem, niegdyś pajac w twoim cyrku, a teraz kapitan pułku lekkokonnego gwardyi Napoleońskiej — rzekł Stach.

— Bardzo... hm!... bardzo panu winszuję! — zawołał mocno zmieszany Müller — cieszę się ogromnie. Tak, w rzeczy samej, poznaję pana.

I, odzyskując władzę nad sobą, począł szeroko rozpowiadać o swej radości, że Stachowi tak się poszczęściło w życiu.

— Wprawdzie—mówił—swoją ucieczką, tam w tej przeklętej Hiszpanii, nabawiłeś mię pan niemało kłopotów. Przyjechali po mnie zbiry, zawlekli mię do jakiegoś zamku, ale już ciebie nie było. *Ja, ja!* miałem nie mało kłopotów i strachu...

— *Ach Herr Jee!...*—jęczała Frau Lizabeth.

— I po co było uciekać? — pytał Müller — czy źle panu było u mnie? byłeś pierwszą osobą w cyrku, jego ozdobą, blaskiem. Sława na pana spływała. A i to, że pan tak wysoko posze-

dłeś, zawdzięczasz mojemu wychowaniu, mej pieczołowitości i staraniom mej drogiej Lizabety!

Rozczulił się i oczy z łez ocierał, a Frau Lizabeth jęczała swoje:

— *Ach Herr Jee!*

— Co tu o tym mówić, panie Müller — przerwał Stach te udane czułości i wywnętrzenia — lepiej wrócimy do czasów teraźniejszych. Nie będę miał do pana żadnej pretensyi o przeszłość, ale pod jednym warunkiem.

— Pretensyi o przeszłość! — zawołał Müller z gestem zdziwienia — jakież pan możesz mieć do mnie pretensye? Ja mam do pana pretensyę, żeś mię nagle opuścił, naraził na straty, na tysiącę nieprzyjemności w owym rozbójniczym zamku hiszpańskim. Czy pan wierzysz, że tam, niejaki Fernando, łotr nad łotrami, ośmielił się uderzyć mnie kułakiem w twarz, mnie Fryderyka Müllera, dyrektora pierwszorzędnego cyrku na świecie? Tak! ja to wszystko przecierpiałem przez pana i pan jeszcze mówisz o jakichś pretensyach, o jakichś warunkach.

— *Ach Herr Jee* — stęknęła Frau Lizabeth.

— I gdybym był złym człowiekiem — ciągnął dalej Müller — tobym poszedł do władz tutejszych i oskarżył cię, że jesteś zbiegłym moim krewnym i zażądał, by cię wydano w me ręce. Tak! tak...

— Ach ty szwabie przeklęty!—krzyknał na to Franek—śmiesz tu jeszcze grozić! Ty, coś ukradł dziecko szlachetnym rodzicom, śmiesz Stacha nazywać swoim krewniakiem. Dość tego, do stu par ognistych batalionów! Zabieraj się natychmiast i marsz na policyą. Tam cię moresu nauczą, złodzieju dzieci! Dalej, żywo! bo jak mi Bóg miły, za kołnierz cię, hyclu jakiś, zaprowadzę!

To rzekłszy, w najwyższym uniesieniu chwycił swą potężną dłonią Müllera za kołnierz, potrząsł nim jak workiem i ciągnął ku drzwiom. Frau Lizabeth poczęła na ten widok wrzeszczyć w niebogłosy, z wnętrza budy cyrkowej wybiegło kilka osób, a na zewnątrz, na placu, gromadzili się już gapie miejscy, zwabieni krzykami. Stach, czując to, że gwałtem nie wiele się zrobi, z trudnością powstrzymał Franka od wykonania swej groźby, Frau Lizabeth uspokoił i przywrócił ciszę. Teraz dopiero wytłomaczył Müllerowi, po co przyszedł. Opowiedział mu swe położenie, nadzieję spadku i tak zakończył:

— Chcę, mości Müller, ażebyś poszedł ze mną do urzędu i przy świadkach, w obecności mego przyjaciela Gołębiowskiego i Morsanga zeznał akt urzędowy, że w roku takim a takim, w miejscowości takiej a takiej, porwałeś mię potajemnie, by zrobić ze mnie pajaca cyrkowego. Radzę panu zrobić to zaraz.

— Nigdy! — zawołał Müller — to wszystko jest kłamstwem. Nigdy cię, mój panie, nie porywałem, nie znam cię, a skargę zaraz do urzędu zanoszę o napaść na mój dom.

Był wściekły, miotał się, oczy mu wylazły, te straszne oczy, których dzikie wejrzenie Stach tak doskonale z dzieciństwa pamiętał. Frau Lizabeth jęczała ciągle swe: „*Ach, Herr Jee.*“

Ale teraz wystąpił Morsang i z miną bardzo uroczystą oświadczył, że on gotów jest iść zaraz do urzędu i zeznać pod przysięgą, jako tu obecny Stach, jest tym samym, który był w cyrku Müllera.

— I nie dość na tym, panie Müller—mówił dalej — powiem i to jeszcze, że w tej chwili masz u siebie dwoje dzieci francuskich, zapewne także gdzieś skradzionych, które nielitościwie katujesz. Dość tego! nie chcę brać na moje sumienie twego niegodnego postępowania.

Słowa te wpłynęły na Müllera tak, że zaczął ustępować. Owszem —mówił—niech będzie, jak chcą panowie, ale nie zaraz. On się musi namyśleć, musi sobie odpocząć po wzruszeniach tego dnia. Niech panowie jutro się zgłoszą, a on z nimi pójdzie do urzędu i zrobi zeznanie, jakiego chcą.

Ale Franek nie dał sobie mówić o tym:

— Ho! ho! nie wywiedziesz nas w pole, Szwabie jakiś. Znamy się na takich sztuczkach! My cię puścimy dzisiaj, a ty sobie drapniesz w nocy z Warszawy i szukaj wiatru w polu. Dalej, marsz do urzędu!

Po długich jeszcze sporach, wybiegach, ociąganiach się, po nieustannym akompaniamencie jęczącej Frau Lizabeth, Müller wreszcie ustąpił i gdy go uroczyście i na piśmie zapewniono, że za jego czyn nie myślą go skarżyć, poszedł z westchnieniami i skargami do urzędu i akt żądany zeznał. Za to wszystko Stach, dla pocieszenia niemca, wypłacił mu tysiąc złotych gotówką, co taki balsam na serce dyrektora „najpierwszego w świecie cyrku“ rozlało, że się rozpłakał i chciał uściskać wraz z rozczuloną Frau Lizabeth Stacha, od czego tenże z trudnością zdołał się uwolnić.

Odtąd mając taki dokument w ręku, nic nie stało na przeszkodzie Stachowi, że został urzędownie przyznany przez pana Jana Kamieńskiego, za brata i dziedzica znacznego spadku. Po załatwieniu koniecznych formalności wyniósł się z Frankiem i Morsangiem na wieś, gdzie wiódł sobie w gronie tych przyjaciół najszczęśliwsze i spokojne życie, przepełnione wspomnieniami burzliwej ich młodości.

Ale stary Morsang nie wytrzymał długo w tym spokoju. Pewnego dnia oświadczył

Stachowi, że musi wracać do Francyi. Nic nie pomogły prośby i zaklęcia—zabrał się, zagrał po raz ostatni na szkatułce na pożegnanie, nieśmiertelną pieśń Mozarta, i ze łzami w oczach, w towarzystwie Dalili i Samsona, puścił się pieszo w drogę.

Stach więcej go już w życiu nie widział i nie słyszał nawet o nim.

Ojców. — Wrzesień.
Warszawa. — Październik 1899.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

str.

KATALOG KSIĄŻEK NAKŁADOWYCH I KOMISOWYCH
KSIĘGARNI I SKŁADU NUT
KONSTANTEGO TREPTEGO
w Warszawie, Marszałkowska Nr 149 (wprost Zielonego Placu).

A B C Gwiazdkowe. Z wierszykami *Or-Ota,* i licznemi rycinami, w pięknej kolor. okładce — 45

A B C Tęczowe z 91 kolorowanemi illustracyami, tekst *Or-Ota.* (Modlitwy, Rady, Powinszowania, Piosenki). W ozdobnej okładce 1.20

Ali-Baba i czterdziestu rozbójników. Tekst *Or-Ota.* W ozdobnej okładce, z 4-ma chromolitografiami i rycinami w tekście — 75

Atlas geograficzny B. Kozenna, spolszczył Prof. Dr. *E. Janota,* poprawił i uzupełnił *Br. Gustawicz.* Wydanie nowe.

Baśnie polskie, napisał *Or-Ot.* Wspaniałe wydanie, z illustracyami T. Jaroszyńskiego, w pięknej chromolitografowanej okładce.

Bogusławska M. Z dworów i chat. Powiastki drobne dla młodszej dziatwy, z illustracyami Ilinicza.

Brzegami Wisły. Album Jana Olszewskiego, z 16-ma illustracyami.

Czerwony kapturek. Baśń wierszem *Or-Ota,* w ozdobnej okładce z kolorowanemi rycinami — 75

Deotyma. Wybór poezyi, 2 tomy 2,80
W ozdobnej oprawie ze złoceniami 3,80

Dla naszych dziatek. Piękna książeczka obrazkowa bez tekstu — 60
Toż samo w formie parawanika. 1 —

Guliwer u karzełków. Książeczka w formie kajetu, bogato illustrowana, w chromolitografowanej okładce. Tekst *Or-Ota* — 50

Illustracye do powieści *H. Sienkiewicza* **„Krzyżacy“** rysował *K. Górski.*

Karnowicz E. P. Wielki książę Konstanty. Zarys biograficzny z illustracyami.

Kot w butach. Baśń napisana prozą rymowaną przez *Or-Ota,* z 4-ma wielkiemi kolorowanemi rycinami, 14 obrazkami w tekście, w chromolitografowanej okładce — 75

Książeczka czarodziejska z wierszykami *W. Belzy* i *Rossowskiego.* Wydanie wytworne, z kolorowanemi obrazkami 1,35

Kukuryku! Książeczka w formie kajetu dla najmniejszej dziatwy: zawiera króciutkie wierszyki i zagadki przez *Or-Ota,* z kolorowanemi obrazkami — 50

Matejko Jan. Ubiory w Polsce od 1200—1795 r.

Mirosława. Wiązanka wskazówek i wiadomości z gospodarstwa domowego — 60

Najnowsze kierunki w nauce ekonomii społecznej. Przekład Dra *J. Daszyńskiej.* Szkoła Le Playa — C. Janet. Szkoła nowa — K. Gide. Szkoła liberalna — F. Passy 1 —

Nasze zwierzęta domowe. napisał wierszem *Or-Ot,* z 12 kolor. rycinami — 60

W formie parawanika, bez tekstu 1 —

Nowicki E. Nauka buchalteryi 2 —

Nusbaum H. Dr. Ideał prawdy ze stanowiska hygieny ciała i duszy — 45

Parawaniki obrazkowe na tekturce. W cenie 40 kop., 50 kop. i 1,50

Pasażer wesoły. Kartki dobrego humoru dla wszystkich — 20

Polowanie na słonie w Afryce. Wspomnienia młodego podróżnika. Z kolorowanemi rycinami, w ozdobnym kartonie 1,20

Robinson Kruzoe. Tekst wierszowany *Or-Ota,* w kolorowanej okładce, z 4-ma chromolitografiami i licznemi rycinami — 75

Siostra łabędzi. Baśń wierszem *Or-Ota,* z chromolitografowanemi rycinami, w ozd. okładce — 75

Skarbiec poezyi polskiej. Ułożył *Or-Ot.* Zawiera prace 108 poetów polskich 1,40

W ozdobnej oprawie ze złoceniami 1,80

Śpiąca królewna. Baśń wierszem *Or-Ota,* z kolorowanemi rycinami — 75

Struve Henryk. Anarchizm ducha u obcych i u nas. Studyum krytyczne. I. Sprzeczności życiowe. — II. Rozwój anarchizmu ducha. — III. Fryderyk Nietsche. IV. Nasz bezwzględny indywidualizm.—60

Tatiszczew. Dyplomacya rosyjska w kwestyi polskiej (1853—1863) — 90

Z okolic Warszawy. Album z 16 illustracyami.

Wesołe Bajki z 16 pięknemi kolorowanemi illustracyami i 0 rycinami w tekście. W ozdobnej okładce 1,80